tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 42 (1397)
12-18.10.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

SAKIEWICZ ZA KRALEM, A KANIA ZA DOCHNALEM

UKRAIŃSKIE DZIECI W NASZYCH SZKOŁACH

RAFAŁ SKĄPSKI SZUKA PIERWOWZORÓW WOKULSKIEGO

STRAJK KOBIET TRWA

BEZKARNE PLATFORMY Z USA I CHIN

Skończmy z internetową patologią



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

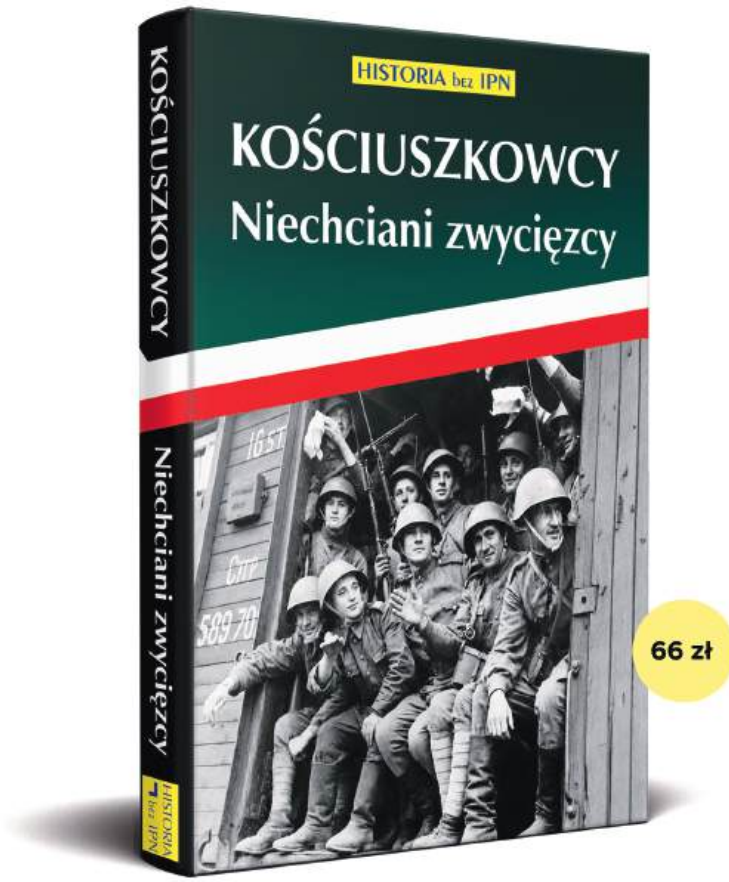
ISSN 1509 3115 42 >
9 771509 311607

HISTORIA bez IPN

czyli protest przeciwko manipulacjom, kłamstwom i znieważaniu bohaterskich żołnierzy 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki

---

Fałszerze historii z IPN czarną farbą malują jedną z najpiękniejszych kart polskiego oręża



CHWAŁA BOHATERSKIM ZDOBYWCOM BERLINA

sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 0c31442585



Robert Walenciak

MÓJ PRZEGLĄD

Skąd przychodzi zło?

Co państwo pamiętają z wydarzeń z ostatniego tygodnia, z ataków nożowników w szkołach na Mazowszu? Myślę, że przede wszystkim awantury polityków, którzy przerzucają się odpowiedzialnością, kto zawinił. Teorie, skąd te ataki się wzięły, mnożą się i są coraz bardziej fantastyczne. Mnie szczególnie ujęły wyjaśnienia Jarosława Kaczyńskiego, że to operacja sterowana z Kremla, by w Polsce zapanował chaos, i że państwo Tuska nas nie uchroniło. Brawo, Jarosławie! Już wiem, że wszelkie zło, które się dzieje, to wina Putina i wina Tuska…

To zamieszanie nie powinno nam przysłaniać podstawowej konstatacji: szukajmy winy w nas samych. W przyzwoleniu na to, że nasze dzieci są coraz bardziej zagubione w otaczającym je świecie, coraz bardziej samotne, że władzę nad ich wyobraźnią, ich działaniami przejmują wielkie platformy i sterujące ruchem w sieci algorytmy.

Mechanizm ten opisuje w dzisiejszym „Przeglądzie" Kornel Wawrzyniak. I pokazuje, do czego może prowadzić nasza bezczynność. Miejmy świadomość – o tym, że media społecznościowe są zagrożeniem dla młodych ludzi, dla ich psychiki, wie cały świat. Unia Europejska przyjęła w tej sprawie w 2024 r. stosowny Akt o usługach cyfrowych (DSA) i zobowiązała państwa członkowskie do zaimplementowania tych rozwiązań.

Nic zaskakującego – jeżeli policja jest po to, by pilnować porządku na ulicach, aby nie mogli na nich rządzić mordercy, sadyści, oszuści, handlarze pornografią dziecięcą, to dlaczego nie może interweniować tam, gdzie przebywamy, my i nasze dzieci, coraz dłużej, czyli w internecie?

A okazuje się, że nie może. Że wprawdzie w styczniu Sejm uchwalił ustawę, która pozwalałaby policji zamykać nawołujące do przestępstw strony, ale Karol Nawrocki natychmiast ją zawetował. W imię obrony przed „cenzurą". I natychmiast usłyszał słowa pochwały od Elona Muska i Donalda Trumpa.

Bo podział w tej sprawie jest klarowny. Z jednej strony, jest Europa i potrzeba obrony najmłodszych przed treściami dewastującymi ich psychikę. Z drugiej – żądne zysku wielkie platformy, które żyją z ruchu na stronach, z klikania. Żyją z manipulowania umysłami naszych dzieci.

Gdy więc słyszę, że prezydent Nawrocki żali się, bo premier Tusk wypomina mu to weto, odpowiedź mam jedną: Karolu, stoisz po złej stronie. Bronisz witryn wykorzystywanych przez przestępców, sutenerów, oszustów, szaleńców… Państwo musi mieć narzędzia, by z tym szlamem sobie radzić. Bo inaczej ten szlam nas zaleje…

Oczywiście nie mam złudzeń, jedna ustawa nas nie wyleczy i sprawy nie załatwi. Ale wiem, że jako społeczeństwo musimy bronić się przed złem. I że każda podróż zaczyna się od pierwszego kroku.

BĄKOWSKI



eprasa.pl 0c31442585

W NUMERZE

KRAJ

8 Skończmy z internetową patologią
Bezkarne platformy z USA i Chin

12 Sakiewicz miał się wstawić za Kralem, Kania za Dochnalem
Lubią powoływać się na wpływy

16 Czy naprawimy niesprawiedliwy system wyborczy?
– rozmowa z prof. Adamem Gendźwiłłem

19 Obok siebie
Ukraińskie dzieci w polskiej szkole

22 Polska transplantologia bez kompleksów
Mamy specjalistów, brakuje narządów

25 Prof. Jerzy Bralczyk z Glogerem
Nagroda Stowarzyszenia „Stopka"

26 Strajki kobiet
10 lat od czarnego protestu

KULTURA

28 Wokulski, czyli kto?
Poszukiwanie pierwowzorów postaci

44 Polski Hemingway
Nike dla Twardocha

46 Antyk we współczesnej szacie
Anne Carson literacką noblistką

48 Qulturalia

66 Pamiętnik Gracji
366 dni Małgorzaty Rusieckiej

ZAGRANICA

32 Czy Apple wróci do korzeni?
Koniec rządów księgowych

34 Nie ma kto pisać do związkowca
Lula da Silva schodzi ze sceny?

38 Sciganie uciekających wyborców
Korespondencja z USA

42 Kryzys mieszkaniowy ma twarz 87-latki
Czy śmierć Maricarmen zmieni Hiszpanię

OBSERWACJE

49 Na suwalskim trójstyku
I środek Europy, i pogranicze

SPORT

54 Bóg urojony i bóg spełniony
Pożegnanie Messiego z reprezentacją

PSYCHOLOGIA

56 Z odwagą do seksuologa
– rozmowa z prof. Michałem Lwem-Starowiczem

ZWIERZĘTA

60 Ryś samotnik
Poluje w pojedynkę, pobratymców unika

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Robert Walenciak
Skąd przychodzi zło?

7 Jerzy Bralczyk
O sobie

31 Jan Widacki
Gaudeamus igitur…

37 Andrzej Romanowski
Tryptyk warmiński II. Manipulacje

45 Stanisław Filipowicz
Przechadzka na gruzach liberalizmu

47 Roman Kurkiewicz
Kiedy mocarstwo zaszumi w głowie

53 Tomasz Jastrun
Pokraczny twór

59 Wojciech Kuczok
Przygoda w kratkę



26 KRAJ

STRAJKI KOBIET
10 lat od czarnego protestu



44 KULTURA

POLSKI HEMINGWAY
Nike dla Twardocha



60 ZWIERZĘTA

RYŚ SAMOTNIK
Poluje w pojedynkę, pobratymców unika

Projekt okładki: Iza Mierzejewska



eprasa.pl 0c31442585

Dopóki jest horyzont


DOPÓKI JEST HORYZONT
OCEAN TO MIEJSCE DLA LUDZI, KTÓRZY RESPEKTUJĄ WŁASNĄ SŁABOŚĆ

Zwracam się do Krzysztofa Baranowskiego: nie jest pan sam, każdego dnia są z panem tysiące ludzi, wielu modli się o pomyślny przebieg pana rejsu. Niedawno miałem spotkanie z moimi wychowankami i harcerzami sprzed 40 lat. Odczytałem im piękny wpis w naszej harcerskiej kronice napisany pana ręką, gdy odwiedził pan nas w 1982 r. w Olsztynie, w I LO, w naszej harcówce w szczepie im. Zawiszy Czarnego. Wspomniałem o obecnym pana rejsie. Podziwiamy pana odwagę i determinację.

Krzysztof Rutkowski

•

Asystentem na mojej Alma Mater był słynny Piotr Pustelnik. Kolega spytał go, po co idzie w Alpy (wtedy zaczynał od Alp). Padła krótka odpowiedź: „Bo są!". Pytanie do samotnego żeglarza, czemu idzie w morze, doczeka się zapewne podobnej odpowiedzi: „Bo jest!". A że samotni? Są ludzie, też do nich należę, którzy w swoim towarzystwie czują się dobrze, emocjonalnie bezpiecznie, swobodnie. Ma się czas na przemyślenie nawet całego życia. Stopy wody pod kilem, Panie Kapitanie!

Jan Juźwicki

Fort Trump – to brzmi służalczo

Baza nie zwiększy naszego bezpieczeństwa, wręcz przeciwnie. Kolejne utopione bezsensownie miliardy od polskich podatników. Uważam za zdrajcę każdego polskiego polityka, który zabiega o stacjonowanie obcych wojsk w Polsce.

Marek Prymas

•


Fort Trump – to brzmi służalczo
Politycy ścigają się, kto bardziej chce amerykańskiej bazy

Nie zwiększy bezpieczeństwa, ale zmniejszy. Jak wykazały losy wojny USA i Izraela z Iranem, bazy USA to idealne cele, żeby bez rakiet międzykontynentalnych zadać Ameryce ciężkie straty materialne i ludzkie. USA sprowadziły masę sprzętu i wojska pod uderzenie przeciwnika i kraje Zatoki Perskiej, gdzie te bazy były zainstalowane, dostały mocno od Iranu właśnie z tego powodu. Każda baza USA to idealny, słabo broniony cel.

Małgorzata Żuber-Zielicz

•

Rocznie za utrzymanie żołnierzy amerykańskich i ich rodzin Polska zapłaci ponad 10 mld zł. W innych krajach za pobyt amerykańskich wojsk płacą Amerykanie. A w przypadku zagrożenia Amerykanie szybciej wyjadą, niż przyjechali.

Zygmunt Białka

•

Jestem za tworzeniem własnej, odpornej i zdolnej do zadania napastnikowi strat siły militarnej. Nasze, podatników, środki finansowe powinny być przeznaczone na kompleksowe zdolności obronno-uderzeniowe polskiej armii. Sprzymierzeńcy niech raczej przybywają spoza naszego terytorium.

Zbigniew Pałaczyński

•

Baza wojsk USA w Polsce zasadniczo zwiększy niebezpieczeństwo dla Polski; będzie pierwszym celem militarnym w przypadku konfliktu z USA sąsiada ze wschodu, z zachodu lub północy, a my, Polacy, będziemy ofiarami tego starcia szybciej niż rodowici Amerykanie. Ostrzeżeniem przed taką polityką powinien być współczesny los Ukrainy. Nie podążajmy tym śladem.

Włodzimierz Paduch

ZDJĘCIE TYGODNIA



Na nic pohukiwania zza Atlantyku, Pokojową Nagrodę Nobla otrzymała Navanethem „Navi" Pillay. Urodzona w 1941 r. w Durbanie prawniczka i była prezes Międzynarodowego Trybunału Karnego dla Rwandy została nagrodzona za wieloletnie działania na rzecz pokoju i prawa międzynarodowego. 9 października 2026 r.

FOT. FABRICE COFFRINI/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 0c31442585

PRZEGLĄD TYGODNIOWY

Mamy krwawe dowody radykalizacji młodzieży. Do aktów przemocy i zbrodni doszło w szkołach na Mazowszu. • Na odbudowę po wielkiej powodzi z września 2024 r. i pomoc powodzianom wydano 15 mld zł, w tym 11 mld z dotacji unijnych. Samorządy otrzymały ok. 8 mld, a osoby fizyczne ok. 2,5 mld zł. • 2,2 mln dłużników jest wpisanych do Krajowego Rejestru Dłużników. • Szczepan Twardoch został laureatem Nagrody Literackiej Nike 2026 za powieść „Null". • Zabójstwo księdza w Jarosławiu jest wykorzystywane przez środowiska prawicowe do szerzenia nastrojów antyukraińskich, i to mimo apelu księdza rannego w tym ataku o spokój i nieuleganie emocjom. • W Hiszpanii po wielotysięcznych manifestacjach związanych z sytuacją na rynku mieszkaniowym premier rozpisał wybory. We Francji protestują uczniowie szkół średnich. • Biskup bielsko-żywiecki Roman Pindel nie przekonał mieszkańców Grojca pod Oświęcimiem, że jego decyzja o odwołaniu wieloletniego proboszcza ks. Józefa Zborka była słuszna. Po pięciu godzinach gwałtownych protestów parafian uwolniła go policja. • Jak nie kolejne weto, to Edzio, Ramzes i Aramis. Konie kupione dla Nawrockiego, jego żony Marty i córki Kasi trzymane są w Promniku, w ośrodku niedaleko Warszawy.

PRZEBŁYSKI



Szczujnię zastąpili nudziarze

Niedługo miną trzy lata od wygonienia z TVP ekipy Jacka Kurskiego. Pieszczotliwie zwanej szczujnią albo wynalazkiem propagandowym PiS. Warunkiem pracy na Woronicza był nieustający zapał w realizowaniu misji PiS. Choć z misją mediów publicznych misja PiS miała tyle wspólnego, ile z krzesłem krzesło elektryczne. Gdy propagandystów z TVP wygoniono, okazało się, że smakoszy tego badziewia jest ledwie kilka procent. A jak ktoś zapomniał, co wtedy wyprawiali, może sobie odświeżyć pamięć, włączając Republikę.

Szczujnię, dla której najważniejsza była kasa, zastąpił na Woronicza wielki zbiór nudziarzy. Skuteczne lekarstwo na problemy ze snem. Dbają głównie o to, żeby nie podpaść mocodawcom z partii koalicyjnych. Ekipa Syguta dostała w 2025 r. za tę ciepłą wodę 1,655 mld zł z budżetu państwa. O wiele za dużo jak na to, co robi. Tym bardziej że do misji mediów publicznych ma tak daleko jak Sygut do Mensy.



Od objawienia do nowego objawienia

Zbliża się 150. rocznica objawień w Gietrzwałdzie. Sejm na wniosek PSL-Trzeciej Drogi uchwalił, że rok 2027 będzie Rokiem Objawień Najświętszej Maryi Panny z Gietrzwałdu. Parlamentarzyści myślą, że wtedy Maryja przemówiła do dzieci po polsku. Ale gdyby tak było, niczego by one nie zrozumiały. Dzieci mówiły przecież miejscowym dialektem, warmińskim.

Jak głosowała lewica? Za uhonorowaniem objawień zagłosowali: ministra Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, minister Marcin Kulasek, Andrzej Szejna i poseł Tadeusz Tomaszewski. Od głosu wstrzymali się Dariusz Wieczorek i Wiesław Szczepański. Prawdziwa awangarda świeckiego państwa. Tyle że w bardzo szczególnym rodzaju. Za rok wyborcy lewicy z pewnością to docenią.

PYTANIE TYGODNIA

Akademiki – prawo czy przywilej?

DR JUSTYNA KAJTA,
socjolożka, Uniwersytet SWPS

Akademiki stanowią istotny element wyrównywania szans edukacyjnych w Polsce. W obliczu rosnących kosztów życia oraz ekonomicznych i geograficznych nierówności są kluczowym zasobem umożliwiającym podjęcie studiów przez osoby, których rodziny dysponują mniejszym kapitałem. Możliwość studiowania na uczelniach publicznych nie oznacza, że studia w Polsce są bezpłatne. Wydatki te są szczególnie duże dla osób, które muszą wyprowadzić się z rodzinnych miejscowości, żeby móc studiować. Koszt wynajmu pokoju stanowi bowiem jedną z największych składowych miesięcznego budżetu. Aby nierówności edukacyjne się nie pogłębiały, a studia nie były dostępne tylko dla osób w uprzywilejowanej pozycji ekonomicznej, państwo oraz uniwersytety muszą zadbać o zwiększanie dostępności publicznych akademików (oraz stołówek), zarówno pod względem liczby miejsc, jak i ich ceny.

GABRIELA WILCZYŃSKA,
OZZ Inicjatywa Pracownicza

Domy studenckie muszą pełnić przede wszystkim funkcję socjalną, a nie komercyjną. Z jednej strony, mamy publiczne akademiki, które latami zaniedbywano i gdzie dramatycznie brakuje miejsc. Z drugiej – prywatne pseudoakademiki ze średnim czynszem ponad 2,4 tys. zł, dostępne tylko dla najbogatszych. Same kryteria przydziału bywają absurdalne: liczą się sztywne kilometry, a nie realna sytuacja materialna. Uboższy student marnuje godziny na dojazdy, bo ma „za blisko", a pokój dostaje ktoś z daleka, kogo stać na wynajem. Do tego osoby pracujące wypadają z systemu przez minimalne zarobki, bo przekraczają restrykcyjne progi dochodowe. Politycy ignorują ten kryzys, ponieważ nie jesteśmy dla nich atrakcyjnym elektoratem. Ten stan rzeczy się nie zmieni, dopóki nie zaczniemy wywierać realnej presji na władze.

ANNA KIRYJOW-RADZKA,
p.o. rzeczniczka prasowa SGGW w Warszawie

Akademik dla części studentów jest warunkiem realnego dostępu do studiów, zwłaszcza w Warszawie, gdzie koszty najmu stanowią poważne obciążenie. Dlatego rolą uczelni jest nie tylko kształcić, ale także tworzyć warunki, które pozwalają z tej edukacji rzeczywiście skorzystać. SGGW ma pod tym względem wyjątkową sytuację – nasz kampus jest jednym z najbardziej zintegrowanych w kraju, ponieważ akademiki, budynki dydaktyczne, biblioteka i infrastruktura sportowa znajdują się w jednym miejscu. To zwiększa komfort studiowania, pozwala oszczędzać zarówno czas, jak i pieniądze. W SGGW systematycznie modernizujemy pokoje i przestrzenie wspólne, podnosząc ich standard. Naszym zadaniem jest utrzymać równowagę między jakością, ceną i dostępnością miejsc.

Rozmawiał Maciej Belowski

FOT. YOUTUBE (2)

eprasa.pl 0c31442585



mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

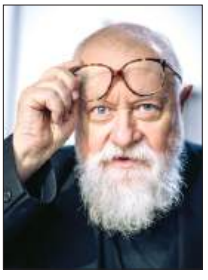
O sobie

Ale nie o sobie jako osobie, lecz o słowie sobie, o formie, ściśle o celowniku zaimka, który ma różne przypadki (siebie, sobą), ale nie ma mianownika. I nie tylko gramatyka jest tu ciekawa. To sobie może pokazywać relacje społeczne, które są oczywiście ciekawsze w społeczeństwie tak podzielonym jak nasze. Chociaż to w sumie też i nieciekawe…

Sobie jest przypadkiem szczególnym. Można sobie robić różne rzeczy, nawet sobie zaszkodzić czasem, ale mówimy też, że robimy sobie coś, gdy nie ma to szczególnego celu poza tym robieniem właśnie. Ot, siedzimy sobie gdzieś, a potem sobie idziemy. I już, nie chcemy nic od nikogo. Nie narzucamy naszych myśli nikomu, kiedy sobie coś myślimy i jesteśmy w porządku.

Ale gorzej, kiedy ty sobie coś robisz. Zwykle mamy ci to za złe. Powinieneś robić coś innego, a ty sobie siedzisz. Powinieneś zostać, a sobie idziesz. A kiedy sobie coś myślisz, to mówimy często: „nie myśl sobie!”.

Sobie nie jest też dobre, kiedy każdy sobie coś robi, a robi to oddzielnie, nie z innymi. Na przykład skrobie sobie rzepkę, co wytyka mu przysłowie i Wyspiański w „Weselu”. Jeśli robimy coś razem, to zrobimy – inną rzepkę wyciągnięto właśnie razem („tak się zawzięli, tak się nadęli, że nagle rzepkę – trrrach!! – wyciągnęli!”).



Jerzy Bralczyk

Zrządzenia i zrzędzenia

Pięknie jest, jeśli wszyscy razem sobie coś robimy. Pamiętam napis „Społeczeństwo – sobie” na jednym z budynków, co miało znaczyć, że to samo społeczeństwo go sobie zbudowało. Różnie bywa, gdy sobie coś nawzajem robimy – bo gdyśmy podzieleni, robimy sobie nawzajem na przekór, na złość.

Lepiej robić coś dla siebie nawzajem – mieszkałem na Podlasiu, tam ludzie robią różne rzeczy raczej dla kogoś niż komuś. I jakoś może się, może trochę nielogicznie, wydawać, że częściej jest tak, że lepiej jest dla kogoś coś robić niż komuś. Ludzie na Podlasiu uchodzą za życzliwych…

Kiedy np. prezydent coś wetuje, to przyzwyczailiśmy się do tego, że robi to właściwie komuś, zwykle rządowi mianowicie: na złość, czasem łagodniej: na przekór. Gdyby robił to naprawdę dla kogoś (jak często tłumaczy), byłoby bardziej sympatycznie.

A my już róbmy różne rzeczy sobie, czasem nawet lepiej, gdybyśmy każdy sobie swoje rzepki skrobali, nie miejmy innym za złe, gdy oni sobie coś robią – byleśmy nie robili czegoś dlatego głównie, żeby było komuś na złość, żeby było jak w tym wyjątkowo wrednym powiedzeniu o wyciu.

■

eprasa.pl 0c31442585

Bezkarne platformy z USA i Chin

SKOŃCZMY Z INTERNETOWĄ PATOLOGIĄ

Kornel Wawrzyniak

Miałem zacząć ten tekst inaczej. Na chłodno. Jednak partnerka właśnie woła mnie do pokoju dzieci. Na jej twarzy maluje się smutek. Jest czwartkowy wieczór. Szkoła przysłała przed chwilą wiadomość. Mamy ją przeczytać naszym nastolatkom. Placówka wzmaga środki bezpieczeństwa w związku z atakami nożowników w szkołach. W internecie krążą informacje, że największy atak zaplanowany jest na jutro (piątek, 9 października). Dzień okrzyknięto w sieci „krwawym piątkiem". To ma być gra, w której wygra ten, kto zabije więcej osób. Brzmi abstrakcyjnie, prawie jak początek horroru klasy B. A jednak dzieje się naprawdę. I chociaż wiemy, że to zwykłe podkręcanie opinii publicznej fejkami, jest nam wszystko jedno – na pewno nie puścimy jutro dzieci do szkoły.

Populizm przyczyną nieszczęścia

„Za brak bezpieczeństwa dzieci w internecie odpowiada dziś prezydent Nawrocki", stwierdził w styczniu na łamach „Przeglądu" minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski. Rozmawialiśmy wtedy o wecie prezydenta dotyczącym Aktu o usługach cyfrowych (DSA). W styczniu 2026 r. prezydent poinformował o zawetowaniu nowelizacji ustawy o świadczeniu usług drogą elektroniczną. Miała ona umożliwić prezesom Urzędu Komunikacji Elektronicznej oraz Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji wydawanie platformom internetowym nakazów usunięcia nielegalnych treści dotyczących ponad 20 czynów zabronionych.

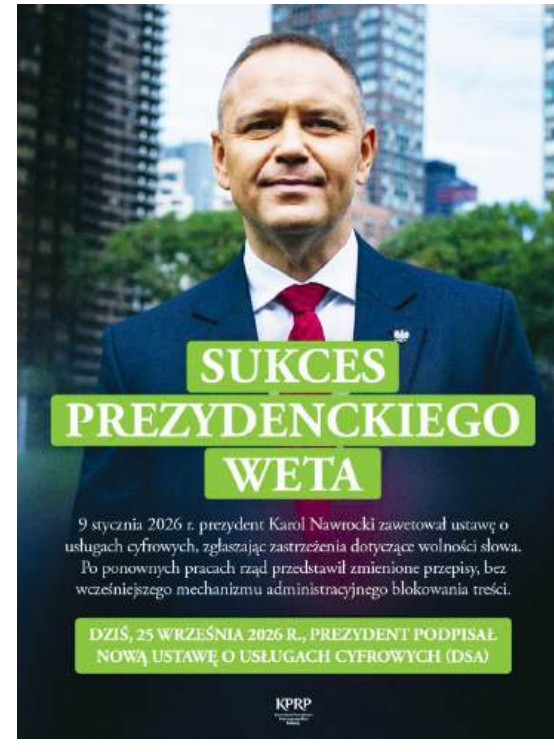
Biliśmy na alarm, że weto nie jest obroną wolności słowa, ale ukłonem w stronę amerykańskich big techów. Wszystko kosztem dzieci. Największe platformy internetowe od lat przekonują, że dbają o bezpieczeństwo użytkowników. W praktyce jednak miliony dzieci mają dostęp do serwisów, które potrafią rekomendować brutalne nagrania, treści pornograficzne, materiały gloryfikujące przemoc czy poradniki prowadzące do samookaleczeń. Jednocześnie użytkownicy pozbawieni są szybkich i skutecznych narzędzi do kwestionowania decyzji tych samych platform.

Od tamtej rozmowy minęło niespełna dziewięć miesięcy. Ostrzeżenia o internetowej patologii, które wielu traktowało jako polityczną przesadę, zderzyły się z rzeczywistością. W ciągu jednego tygodnia doszło do serii ataków w polskich szkołach i prób kolejnych napaści.

Dziewiątka rannych w Ostrołęce. Pod Wyszkowem zabita woźna, która osierociła dwójkę dzieci. Napastnik ma 15 lat. Kilka dni wcześniej policjanci z Wąbrzeźna udaremnili planowany atak 13-latka. W jego plecaku szkolnym znaleziono niemal 30-centymetrowy nóż, określany przez śledczych jako bagnet. W domu zabezpieczono również tasak. Według ustaleń chłopak udzielał się na internetowych forach o treściach faszystowskich i miał sugerować w sieci, że zamierza przeprowadzić atak w szkole. W Sierpcu policjanci udaremnili atak, do którego szykował się 17-latek. Znaleziono u niego dwa noże.

Rząd nie pozostawia wątpliwości, że za część tego zjawiska odpowiada środowisko cyfrowe, w którym przemoc staje się widowiskiem, a brutalność walutą algorytmów. Szczególnie wstrząsający jest jednak

Zdaniem prezydenta zawetowana ustawa nie rozwiązałaby problemu. Tyle że od stycznia nie usłyszeliśmy żadnej alternatywnej propozycji walki z internetową przemocą.



eprasa.pl 0c31442585

wątek sprawcy spod Wyszkowa, który według premiera planował nagrać atak. Miał na głowie hełm z kamerką. Nie wystarczało więc zabić. Trzeba było jeszcze stworzyć materiał do obejrzenia.

Niewyobrażalnie brutalna przemoc stała się rozrywką. Zupełnie jakby dzieci, o których mowa, nie rozumiały różnicy między światem wirtualnym a realnym. Przeniosły upiorną grę w zabijanie do prawdziwego życia, nie pojmując konsekwencji. Premier Donald Tusk przekonuje, że przemoc atrakcyjnie opakowana przez media społecznościowe coraz częściej opuszcza cyberprzestrzeń i przenika do świata rzeczywistego: na ulice, do szkół i do domów. W ocenie szefa rządu państwo powinno dysponować narzędziami pozwalającymi natychmiast reagować na treści, które mogą inspirować lub podsycać akty przemocy. Tusk wypomniał Nawrockiemu, że przed kilkoma miesiącami prezydent zawetował ustawę dającą takie możliwości. Zdaniem premiera był to błąd, który pozbawił państwo ważnych instrumentów reagowania na zagrożenia pojawiające się w sieci.

To nie polityczna gra. Premier mówi o faktach. W zawetowanej ustawie wprowadzającej DSA znajdowały się przepisy dające możliwość szybkiego reagowania na treści stanowiące przestępstwo, w tym nawoływanie do popełniania zbrodni, publiczne podżeganie do przemocy, propagowanie treści terrorystycznych, groźby karalne czy, szczególnie ważne w kontekście ostatnich wydarzeń, publikowanie w sieci ofert i ogłoszeń dotyczących zlecania zabójstw. Zablokowane narzędzia mogłyby wyłapać „grę w zabijanie", zanim ta przeniosłaby się do szkół. Przez weto Nawrockiego straciliśmy tę szansę.

Ustawa zobowiązywała także największe platformy internetowe do niezwłocznego reagowania na zgłoszenia dotyczące nielegalnych materiałów. Jej zwolennicy przekonywali, że w epoce mediów społecznościowych państwo powinno mieć możliwość szybkiego usuwania nie tylko filmów gloryfikujących przemoc, ale też treści zachęcających do niej.

Zrozumieć współczesność

Jak pisaliśmy w styczniu, ambasador USA w Polsce Thomas Rose gratulował wtedy Nawrockiemu weta: „Prezydent Karol Nawrocki zasługuje na wielkie uznanie za zawetowanie przyjęcia przez Polskę karnej i antyamerykańskiej ustawy UE o usługach cyfrowych". W sprawie nożowników w polskich szkołach do dnia oddania tego tekstu do druku ambasador nie napisał nic w swoich mediach społecznościowych. Słowem nie zająknął się też Elon Musk, zachwycony wetem Nawrockiego.

Tymczasem platformę X należącą do milionera zalewają fejkowe treści dotyczące nożowników. Równie źle jest na pozostałych platformach. Tu nie trzeba żadnej rosyjskiej propagandy. To algorytm podsuwa użytkownikom treści, nakręcając spiralę strachu. Tworzących zaś takie treści nagradza liczbą wyświetleń. Przez noc z czwartku na piątek sieć zasypały zdjęcia zakrwawionej podłogi i ulicy oraz fałszywe ujęcia nożowników biegających po ulicach. Są i autentyczne zdjęcia z ostatnich wydarzeń, ale np. z datą „krwawego piątku".

Czy te dotychczasowe wydarzenia łączy coś więcej niż przypadek? Tego nie wiadomo. Nieoficjalnie w mediach pojawiały się informacje, że miał to być internetowy „challenge" (czyli wyzwanie) zachęcający nastolatków do aktów przemocy. Służby jednak tego nie potwierdziły. Lecz sam fakt, że taka hipoteza była brana pod uwagę, pokazuje skalę problemu. Od lat obserwujemy bowiem, że media społecznościowe potrafią wywoływać masowe zachowania wśród młodzieży.

We wrześniu 2021 r. przez amerykańskie szkoły przetoczył się trend „Devious licks", polegający na kradzieży i dewastacji szkolnego mienia. Uczniowie wyrywali umywalki, niszczyli toalety, demontowali wyposażenie budynków i publikowali nagrania w sieci. Skala zjawiska była tak duża, że część szkół ograniczała dostęp do łazienek, a platforma TikTok ostatecznie zaczęła usuwać materiały związane z trendem. Działo się to wszystko nie dlatego, że ktoś centralnie koordynował te wybryki. Wystarczyły viralowe filmy, mechanizm naśladownictwa i algorytm promujący najbardziej spektakularne treści. Dziś wiemy już, że media społecznościowe nie tylko pokazują



8 października w miejscowości Leszczydół-Nowiny 15-latek zaatakował nożem pracowników w szkole podstawowej. Nie żyje woźna, dwie osoby są ranne.

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER, KPRP/X

eprasa.pl 0c31442585

treści, ale także aktywnie wzmacniają te, które wywołują emocje i angażują użytkowników. Dlatego pytanie o wpływ algorytmów na zachowania młodych ludzi nie jest technologiczną ciekawostką. To kwestia bezpieczeństwa publicznego.

Internet nie jest wyłącznie miejscem, w którym rodzi się przemoc. Jest również przestrzenią, w której po takich tragediach błyskawicznie namnaża się strach. Specjaliści od cyberbezpieczeństwa zwracają uwagę, że problem ma dwa wymiary. Pierwszy to radykalizacja młodych ludzi przed atakiem. Drugi to chaos informacyjny pojawiający się już po nim. Policja i Centralne Biuro Zwalczania Cyberprzestępczości badają obecnie, czy sprawcy części ostatnich incydentów mogli znać się z internetu lub funkcjonować w tych samych cyfrowych społecznościach. Eksperci opisują to zjawisko jako swoistą „hybrydyzację przestępczości". Samotni, wyalienowani nastolatkowie trafiają na fora i grupy dyskusyjne, które normalizują przemoc, a przy tym stają się miejscem wymiany pomysłów, wzajemnej inspiracji i instruktażu. W takim środowisku granica między fantazją, prowokacją a realnym planowaniem przestępstwa zaczyna się niebezpiecznie zacierać.

Część specjalistów przestrzega przed zbyt łatwym sprowadzaniem problemu do internetowych „challenge'ów". Znacznie groźniejsze mogą być bowiem algorytmy, które przez wiele miesięcy podsuwają młodym ludziom coraz brutalniejsze treści. Nie chodzi o jedno konkretne wyzwanie, lecz o środowisko medialne, w którym przemoc staje się elementem codziennej rozrywki, zdobywa tysiące polubień i jest nagradzana zasięgami.

Równie niebezpieczne okazuje się to, co dzieje się po tragedii. Niemal natychmiast po atakach media społecznościowe zalała fala plotek, fałszywych alarmów i niesprawdzonych informacji o kolejnych rzekomo planowanych zamachach. Telegram, TikTok czy platforma X zaczęły produkować strach w tempie, którego nie są w stanie kontrolować nawet służby państwowe. Mechanizm jest prosty: algorytm promuje treści wywołujące najsilniejsze emocje, a nic nie angażuje użytkowników bardziej niż lęk o własne dzieci.

Nieprzypadkowo Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji apelowało w ostatnich dniach o zachowanie spokoju i korzystanie wyłącznie z oficjalnych komunikatów. Problem polega na tym, że współczesna dezinformacja nie musi nikogo do niczego przekonywać. Wystarczy, że zasieje niepewność. Gdy rodzice zastanawiają się, czy następnego dnia wysłać dziecko do szkoły, plotka osiąga swój cel. To właśnie dlatego eksperci coraz częściej mówią o bezpieczeństwie cyfrowym w taki sam sposób, w jaki mówi się o bezpieczeństwie publicznym. Dziś zagrożeniem nie jest wyłącznie człowiek z nożem, staje się nim również algorytm, który pomaga mu znaleźć inspirację, oraz drugi algorytm, który po tragedii zamienia społeczny niepokój w masową panikę.

Ambasador USA w Polsce Thomas Rose gratulował Nawrockiemu weta: „Zasługuje na wielkie uznanie".

Wszędzie sami bohaterowie

W ciągu kilku godzin od wystąpienia premiera na temat ataków rozpoczęła się polityczna wojna o odpowiedzialność za wydarzenia w polskich szkołach. Donald Tusk nie pozostawił wątpliwości, kogo obarcza winą za brak narzędzi do walki z internetową przemocą. Przypomniał, że zawetowana przez prezydenta Nawrockiego ustawa pozwalałaby szybciej usuwać z sieci treści zawierające groźby karalne, podżeganie do zbrodni, namawianie do samobójstwa czy nawet ogłoszenia dotyczące zlecania zabójstw. „Państwo musi mieć narzędzia", stwierdził premier. I dodał, że do dziś nie rozumie, dlaczego ustawa została zawetowana pod hasłami obrony wolności słowa.

Rząd od miesięcy odrzuca ten argument Pałacu Prezydenckiego. Minister Krzysztof Gawkowski przekonywał w rozmowie z „Przeglądem", że prezydent przedstawia przepisy w sposób sprzeczny z ich rzeczywistą treścią. Według ministra zawetowana ustawa nie ograniczała wolności słowa, przeciwnie – wzmacniała prawa użytkowników wobec wielkich platform internetowych. Nakładała na nie obowiązek wyjaśniania powodów usuwania treści, tworzyła skuteczniejsze procedury odwoławcze oraz wymuszała większą przejrzystość zasad moderacji.

Gawkowski wytykał, że choć prezydent chętnie powołuje się na Orwella i ostrzega przed cenzurą, to sprawia wrażenie człowieka, który nie przeczytał zawetowanej przez siebie ustawy. W ocenie ministra największy paradoks całej sytuacji polega na tym, że przepisy przedstawiane przez przeciwników jako zagrożenie dla wolności obywatelskich miały w rzeczywistości dać obywatelom nowe narzędzia do obrony przed arbitralnymi decyzjami cyfrowych gigantów.

„Państwo powinno się wtrącać tam, gdzie jest zagrożenie, szczególnie dla dzieci i ludzi najmłodszych oraz bezbronnych", przekonywał w swoim przemówieniu Donald Tusk. Szef rządu wyraził jednocześnie nadzieję, że ostatnie wydarzenia uświadomią politykom, iż spór dotyczy nie abstrakcyjnej wolności internetu, lecz realnego bezpieczeństwa młodych ludzi.

Tak zresztą tłumaczą od lat organizacje pozarządowe – nie puszczaj dziecka samotnie do internetu, bo czy puściłbyś je samotnie w gąszcz wielkiego miasta? Jeżeli policja może interweniować na ulicy, dlaczego nie może interweniować tam, gdzie też przebywamy, czyli w sieci?

Pałac Prezydencki odpowiedział Tuskowi natychmiast. Karol Nawrocki oskarżył premiera o wykorzystywanie sytuacji do zbijania kapitału wyborczego. „W obliczu takich tragedii nie ma miejsca na wykorzystywanie ludzkiego dramatu do politycznych ataków", napisał prezydent. Jeszcze ostrzej wypowiedział się jego rzecznik Rafał Leśkiewicz, który nazwał zachowanie Donalda Tuska „obrzydliwym i skrajnie cynicznym". Podobne stanowisko zajęli szef BBN Bartosz

eprasa.pl 0c31442585

Grodecki oraz Jarosław Kaczyński. Wszyscy zgodnie przekonywali, że za bezpieczeństwo w szkołach odpowiada przede wszystkim rząd.

To wygodna narracja. Problem polega na tym, że omija najważniejsze pytanie. Nie chodzi przecież o to, czy rząd odpowiada za bezpieczeństwo obywateli. Oczywiście, że odpowiada. Spór dotyczy czegoś innego: czy państwo pozbawione części narzędzi może skutecznie reagować na zagrożenia, które rodzą się i rozprzestrzeniają w mediach społecznościowych. Premier twierdzi, że nie może. „My dzisiaj nie możemy zablokować treści, tylko musimy się zwracać do sądu z uprzejmą prośbą do właściciela platformy czy dysponenta daną platformą. Gdyby dzisiaj ten młodociany nożownik transmitował zbrodnię w internecie, to nie moglibyśmy tej treści zablokować, ponieważ nie dostaliśmy tego narzędzia prawnego do ręki", mówił w czwartek.

A prezydent odpowiadał, że zawetowana ustawa nie rozwiązałaby problemu. Tyle że od stycznia nie usłyszeliśmy żadnej alternatywnej propozycji walki z internetową przemocą, agresją wobec dzieci czy treściami zachęcającymi do popełniania przestępstw.

W tym sensie zarzut „politycznego cynizmu" brzmi wyjątkowo przewrotnie. To nie Donald Tusk zawetował przepisy mające wdrożyć Akt o usługach cyfrowych. To nie rząd od miesięcy powtarzał, że państwo nie powinno zbyt głęboko ingerować w działalność wielkich platform. Można się spierać o skuteczność konkretnych rozwiązań. Trudno jednak uciec od faktu, że gdy pojawiła się możliwość wyposażenia państwa w dodatkowe narzędzia do walki z internetowymi patologiami, została zablokowana w imię walki z rzekomą cenzurą.

Jeszcze bardziej zaskakujące jest to, że środowisko polityczne ostrzegające przed „urzędniczą cenzurą" wyjątkowo chętnie przywołuje dziś inne wyjaśnienie wydarzeń: rosyjską wojnę hybrydową. Jarosław Kaczyński zasugerował, że za częścią podobnych zjawisk mogą stać rosyjskie ośrodki inspirujące młodych ludzi do przemocy. „Pytanie, czy te ataki nie są elementem wojny hybrydowej ze strony Rosji, bo podobne sytuacje miały już miejsce na Litwie, a inspiracja płynęła z Moskwy. Tajemnicą poliszynela jest to, że istnieją rosyjskie portale namawiające młodych ludzi do tego rodzaju działań. Czy rząd Tuska nad tym panuje? Mam poważne wątpliwości", pisał na platformie X.

Jeśli jednak rzeczywiście mamy do czynienia z zagrożeniem płynącym z internetu, to tym bardziej rodzi się pytanie, dlaczego państwo miałoby rezygnować z narzędzi pozwalających szybciej usuwać nielegalne i niebezpieczne treści. Mówienie o wojnie hybrydowej bez potwierdzenia faktów jest dodatkowo sianiem paniki w społeczeństwie.

W efekcie obserwujemy dobrze znany spektakl. Jedna strona przekonuje, że zawetowano instrumenty, które mogły ograniczyć skalę zagrożenia. Druga twierdzi, że tragedia jest wykorzystywana do celów politycznych. Tymczasem rodzice pytają nie o polityczny marketing, ale o coś znacznie prostszego. Dlaczego muszą się bać wysłania własnych dzieci do szkoły.

W piątek 9 października policja odwiedziła rano 10 tys. placówek. Zatrzymano jeszcze kilkanaście osób, które mogły stanowić zagrożenie, ale na szczęście w większości okazały się żartownisiami.

Filozofka Hannah Arendt zauważyła, że największe zbrodnie nie zawsze rodzą się w głowach potworów. Często są dziełem zwykłych ludzi i instytucji, tworzących krok po kroku warunki, w których przemoc staje się czymś normalnym. Łatwo wskazać winnego, gdy w ręce trzyma nóż. Trudniej rozliczyć tych, którzy wcześniej mieli narzędzia, by do tragedii nie dopuścić. A przecież odpowiedzialność zaczyna się nie w chwili ataku, lecz dużo wcześniej – gdy ktoś świadomie rezygnuje z działania. Ujmując to słowami Martina Luthera Kinga: „Przychodzi taki moment, gdy milczenie staje się zdradą".

Ustawa numer 2

W tej smutnej historii jest też nuta nadziei. Wydarzenia z Ostrołęki i Wyszkowa zmobilizowały posłów do działania. W czwartek 8 października w ekspresowym tempie Sejm przyjął nowelizację Ustawy o świadczeniu usług drogą elektroniczną oraz niektórych innych ustaw.

Ta nowelizacja była powtórzeniem ustawy ze stycznia, z niewielkimi zmianami. Przygotowało ją Ministerstwo Cyfryzacji. Ustawa nie znajdowała się w porządku obrad bieżącego posiedzenia Sejmu. Przeszła na początku września przez drugie czytanie, ale czekała na wyznaczenie daty głosowania. Jednak po naradzie ministrów w Kancelarii Premiera, po wystąpieniu Donalda Tuska znalazła się w agendzie dnia. Za jej przyjęciem głosowało 242 posłów, 61 było przeciw, a 136 wstrzymało się od głosu.

Groźniejsze od internetowych wyzwań mogą być algorytmy, które podsuwają młodym ludziom coraz brutalniejsze treści.

Co istotne, gdy ustawa zostanie przyjęta, o szybkie blokowanie treści będą mogli występować prokuratorzy, policja, Krajowa Administracja Skarbowa oraz Straż Graniczna. Przepisy wymieniają materiały związane m.in. z wykorzystywaniem seksualnym dzieci, kradzieżą tożsamości, mową nienawiści, oszustwami i naruszeniami praw autorskich.

Owszem, dostawcy usług internetowych, w tym platformy działające w sieci, będą mogli zakwestionować nakaz zablokowania strony. Ale organy państwa w szczególnie pilnych przypadkach będą mogły nadać decyzji rygor natychmiastowej wykonalności. Już po zablokowaniu strony od decyzji ograniczających dostęp będzie można odwołać się do sądu powszechnego. Zakazy, które obowiązują nas wszystkich w życiu realnym, będą więc obowiązywać także w internecie.

O ile Karol Nawrocki ustawy nie zawetuje…

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 0c31442585

Sakiewicz miał się wstawić za Kralem, Kania za Dochnalem

Ludzie TV Republika lubią powoływać się na wpływy

Andrzej Sikorski

Czarne chmury zbierają się nad Tomaszem Sakiewiczem, naczelnym propagandystą PiS i wspólnikiem w interesach Przemysława Krala, szefa założonej przez przestępców giełdy kryptowalut Zondacrypto. Na początku września Donald Tusk odczytał w Sejmie zanonimizowane fragmenty zeznań „głównego świadka", czyli Przemysława Krala, który poszedł na współpracę z prokuraturą i ujawnia kulisy przestępczej działalności mafii kryptowalutowej. Otóż Kral powiedział śledczym, że „pan X" obiecywał mu, że gdy Karol Nawrocki zostanie prezydentem, to on załatwi mu ułaskawienie. Chodzi o sprawę dotyczącą gróźb i próby powstrzymania reportażu „Superwizjera" TVN o Zondacrypto (wcześniej giełda nazywała się BitBay i Zonda).

W 2019 r. Michał Fuja przygotowywał reportaż o szemranej giełdzie kryptowalut, a gdy zaczął zbyt mocno drążyć temat, odezwał się do niego pośrednik, proponując 1 mln euro za odstąpienie od realizacji materiału. Pojawiły się groźby, z pozbawieniem życia włącznie. Pośrednik oferujący łapówkę został ujęty i skazany, ale w trakcie śledztwa wyszło na jaw, że w sprawę zamieszani byli też Kral i współpracujący z nim detektyw (mieli tworzyć fałszywe dowody, by utrudnić śledztwo prokuratorskie).

Co prawda, Kral został uniewinniony przez Sąd Okręgowy w Krakowie, ale nieprawomocnie i sąd apelacyjny w kwietniu 2025 r. wyrok uchylił, przekazując sprawę do ponownego rozpoznania. Obawiający się skazania szef Zondacrypto (nie mógłby wtedy kierować giełdą) poprosił „pana X" o pomoc. Według dziennikarzy „Superwizjera" TVN i Wirtualnej Polski „panem X" jest Tomasz Sakiewicz, który w aktach śledztwa występuje m.in. pod znanym w środowisku polityczno-dziennikarskim przezwiskiem „Sakiewka".

Redaktor, polityk, biznesmen

Szef TV Republika miał wiele powodów, aby załatwić Kralowi u Nawrockiego ułaskawienie. Panów łączyła wspólnota interesów. Sakiewicz poprzez swoje media (TV Republika, portal Niezależna.pl i „Gazetę Polską") zajadle atakował obóz rządowy za próbę uregulowania szemranego rynku kryptowalut, a jednocześnie ciągnął pieniądze od Zondacrypto. Według badań Instytutu Monitorowania Mediów TV Republika zarobiła na reklamach ponad 37 mln zł, co stanowiło 70% całego budżetu reklamowego marki. Ofensywa reklamowa ruszyła w marcu i trwała do grudnia 2025 r. W tym czasie w Republice pojawiło się 5877 spotów, co średnio daje 18 reklam dziennie. Zondacrypto była także zachwalana przez dziennikarzy stacji w programach publicystycznych i informacyjnych oraz w mediach społecznościowych.

Ponadto Sławomir Jastrzębowski (w Republice prowadzi pasmo „Przyjaciele Republiki") był członkiem grupy na WhatsAppie nazwanej „zondacrypto Public Relations", dbającej o dobry wizerunek giełdy. Natomiast Marcin Dobski (współautor magazynu „Ściśle jawne" emitowanego w Republice) pisał przychylne teksty i atakował prześwietlających giełdę dziennikarzy.

Zondacrypto opłaciła konferencję CPAC (Conservative Political Action Conference) w Jasionce pod Rzeszowem, którą organizowała Republika, a Sakiewicz był jednym z prelegentów. CPAC to odbywająca się od kilkudziesięciu lat konferencja amerykańskich konserwatystów, która stała się międzynarodową przybudówką zwolenników Donalda Trumpa, gromadzącą populistycznych nacjonalistów z całego świata, prawicowych ekstremistów, rasistów, głosicieli teorii spiskowych i lobbystów. To w Jasionce Karol Nawrocki złożył publiczne zobowiązanie, że jeśli zostanie prezydentem, nie podpisze ustawy kontrolującej rynek kryptowalut. Zondacrypto opłaciła też Polish-American Strategic Industries Summit, którego organizatorem również była Republika, a impreza stanowiła część oficjalnej wizyty

W Jasionce Karol Nawrocki zobowiązał się, że jeśli zostanie prezydentem, nie podpisze ustawy kontrolującej rynek kryptowalut.

eprasa.pl 0c31442585



Tomasz Sakiewicz, wiceprezes zarządu Telewizji Niezależna SA, właściciela TV Republika, i Dorota Kania, redaktor naczelna TV Republika. Warszawa, 9 października 2017 r.

prezydenta Nawrockiego w Waszyngtonie we wrześniu 2025 r.

Wiemy poza tym, że Sakiewicz namawiał Krala, aby ten został współudziałowcem jego podupadającej finansowo telewizji. „Sakiewka" przygotował nawet i podpisał w tej sprawie list intencyjny, ale Kral odstąpił od sfinalizowania transakcji, prawdopodobnie dlatego, że Zondacrypto miała już problemy z wypłacalnością.

Sakiewicz mógł obiecać Kralowi ułaskawienie przez Nawrockiego, bo, jak powszechnie wiadomo, ma wejścia nie tylko w PiS, ale też w Pałacu Prezydenckim – i przełożenie na głowę państwa. To Sakiewicz oddelegował swoją pracownicę Emilię Wierzbicki, która została rzeczniczką Nawrockiego w kampanii prezydenckiej. A Nikodem Rachoń, brat Michała Rachonia, prawej ręki Sakiewicza, jest etatowym doradcą Nawrockiego.

Czy „Sakiewka" usłyszy zarzuty powoływania się na wpływy, tego prokuratura nie zdradza, ale jest to wielce prawdopodobne. Pewnie mało kto już dziś o tym pamięta, lecz podobne zarzuty usłyszała wieloletnia, zaufana współpracownica Sakiewicza, Dorota Kania (była naczelna TV Republika), która dzięki swoim znajomościom m.in. z prezydentem Lechem Kaczyńskim za łapówkę obiecała wyciągnąć z aresztu znanego lobbystę Marka Dochnala.

Kania wywinęła się spod topora wymiaru sprawiedliwości w niezwykłych okolicznościach, a uratował ją – wiele na to wskazuje – obecny prezes Trybunału Konstytucyjnego Bogdan Święczkowski.

Koleżanka braci Kaczyńskich

Wszystko zaczęło się w maju 2005 r. Kania była wtedy dziennikarką „Życia Warszawy", a Marek Dochnal od kilku miesięcy siedział w areszcie oskarżony o korumpowanie byłego posła SLD Andrzeja Pęczaka. Aleksandrę Dochnal i jej matkę Barbarę Pietrzyk Kania poznała na Uniwersytecie Warszawskim w gabinecie obrońcy Marka Dochnala, Piotra Kruszyńskiego, gdy przeprowadzała wywiad z żoną lobbysty. Kobiety szybko się zaprzyjaźniły. Jak stwierdziła Aleksandra Dochnal, „był czas, kiedy spotykała się z Kanią częściej niż z obrońcami". Kania regularnie odwiedzała Aleksandrę w jej domu, gdzie spotykała również Barbarę Pietrzyk. Filipińska opiekunka dzieci Dochnalów nadała Kani przezwisko „Pani Sernik". „Zapamiętałam tę panią właśnie po tym, że zawsze, jak przychodziła, to dla niej przygotowywany był sernik", wyjaśniła.

Gdy w 2005 r. wybory wygrało PiS, dziennikarka zadeklarowała pomoc w wyciągnięciu Marka Dochnala z aresztu. Mówiła, że przyjaźni się z Lechem Kaczyńskim i jego żoną Marią, że jest z parą prezydencką na ty, a Lech załatwił jej mężowi pracę w warszawskim ratuszu. Chwaliła się nawet znajomością z Jadwigą, matką braci Kaczyńskich, oraz tym, że bywa w ich domu na Żoliborzu. Kania przechwalała się, że zna najbardziej wpływowe osoby w państwie i ma ich numery telefonów. Wymieniła ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobrę, prokuratora krajowego Janusza Kaczmarka oraz koordynatora służb specjalnych Zbigniewa Wassermanna.

Żona i teściowa Marka Dochnala były zauroczone Kanią oraz jej opowieściami. Przebiegła dziennikarka owinęła sobie kobiety wokół palca. Współczuła im, dodawała otuchy, zapewniała o swoich znajomościach i udzieleniu pomocy.

Kania nakazała obrońcom lobbysty, mecenasom Piotrowi Kruszyńskiemu i Natalii Ołowskiej-Zalewskiej, aby wysłali do prokuratora krajowego Janusza Kaczmarka wniosek o przeniesienie śledztwa z Prokuratury Apelacyjnej w Łodzi do Katowic. Twierdziła, że prokuratorzy z Łodzi są w zmowie z politykami SLD i nie interesują ich zeznania Dochnala. Prokuratorzy z Katowic byli natomiast ludźmi Ziobry, a w zamian za obciążenie lewicy Dochnal miał wyjść na wolność.

Aby uwiarygodnić swoje słowa, Kania pisała artykuły szkalujące łódzkich prokuratorów, a jednocześnie namawiała Kaczmarka i Ziobrę do przeniesienia śledztwa. Dzięki pośrednictwu Kani obrońcy Dochnala spotkali się z Ziobrą i Kaczmarkiem. Zapadła decyzja, żeby sprawę przekazać do Katowic.

FOT. MARIUSZ GACZYŃSKI/ EAST NEWS, TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/ REPORTER

eprasa.pl 0c31442585

Według Janusza Kaczmarka pomysłodawczynią przeniesienia śledztwa z Łodzi do Katowic była Kania, a decyzję podjął Zbigniew Ziobro. Były prokurator krajowy twierdził też, że tylko wykonywał polecenia Ziobry i że dał się Kani zmanipulować: „Dorota Kania mogła prowadzić jakąś grę w stosunku do mnie, dziennikarka, która jest zafrasowana nieudolnością łódzkiej prokuratury, chęcią sukcesu nowego kierownictwa prokuratury, a w rzeczywistości jakimś sobie znanym interesem".



Dorota Kania z Bronisławem Wildsteinem. Warszawa, 6 listopada 2011 r.

270 tys. zł w kilku transzach

Gdy śledztwo zostało przeniesione, Aleksandra Dochnal uwierzyła w skuteczność Kani. Ta tymczasem zaczęła się skarżyć na złą sytuację finansową. Potrzebowała pilnie pieniędzy. Zaledwie kilka dni po przeniesieniu sprawy do Katowic Aleksandra Dochnal udzieliła Kani nieoprocentowanej pożyczki w wysokości 100 tys. zł. Ponieważ Kania nie chciała, by na umowie widniało nazwisko Dochnal, gdyż źle się kojarzyło, wpisano Barbarę Pietrzyk.

Odbierając pieniądze, Kania zwróciła się do Aleksandry Dochnal słowami: „Nie martw się, Olu, będzie dobrze", co utwierdziło żonę lobbysty w przekonaniu, że wpływowa dziennikarka będzie pomagać w jego uwolnieniu.

Kania zaczęła żądać kolejnych pieniędzy. Aleksandra Dochnal nie miała z czego dać, więc sprzedała obrazy, działkę i samochód. Pozbyła się oszczędności. W sumie przekazała Kani w kilku transzach 270 tys. zł. „Ja popadłam w błędne koło. (…) Byłam wówczas w dołku psychicznym. Teraz to widzę, że Kania cynicznie mnie wykorzystała. Jej sposób mówienia, jej zachowanie, to, że potrafiła dzwonić wiele razy dziennie, namolnie, kiedy czegoś potrzebowała. To wszystko stwarzało psychiczną presję, której uległam (…). Bałam się, aby Kania się od nas nie odwróciła, ale pożyczając pieniądze, wcale nie robiłam tego chętnie", mówiła przed prokuratorem Aleksandra Dochnal.

Mijały miesiące, a sytuacja Marka Dochnala, zamiast się poprawiać, pogarszała się. Trafił do izolatki, a żonie i teściowej odmówiono widzeń. Śledztwo stanęło. Prokuratorzy z Katowic musieli zapoznać się z setkami tomów akt. Tymczasem Kania nadal utwierdzała kobiety w przekonaniu o swoich wpływach. Namówiła Aleksandrę Dochnal, aby napisała list do prezydenta Kaczyńskiego z prośbą o interwencję. Zobowiązała się, że osobiście dostarczy list do Pałacu Prezydenckiego. Sprawą wkrótce zainteresowała się Maria Kaczyńska, która zwróciła się do Ziobry o wyjaśnienia. Odpowiedzi nie otrzymała, a Lech Kaczyński zbeształ nieświadomego niczego Janusza Kaczmarka, że lekceważy jego żonę.

Aleksandra Dochnal i Barbara Pietrzyk liczyły na to, że zabiegi Kani okażą się skuteczne, i nie zamierzały żądać od niej zwrotu pieniędzy. Gdy się zorientowały, że zostały oszukane, zmieniły zdanie. Kania nie miała jednak z czego oddać. Zwróciła środki w ratach, po wielu miesiącach i ponagleniach, wystraszona, że sprawa wyjdzie na jaw – co też się stało.

Skazana, uniewinniona, ochroniona

Prokuratura oskarżyła Kanię o powoływanie się na wpływy w instytucjach państwowych w zamian za łapówkę. W pierwszej instancji dziennikarka została skazana na dwa lata więzienia w zawieszeniu na trzy lata. Jak stwierdził sąd, „w sprawie zostało bezspornie ustalone, iż zawarte z oskarżoną pisemne umowy pożyczki miały zatuszować rzeczywistą intencję stron, tj. udzielenia korzyści majątkowych przez Aleksandrę Dochnal w zamian za podjęcie przez oskarżoną pożądanych przez pożyczkodawców działań, a zatem były w istocie ukrytą łapówką". Kara więc była całkiem łagodna.

Jako okoliczności obciążające Kanię sąd „potraktował znaczną, społeczną szkodliwość czynu, sposób działania oraz motywy". Kania „działała umyślnie, z zamiarem bezpośrednim, w wykonaniu z góry powziętego zamiaru na przestrzeni kilku miesięcy", a tym samym „dopuściła się zamachu godzącego w prawidłową działalność instytucji państwowych". Z kolei „powodem jej działania była chęć osiągnięcia korzyści majątkowej".

W wyroku znalazła się także informacja, że Kania była trzykrotnie karana z art. 212 kk (zniesławienie), co niezbyt dobrze świadczy o jej rzetelności dziennikarskiej.

Kania złożyła apelację od wyroku, a sąd II instancji ją uniewinnił. Sędzia Beata Tymoszów z Sądu Okręgowego Warszawa-Praga nie podważyła zebranego materiału dowodowego, ale dokonała karkołomnej jego interpretacji: uznała, że Kania pieniądze

eprasa.pl 0c31442585

wzięła, za Dochnalem lobbowała, tyle że nie była to korupcja w rozumieniu Kodeksu karnego, lecz przyjacielska pomoc.

Takie tłumaczenie nie miało sensu. Na umowach rzekomych pożyczek wpisano fałszywe nazwisko pożyczkodawcy. Kania nie zgłosiła umów w urzędzie skarbowym i nie zapłaciła od nich podatku, czym dopuściła się przestępstwa karnoskarbowego. Jednak w tym przypadku jej się upiekło, bo sprawa uległa przedawnieniu. Przekazanych pieniędzy nie sposób nazwać pożyczką. Aby zaspokoić żądania pisowskiej dziennikarki, żona lobbysty musiała wyprzedać majątek i się zapożyczyć. Działała pod presją, co miało wpływ na jej zdrowie. Trudno w tym wszystkim dopatrzyć się przyjacielskiej pomocy… Sędzia Tymoszów nie zwróciła uwagi na to, że działania Kani były wymierzone w prokuraturę i prowadzone śledztwo.

O szkalujących prokuratorów artykułach, zarzucających, że byli na usługach polityków SLD i nie zależało im na wyjaśnieniu sprawy, Alfred Tuczek, szef Prokuratury Apelacyjnej w Łodzi, mówił: „Artykuły (…) Doroty Kani ukazujące się w »Życiu Warszawy« oceniam jako znieważające i pomawiające Prokuraturę Apelacyjną w Łodzi o działania i właściwości obniżające jej autorytet, jako kłamliwe, nieprawdziwe, nierzetelne”.

Wyrok uniewinniający Kanię zapadł w czerwcu 2016 r. Rządziło wtedy PiS, a prokuratorem krajowym był Bogdan Święczkowski. Prokuratura Okręgowa w Opolu, która oskarżała pisowską dziennikarkę, nie złożyła broni i wniosła do Sądu Najwyższego o kasację. Podpisała ją świeżo powołana przez Zbigniewa Ziobrę prokurator okręgowa Agnieszka Mulka-Sokołowska. Jednak kilka dni po wniesieniu kasacji szefowa Prokuratury Okręgowej w Opolu sama ją wycofała, co było zdumiewające. W tej sytuacji Sąd Najwyższy nie miał innego wyjścia, niż pozostawić odwołanie bez rozpoznania. A to ostatecznie zakończyło proces Kani, która stała się osobą niewinną. Rzeczniczka opolskiej prokuratury twierdziła potem niedorzecznie, że kasacja została wycofana, bo zarzuty kasacyjne opierały się na rażącym naruszeniu prawa, a sama kasacja nie rokowała szans na uwzględnienie przez Sąd Najwyższy.

Według moich informacji polecenie wycofania kasacji wydał prokurator okręgowej w Opolu Bogdan Święczkowski, który koleguje się z Kanią i dołożył wszelkich starań, aby ratować ją przed skazaniem. Gdy zapytałem Agnieszkę Mulkę-Sokołowską, czy to prawda, ta nie odpowiedziała. Nie odpowiedział mi też Święczkowski.

W 2021 r. Kania została członkiem zarządu i prezesem grupy wydawniczej Polska Press przejętej przez Orlen Daniela Obajtka. Podobno namaścił ją sam Jarosław Kaczyński. Pod wodzą nowej szefowej zwolniono niewygodnych dziennikarzy, a gazety i portale internetowe należące do Polska Press stały się tubą propagandową PiS. Po zmianie władzy Kania odeszła z wydawnictwa i zajęła się tym, w czym się specjalizuje, czyli hejtem i szczuciem.

W marcu 2025 r. opublikowała w serwisie X wniosek paszportowy prokurator Ewy Wrzosek z jej danymi osobowymi, m.in. numerem PESEL. Dokument pochodził z 1989 r., gdy Wrzosek miała 19 lat, a Kania wyciągnęła go z archiwum Instytutu Pamięci Narodowej. Publikując wrażliwe dane, Kania chciała się zemścić na prokuratorce, którą Jarosław Kaczyński i politycy PiS oskarżyli o zamordowanie Barbary Skrzypek. Sekretarka prezesa PiS zmarła na zawał serca kilka dni po przesłuchaniu w prokuraturze w sprawie afery „dwóch wież”. Ujawniając dane osobowe prokurator Wrzosek, Kania dopuściła się przestępstwa, za które grozi do dwóch lat więzienia, a prokuratura skierowała w tej sprawie do sądu akt oskarżenia.

Zdaje się jednak, że zasłużona funkcjonariuszka pisowskiej propagandy może spać spokojnie. PiS ma tylu zaufanych sędziów, że na pewno zostanie uniewinniona.

Andrzej Sikorski

Tomasz Sakiewicz oddelegował swoją pracownicę Emilię Wierzbicki, która została rzeczniczką Nawrockiego w kampanii prezydenckiej.



eprasa.pl 0c31442585

Czy naprawimy niesprawiedliwy system wyborczy?

Nierówności dotyczą ponad połowy kraju

Rozmawiał Robert Walenciak

Czy polska demokracja jest równa dla wszystkich?

– Równość jest ważną obietnicą demokracji. Równość rozumiana tak, że każdy głos w wyborach powszechnych, obejmujących wszystkich obywateli i obywatelki, waży równo, niezależnie od statusu majątkowego czy od miejsca zamieszkania.

I z tą równością zależnie od miejsca zamieszkania mamy problem.

– Eksperci alarmują, że w Polsce nierówności w tym aspekcie rosną. Wynikają z tego, że nie zmieniamy podziału mandatów pomiędzy okręgi wyborcze w wyborach do Sejmu. To jest naruszenie obietnicy konstytucyjnej, która mówi, że wybory do Sejmu mają być wyborami równymi.

Jak to wygląda w praktyce?

– Z upływem czasu nasz system wyborczy staje się coraz bardziej skrzywiony. W roku 2011 został uchwalony Kodeks wyborczy i razem z nim załącznik numer 1, który określał granice 41 okręgów wyborczych do Sejmu i liczbę mandatów poselskich dla każdego okręgu, zależną od liczby mieszkańców. Jak można się spodziewać, z biegiem czasu sytuacja zmieniała się ze względu na migracje i zmiany liczby ludności w poszczególnych okręgach.

W piśmie z października 2022 r. Państwowa Komisja Wyborcza pokazywała, że w efekcie w 11 okręgach wyborczych należy zmniejszyć liczbę mandatów o jeden, w 10 – zwiększyć o jeden, a w jednym okręgu (Warszawa II) aż o dwa mandaty. Czyli nierówności dotyczą ponad połowy kraju!

– Dodam, że jest jeszcze drugi problem, który nabrzmiewa. To głosujący za granicą. Ten problem dotyka głosujących w Warszawie, ponieważ zgodnie z przepisami Kodeksu wyborczego wszystkie głosy padające w obwodach głosowania za granicą są doliczane do okręgu Warszawa I. A ponieważ mamy do czynienia z radykalnym wzrostem liczby głosujących za granicą w stosunku do 2011 r., w Warszawie na jeden mandat przypada znacznie więcej wyborców niż w innych częściach Polski.



Prof. ADAM GENDŹWIŁŁ

– politolog, socjolog i geograf, kierownik Centrum Studiów Wyborczych na Wydziale Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, badacz systemów i zachowań wyborczych oraz polityki samorządowej, ekspert Fundacji Batorego.

Liczyłem to. Warszawa I ma 20 mandatów. Gdyby przeprowadzono korektę demograficzną nieuwzględniającą głosów z zagranicy, powinna mieć 21 mandatów. A za granicą głos oddało 569 tys. Polaków. Czyli Warszawa I powinna mieć 9-10 mandatów więcej, bo na jeden mandat przypada 63 tys. osób uprawnionych do głosowania. W Warszawie powinno być wybieranych 30-31 posłów, a nie 20 jak teraz.

– Liczba głosujących za granicą zmienia się z wyborów na wybory i nie sposób z góry przyjąć, ilu ich będzie.

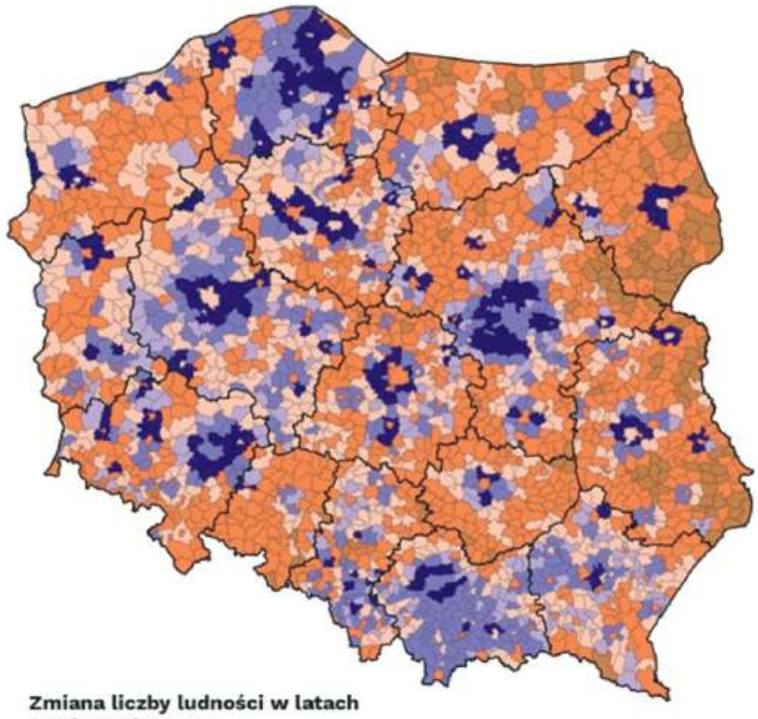
Czy są metody, żeby przewidzieć, ile osób będzie głosowało za granicą?

– Rozpatruje się różne scenariusze. Najprościej pewnie byłoby przyjąć liczbę głosujących z poprzednich wyborów. Można też przyjąć bardziej skomplikowane rozwiązanie, które jakiś czas temu postulował prof. Jacek Haman. To jest tzw. rozwiązanie czeskie: obwody głosowania za granicą są losowo przyporządkowywane do różnych okręgów w kraju. W ten sposób głosy padające za granicą rozpraszają się po wszystkich okręgach w kraju proporcjonalnie, co też odzwierciedla w jakimś sensie realną sytuację.

Bo głosujący niekoniecznie są z Warszawy.

– Ale są również takie opinie jak prof. Jarosława Flisa, że doliczanie głosów padających za granicą do stolicy to nie problem i systemowe obniżenie wartości głosu w Warszawie jest w gruncie rzeczy uzasadnione. Bo przecież Warszawa i tak jest centrum życia politycznego w Polsce, poza tym mamy tzw. spadochroniarzy,

eprasa.pl 0c31442585



czyli polityków z central partyjnych, którzy są wysyłani z Warszawy do innych okręgów. Więc może i Warszawa ma słabszy głos, ale w innych wymiarach jest w gruncie rzeczy uprzywilejowana, czyli mamy tu jakąś równowagę. Nie zgadzam się z tym, ale takie stanowisko też w debacie się pojawia.

A jak wiele by się zmieniło w Sejmie, gdyby korekta demograficzna została wprowadzona? Które partie by zyskały?

– O której korekcie pan myśli? Tej najbardziej ograniczonej, czy tej uwzględniającej głosujących za granicą?

O najprostszej, ograniczonej.

– Z tych analiz, które znam i które prowadziłem po wyborach z 2023 r., wynika, że zmiany byłyby marginalne. Dotyczyłyby zmiany przynależności pojedynczych mandatów, więc nie zawsze łatwo przewidzieć, która partia byłaby ich beneficjentem. Proszę zwrócić uwagę, jedyne, na czym możemy w takich prognozach się oprzeć, to rozkład głosów z poprzednich wyborów parlamentarnych. A przecież elektorat w Polsce jest dość płynny, wbrew tym wszystkim narracjom o zabetonowanej scenie politycznej. Rozłam w PiS, wzrost poparcia dla Konfederacji, jednej i drugiej, rozpad Trzeciej Drogi, zanikający elektorat Polski 2050. To są wszystko czynniki, które mogą wpływać na dystrybucję tego ostatniego mandatu w okręgu.

Oczywiście w okręgach, z których mandat zostanie zabrany, zwiększy się ryzyko porażki dla już wybranych tam posłów, którzy będą się starać o ponowny wybór. Z tych analiz, które znam, wynika, że systematycznego uprzywilejowania którejś ze stron sceny politycznej raczej nie będzie. To mogą być różnice rzędu jednego, dwóch mandatów, niewielkie w obliczu tego, że Sejm jest 460-mandatowy. I co chyba najważniejsze, są one bardzo trudne do przewidzenia.

Ale nam chyba nie chodzi o polityków, tylko o obywateli, żeby wszyscy byli równo traktowani, żeby nie było podziału na lepszych i gorszych, których głos waży dwa razy mniej.

– Do tego powinniśmy dążyć, chodzi tu o pryncypia i racjonalność systemu. Gdy dbamy o takie zasady jak równość głosu, buduje się wiara, że wybory są bezstronnym mechanizmem.

To jest istota demokracji przedstawicielskiej, że nawet przegrani akceptują wynik wyborów i uważają, że procedura, która doprowadziła do ich przegranej, była sprawiedliwa. I że w ramach tej samej procedury będą mogli się ubiegać o władzę w kolejnych wyborach. Podważanie tego, naruszanie przekonania obywateli, że to wybory rozstrzygają spory w społeczeństwie, jest prostą drogą do tego, żebyśmy w ogóle pozbawili się takiej instytucji.

4 września Sejm uchwalił nowelizację Kodeksu wyborczego. Senat ją przyjął. W tej chwili nowelizacja jest na biurku prezydenta.

– Nowelizacja przewiduje, że to Państwowa Komisja Wyborcza, w ramach obwieszczenia publikowanego w Dzienniku Ustaw, będzie co roku aktualizować liczbę mandatów przypadających na poszczególne okręgi wyborcze w Polsce, na podstawie ogólnopolskiego Centralnego Rejestru Wyborców. A jeśli PKW tej decyzji nie podejmie, to podejmowałby ją Naczelny Sąd Administracyjny. W ten sposób omijamy problem nieszczęsnego załącznika numer 1 do Kodeksu wyborczego, który na sztywno w 2011 r. przydzielił mandaty do poszczególnych okręgów wyborczych i zacementował istniejący podział. Żeby cokolwiek zmienić, trzeba było zmienić ustawę. A posłowie tego nie chcieli robić, mimo apeli PKW i listów wysyłanych do kolejnych marszałków Sejmu.

Jeżeli prezydent podpisze Kodeks wyborczy, podział mandatów będzie się odbywał niejako z automatu. A czy będzie to dotyczyło głosujących za granicą?

– Nie. To jest tzw. mała korekta.

Uda się? Prezydent podpisze nowelizację Kodeksu wyborczego?

– Szczerze mówiąc, trochę się niepokoję, dlatego że kwestia korekty demograficznej została połączona z kilkoma innymi zmianami, które wnioskodawcy uznają za mniej znaczące, ale one mogą dawać jakąś

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, INFOGRAFIKA PIE NA PODSTAWIE DANYCH BLG GUS

eprasa.pl 0c31442585

podstawę do sprzeciwu, zwiększają ryzyko prezydenckiego weta.

Osobiście uważam, że lepszą strategią byłoby rozdzielenie tych kwestii, a przede wszystkim podjęcie dyskusji o nowelizacji Kodeksu wyborczego wcześniej. Moim zdaniem jest błędem politycznym, że tej kwestii nie rozwiązano niezwłocznie po wyborach z 2023 r. Proponowane przez ekspertów przepisy leżały na stole i wystarczyło przyjąć bardzo prostą nowelizację. Na fali zainteresowania wyborami, ale i dlatego, że do kolejnych daleko, miałoby to szansę powodzenia. A teraz zawsze można ukuć argument, na podstawie wcześniejszego orzecznictwa Trybunału Konstytucyjnego, że jest to bardzo istotna zmiana Kodeksu wyborczego i nie można jej wprowadzać z tak krótkim vacatio legis, rok przed wyborami. Spór będzie się toczył, mimo że to przywrócenie stanu oczekiwanej, potrzebnej nam sprawiedliwości.

Gorący spór w Sejmie między koalicją a opozycją o Kodeks wyborczy nie jest dobrą zapowiedzią.

– W dyskusji sejmowej, która toczyła się przy okazji prezentowania tego projektu, główny argument był w zasadzie taki, że w uzasadnieniu potrzeby nowelizacji były wzmianki o nieprawidłowościach w wyborach prezydenckich. To wzbudzało sprzeciw klubów PiS i Rozwoju Plus. Oceniając tę dyskusję… Wydaje mi się, że politycy nie powściągnęli swojego temperamentu. Bo umówmy się, kwestia rozkładu mandatów w wyborach do Sejmu nijak się ma do problemów z komisjami wyborczymi w 2025 r. Do tego jeszcze różne drobne kwestie mogą urosnąć do rangi wielkiej kontrowersji. Na przykład przepis nowelizacji, który nakazuje czekać na wyniki z obwodów głosowania za granicą w celu ustalenia ostatecznych wyników wyborów. W tej chwili w Kodeksie wyborczym obowiązuje reguła, że te wyniki muszą spłynąć w ciągu 24 godzin od zakończenia głosowania.

Ten przepis wycofano z obawy, że jeśli któraś komisja nie zdąży policzyć głosów w ciągu 24 godzin, wszystkie te głosy zostaną unieważnione.

– I teraz przeciwnicy nowelizacji podnieśli obawy, że skoro usunie się ten przepis, to jest ryzyko, że przez jakiś jeden spóźnialski obwód, który nie poda wyników, nie będziemy mieli możliwości rozstrzygnięcia np. pierwszej tury głosowania w wyborach prezydenta. A przecież druga tura musi się odbyć w ciągu dwóch tygodni od pierwszej. Oczywiście to skrajnie nieprawdopodobny scenariusz, ale pokazuje, że włączenie do nowelizacji kilku różnych kwestii daje kolejne preteksty do weta prezydenta.

W Polsce nierówności pod względem miejsca zamieszkania rosną. Nie zmieniamy podziału mandatów pomiędzy okręgi wyborcze w wyborach do Sejmu.

Czyli głos wyborcy w Elblągu wciąż ma znaczyć dwa razy więcej niż głos wyborcy w Warszawie? A gdy doda się 600 tys. głosujących za granicą, to nawet trzy razy więcej. Porównywałem też okręg Lublin z Warszawą II, mają mniej więcej tyle samo mieszkańców. Lublin wybiera 15 posłów, a Warszawa II – 12. A jeden i drugi powinien mieć po 14 mandatów.

– Dwóch mandatów brakuje w obwarzanku warszawskim. To jest ze względów demograficznych chyba najbardziej niedoreprezentowany okręg, bo w pozostałych miejscach jest kwestia jednego mandatu.

A co do głosów za granicą… Mówiliśmy o tym – nowelizacja tego problemu nie rozwiązuje. Nadal więc będzie nabrzmiały. Jest jeszcze jeden aspekt: pamiętajmy, że głosy wyborców w naszym systemie to nie są tylko głosy na partie, ale również na konkretnych kandydatów, dające im prawo pierwszeństwa do objęcia mandatu. Około 25% posłów w polskim Sejmie dostaje mandat wbrew kolejności wynikającej z ich miejsca na liście. To wyborcy ich jakby popychają do góry i pozwalają im wziąć mandat, prześcignąć kolegów i koleżanki z listy. I jeżeli mamy listę warszawską, a głosują na nią wyborcy za granicą, którzy być może nawet nigdy w Warszawie nie byli, to w naturalny sposób mają oni tendencję do głosowania na najbardziej rozpoznawalnych, ze szczytu listy. W ten sposób tracić będą kandydaci lokalni, tacy, którzy być może nie mają prominentnej pozycji w swoich partiach, gwarantującej im wysokie miejsce na liście, ale są rozpoznawalni w swoich osiedlach i dzielnicach Warszawy.

Dużo też mówi się o progach wyborczych, 5% i 8%, które odbierają szanse mniejszym partiom. One i system D'Hondta uderzają w mniejsze partie.

– To nie progi i nie D'Hondt! A przynajmniej nie w pierwszej kolejności. Na dysproporcjonalność i trudny los mniejszych partii najbardziej wpływają stosunkowo nieduże okręgi wyborcze. Przeciętna wielkość okręgu wyborczego w Polsce to ok. 11 mandatów, a im mniejszy, im mniej mandatów jest w nim rozdzielanych, tym wyższy staje się tzw. naturalny próg wyborczy – procent głosów, który trzeba przekroczyć, żeby dostać chociaż jeden mandat.

Ten naturalny próg w takim okręgu to 8-9%.

– Może być nawet mniej w okręgu siedmiomandatowym. W Polsce większość okręgów wyborczych jest za mała, żeby 5% głosów w okręgu wystarczało do zdobycia tam chociaż jednego mandatu. To mankament, tylko że próba jego usunięcia mocno uderzałaby w równowagę sił pomiędzy partiami politycznymi. A wiadomo, że indyki nie głosują za Świętem Dziękczynienia, więc duże partie nie pozwolą na to, aby w Polsce nastąpiła jakaś gruntowna zmiana w tym zakresie.

Dlatego dobrze, że próba nowelizacji Kodeksu wyborczego została podjęta, żeby uregulować nierówności w okręgach wyborczych. Odłożenie tego tematu po raz kolejny byłoby naprawdę kompromitujące. Przynajmniej więc wiemy, że rozwiązanie ważnego, jasno zdiagnozowanego problemu leży na stole u prezydenta.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 0c31442585



Obok siebie

Ukraińskie dzieci coraz częściej są w szkole izolowane, mają problem z asymilacją i relacjami rówieśniczymi

Maciej Belowski

Dzieci z Ukrainy trafiały do polskich szkół w różnych momentach wojny i z różnym bagażem doświadczeń. Niektóre nie znały ani słowa po polsku, inne mieszkały w Polsce jeszcze przed 2022 r. Po kilku latach część ma polskich przyjaciół i mówi bez akcentu, a inne spędzają przerwy tylko w ukraińskim gronie lub samotnie. Spotykają się z najróżniejszymi reakcjami: od życzliwości po wyzwiska, dyskryminację rówieśniczą i ksenofobiczną przemoc.

Raport Centrum Edukacji Obywatelskiej oraz Fundacji International Rescue Committee Polska z sierpnia br. „Uczniowie-cudzoziemcy w polskich szkołach w roku szkolnym 2025/2026", sporządzony na bazie danych z Systemu Informacji Oświatowej z kwietnia br., wskazuje, że w polskich szkołach uczyło się 155,3 tys. uchodźców z Ukrainy. Po doliczeniu 55 tys. migrantów sprzed wojny dawało to ok. 210 tys. ukraińskich uczniów zapisanych do polskich placówek oświatowych. W kwietniu 2026 r. większość uczniów uchodźców – 110,7 tys. – uczęszczała do szkół podstawowych. Z kolei w szkołach ponadpodstawowych ich liczba wzrosła z ok. 20 tys. w kwietniu 2023 r. do 44,6 tys. w kwietniu 2026 r.

Liczby pokazują, ile ukraińskich dzieci i nastolatków siedzi w polskich ławkach, ale nie to, czy mają z kim usiąść i porozmawiać na przerwie. Przez pierwsze miesiące wojny zastanawiano się, czy system edukacji wytrzyma zwiększoną liczbę uczniów. Dziś należałoby zadać sobie trudniejsze pytanie: co rzeczywiście dzieje się z tymi dziećmi w szkole?

Wsparcie, które znika

Gdy w 2022 r. do szkół trafiło ponad 100 tys. dzieci z Ukrainy (raport Centrum Edukacji Obywatelskiej), wiele z nich nie mówiło po polsku. Odpowiedzią na to miały być

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 0c31442585

oddziały przygotowawcze. Według CEO w roku szkolnym 2021/2022 uczyło się w nich 25,7 tys. uchodźców, a w 2025/2026 już tylko 2,6 tys. Odsetek uchodźców korzystających z dodatkowych lekcji polskiego spadł z 48% w kwietniu 2025 r. do 28% rok później.

Za statystykami stoją konkretne sytuacje. Danylowi (imię zmienione), uczniowi podstawówki, jak relacjonuje siostra, z polskim pomagała jedna z pań ze szkoły. Kiedy się zwolniła, żaden z polskich nauczycieli nie prowadził już zajęć jeden na jeden. Chłopiec podkreślał też, że w jego szkole nigdy nie było zajęć grupowych.

Światy równoległe

Gdy pytam uczniów o relacje w klasie, rzadko dostaję w odpowiedzi historie o prześladowaniu. Częściej – o cichej separacji. Uczennica z liceum pisze: „W klasie prawie nie rozmawiam z kolegami i koleżankami poza sprawami związanymi ze szkołą. Moi rówieśnicy z klasy raczej nie próbują nawiązywać ze mną bliższego kontaktu. Być może jest to związane z moją znajomością języka polskiego, ale ja sama również nie podejmowałam zbyt wielu prób, żeby zacząć z nimi więcej rozmawiać". Na końcu dodaje, że kontakt utrzymuje głównie z osobami rosyjskojęzycznymi spoza swojej klasy.

Siostra Danyla opowiada, że jej brat ma w klasie kilku kolegów z Ukrainy i z Polski, ale w zasadzie rozmawia tylko z Ukraińcami. Mają swoją grupkę i cały czas są razem. Raczej nie za bardzo się zasymilował z Polakami.

Inaczej wygląda to u ukraińskiego ucznia podstawówki z mniejszej miejscowości. On i jego mama Katia mówią, że więcej ma w szkole kolegów Polaków niż Ukraińców. Po pięciu latach w Polsce mówi bez akcentu tak, że nikt nie poznaje, że pochodzi z Ukrainy.

Pytany o to, czy w polskich szkołach dominuje integracja, czy asymilacja, dr Jędrzej Witkowski, ekspert edukacyjny, prezes zarządu Fundacji Centrum Edukacji Obywatelskiej, odpowiada, że problemem jest coś innego. – Te wspólnoty zbyt często funkcjonują równolegle. Za mało jest punktów przecięcia, uczniowie nie tworzą jednej wspólnoty, tylko żyją obok siebie, a nie ze sobą.

Integracja nie dzieje się sama. – To nie jest coś, co pojawia się ni stąd, ni zowąd, np. po jednym wydarzeniu. To skutek świadomych i zaplanowanych działań nas, dorosłych – podkreśla dr Witkowski. Według niego dzieciom łatwiej się integrować, gdy w klasie jest mniej uczniów cudzoziemskich i gdy nauczyciele poświęcają temu uwagę. Gorzej, jeśli cudzoziemców jest pięcioro lub siedmioro, a nauczyciel nie dba o to, by mieszali się z polską grupą. Wolniej wtedy uczą się polskiego, wolniej się integrują i siłą rzeczy pojawiają się tarcia między grupą polską a ukraińską.

To polska ławka

Pojawia się też przemoc. Danylo opisywał siostrze, jak grał w parku w piłkę z ukraińskimi kolegami i zaczepiało go dwóch Polaków w jego wieku właśnie z powodu języka. Innym razem, latem, trzech chłopców z innej klasy zabrało mu piłkę i śmiało się, że mówi po ukraińsku. Zapytany, co zmieniłby w polskiej szkole, odpowiada, że chciałby, żeby nie było bójek i żeby nie mówiono, że ktoś jest „inny".

Poważniejszą sytuację opisuje Katia. W ubiegłym roku szkolnym trzech starszych uczniów miało czekać na jej syna na przerwie pod klasą, popychać go i obrażać. W dzienniku elektronicznym pojawiła się uwaga, że to syn Katii kogoś zaczepił. Poprosiła o nagrania z kamer szkolnych, ale dyrektor – według jej relacji – odmówił, powołując się na RODO. Dopiero po kolejnym wniosku, w którym wspomniała o policji, pozwolono jej obejrzeć nagranie. Według jej opisu widać na nim, że chłopiec idzie do łazienki, ktoś podstawia mu nogę, a potem uczniowie kopią się na korytarzu. Wśród starszych chłopców był jeden

W roku szkolnym 2021/2022 w oddziałach przygotowawczych uczyło się 25,7 tys. uchodźców, a w 2025/2026 już tylko 2,6 tys.

Wsparcie często opiera się na konkretnych osobach. Siostra Danyla mówiła, że poprzednia wychowawczyni brata organizowała dla klasy wyjścia i treningi integracyjne, bo rozumiała, że do szkoły trafiło wielu nowych uczniów z Ukrainy i Białorusi. Nowa wychowawczyni – ocenia siostra – nie jest już tak zaangażowana. Podobne doświadczenia ma uczennica drugiej klasy liceum, która także poprosiła o anonimowość. Pisze, że większość nauczycieli nie oferuje jej szczególnej pomocy w nauce, ale niektórzy, gdy dowiadują się, że nie pochodzi z Polski, starają się ją wesprzeć: okazują zrozumienie albo pomagają w konkretnych sprawach.

Dr Eugeniusz Bilonożko, nauczyciel i dziennikarz, od ponad siedmiu lat uczy w polskich szkołach – obecnie w prywatnej podstawówce, wcześniej był wykładowcą na ukraińskim uniwersytecie. Zwraca uwagę na początki. – Największym problemem było to, że od 2022 r. nie wprowadzono obowiązku szkolnego, tylko była możliwość nauki online. Te dzieci na początku nie wdrożyły się językowo i nie nawiązały relacji. Kiedy w 2024 r. musiały już obowiązkowo wejść do polskiego systemu edukacji, pojawił się problem.

Dr Eugeniusz Bilonożko: Największym problemem było to, że od 2022 r. nie wprowadzono obowiązku szkolnego, tylko była możliwość nauki online.

eprasa.pl 0c31442585

Ukrainiec i dwóch Polaków. Gdy poszła do dyrektora, ten zapytał, jaką karę powinno ponieść jej dziecko. Odpowiedziała, że żadną, bo to nie ono zaczęło. Katia ma wrażenie, że nauczyciele nie dopytują, kto zawinił, i że więcej wiary daje się polskim dzieciom.

Dr Bilonożko, który zaznacza, że opiera się na opowieściach kolegów z państwowych szkół w Warszawie i Łodzi, uważa, że część podobnych zdarzeń nie wychodzi na jaw, bo szkoły wolą je wyciszać. Wielu dyrekcjom zależy przede wszystkim na tym, żeby przetrwać i żeby wszystko zgadzało się w dokumentacji. Wtedy lepiej wyciszyć każdy konflikt, nie tylko dotyczący dzieci ukraińskich. Formalnie szkoła nie musi interweniować, jeśli zdarzenie ma miejsce poza jej terenem lub czasem lekcji. Rodzice nie zawsze wiedzą, jak dochodzić swoich praw, często więc łatwiejszą drogą dla nich jest zmiana szkoły.

Z kolei dr Witkowski wskazuje, że nauczyciele często traktują te sytuacje jako zwykłe konflikty między dziećmi: – Jeśli dzieci wyzywają się od Polaka i od Ukraińca, to nawet gdy konflikt nie zaczął się od narodowości, nałożono na niego taką warstwę. To jest rzecz do zaopiekowania, także w kontekście różnorodności. Szkoły radzą sobie, jak potrafią, choć nie zawsze wystarczająco dobrze, bo nikt nie uczył nauczycieli, jak pracować w tak zróżnicowanym środowisku.

Otwarta wrogość uderza zresztą z obydwu stron – pojawia się zarówno w mediach społecznościowych, jak i w codziennym życiu. Trudno ustalić dokładną skalę przemocy wobec dzieci. Udokumentowane przypadki zebrało Stowarzyszenie Nigdy Więcej w raporcie „To jest polska ławka" z września br. Na 50 stronach opisano w nim wybrane zdarzenia z lat 2022-2026 dotyczące dzieci i młodzieży, w tym uchodźców wojennych z Ukrainy. To dokumentacja oparta m.in. na komunikatach policji i prokuratury oraz relacjach rodziców i mediów. Stowarzyszenie zaznacza, że w 2026 r. zdarzeń na tle narodowościowym odnotowano znacznie więcej niż w poprzednich latach.

W listopadzie 2023 r. w powiecie bielskim trzech 13-latków pobiło w szkole 11-letniego ucznia z Ukrainy. Chłopiec trafił do szpitala, ale po badaniach wrócił do domu. W październiku 2025 r. w Chorzowie siódmoklasista miał wyzywać koleżankę z Ukrainy na lekcji wychowania fizycznego w obecności nauczyciela, a jej matka opisuje, że córka czuje się zagrożona i nie może normalnie spać. W marcu 2026 r. w Olsztynie uczeń podstawówki na lekcji uderzył kolegę z Ukrainy – według matki chłopca nauczyciel wspomagający nie zareagował, a szkoła od dawna bagatelizowała sygnały o nękaniu. Do przemocy dochodziło również poza szkołą, a atakującymi byli dorośli: w czerwcu 2026 r. w Gdańsku kobieta pobiła w parku 14-latka, po tym jak usłyszała, że rozmawia po ukraińsku; atak przerwała dopiero inna kobieta.

Rzadko słychać o prześladowaniu. Częściej mówi się o cichej separacji.

Skąd się biorą takie zachowania? Dr Bilonożko przyczyn nie szuka w szkole. – Konflikt często wyrasta z rywalizacji pomiędzy dziećmi. A uprzedzenie rodzi się w domu, z obserwacji zachowań z zewnątrz. Dziecko to kopiuje, naśladuje.

Podobnie widzi to dr Witkowski, choć zastrzega, że brakuje danych statystycznych. – Na pewno dzieci przynoszą do szkoły to, co słyszą w domu. Jeśli słyszą więcej antyukraińskich komentarzy, to te komentarze zaczynają się pojawiać w klasie i przekładają się na relacje. Ale nie mamy danych, które pozwalają powiedzieć, jak zmiana narracji o obecności Ukraińców w Polsce przekłada się na to, co się dzieje w klasach. Możemy tylko hipotetyzować, że przekłada się w sposób istotny. Sytuacja jest dynamiczna.

Rodziców, którzy chcieliby publicznie opowiedzieć o szkole, nie było łatwo znaleźć. Obraz, który pozostaje po rozmowach, jest niejednoznaczny: bywa dobrze, ale bywa i trudno.

Czego brakuje

Zapytany o zmiany, dr Bilonożko zaczyna od pracowników szkoły: – Wyższe zarobki i więcej przygotowanych kadr. Jeśli nauczyciel łączy wychowawstwo z prowadzeniem lekcji, a do tego sam musi rozwiązywać złożone konflikty, to po prostu nie daje rady, ani psychicznie, ani fizycznie. Ważna jest też wiedza o uczniach, bo przez lata panowała iluzja, że Ukraińcy i Polacy są sobie kulturowo bardzo bliscy. Te różnice istnieją i szkołom brakuje narzędzi, by wytłumaczyć nauczycielowi, skąd bierze się taka czy inna wrażliwość. Jeśli pedagog sam nie ma skąd czerpać tej wiedzy, państwo musi mu pomóc.

Szkoła, jak mówi dr Bilonożko, musi się nauczyć bycia instrumentem integrowania migrantów. Na razie tego nie umie i nie wie, jak to zrobić. Jednak system się nie załamał. Jest dość wydolny, bo potrafił przyjąć te dzieci i w 2024 r. nic się nie zawaliło.

Dr Witkowski zaś podkreśla, że to nie jest problem przejściowy. – Szkoła stała się różnorodna na dobre. Te dzieci nie znikną. Musimy nauczyć się w tej różnorodności żyć i nią zarządzać – mówi. Od władz oświatowych oczekuje jednak czegoś konkretnego. – Potrzebujemy zrozumienia po stronie władz oświatowych, ministerstwa i kuratoriów, że to jest temat ważny. Szkoły potrzebują uwagi wspierającej, a nie dyscyplinującej – dodaje. Przypomina też, że w większości szkół różnorodność jest zjawiskiem nowym, a nikt nie szkolił nauczycieli, jak rozwiązywać konflikty o podłożu narodowościowym.

Szkoła może jednak sporo zrobić już teraz: nie zostawiać integracji przypadkowi, tworzyć sytuacje, w których dzieci muszą współpracować. I dać nauczycielom realne wsparcie. Bez tego polskie i ukraińskie dzieci nadal będą siedzieć w tych samych ławkach – ale w zupełnie innych światach.

Maciej Belowski

eprasa.pl 0c31442585

Polska transplantologia bez kompleksów

Mamy specjalistów na światowym poziomie, ale wciąż brakuje dawców serca

Marek Czarkowski

Pod koniec sierpnia Polską wstrząsnął dramat 13-letniego Tymona z Katowic. Chłopiec urodził się z wadą serca. Przeszedł ponad 30 skomplikowanych procedur medycznych. W ostatnich dwóch latach jego stan zaczął się pogarszać. 19 sierpnia br. doszło do załamania wydolności krążeniowo-oddechowej. Na Oddziale Intensywnej Terapii Górnośląskiego Centrum Zdrowia Dziecka w Katowicach Tymon został podłączony do sztucznego płuco-serca (ECMO) i trafił na sam szczyt listy oczekujących w Polsce na przeszczep.

Widząc jego pogarszający się z godziny na godzinę stan rodzice wystosowali poruszający apel w mediach społecznościowych oraz ogólnopolskich stacjach telewizyjnych. Nie prosili o zbiórkę pieniędzy. Nie szukali „dedykowanego" serca dla swojego syna. Apelowali do lekarzy pracujących na oddziałach intensywnej terapii o odwagę w podejmowaniu rozmów z rodzinami zmarłych pacjentów i o przełamanie tabu wokół tematu transplantacji narządów.

25 sierpnia pojawiła się informacja o znalezieniu odpowiedniego serca od dziecka zmarłego w stolicy Czech. Tymon został pilnie przetransportowany do Kliniki Chirurgii Serca, Klatki Piersiowej i Transplantologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Niestety, z powodu długotrwałego wspomagania ECMO u chłopca rozwinęła się sepsa. Jego organizm był zbyt słaby, by przeżyć operację. Tymon zmarł w obecności rodziców 26 sierpnia o godz. 16.30, po odłączeniu od aparatury podtrzymującej życie. Sprowadzone z Czech serce otrzymał inny pacjent oczekujący na narząd, 16-letni chłopiec, który także przyszedł na świat z wadą serca.

Śmierć Tymona poruszyła społeczeństwo. Jego rodzice zapowiedzieli kontynuację działań na rzecz promocji transplantologii w Polsce, czyniąc z osobistej tragedii motywację do edukowania społeczeństwa w zakresie dawstwa organów.

Najważniejsi w przeszczepach

Pierwsza w Polsce próba przeszczepienia serca miała miejsce 4 stycznia 1969 r. w II Klinice Chirurgicznej Łódzkiej Akademii Medycznej. Operację przeprowadził zespół pod kierunkiem prof. Jana Molla, w skład którego wchodzili późniejsi wybitni kardiochirurdzy Kazimierz Rybiński i Antoni Dziatkowiak. Zabieg odbył się zaledwie 13 miesięcy po przełomowej operacji dr Christiaana Barnarda w Kapsztadzie przeprowadzonej w grudniu 1967 r. Pod względem technicznym operacja przebiegła pomyślnie – nowe serce podjęło pracę, jednak po kilku godzinach pacjent zmarł z powodu ostrej niewydolności prawokomorowej.

Na kolejną taką operację przyszło czekać 18 lat. 5 listopada 1985 r. w Wojewódzkim Ośrodku Kardiologii w Zabrzu zespół doc. Zbigniewa Religi, z udziałem przyszłych profesorów Andrzeja Bochenka i Mariana Zembali, przeprowadził pierwszy udany przeszczep serca w Polsce. Biorcą był Józef Krawczyk, 62-letni rolnik z Krzepic. Niestety, pacjent zmarł po kilku dniach na skutek powikłań pooperacyjnych.

Wielkim sukcesem prof. Religi okazała się dopiero 19. operacja z sierpnia 1987 r. Pacjent, 61-letni Tadeusz Żytkiewicz, żył po przeszczepie jeszcze ponad 30 lat. Zmarł we wrześniu 2017 r. Jego wdzięczność wobec lekarza najlepiej oddaje przytoczona przez PAP wypowiedź: „Byłem skazany na odejście, a on mi uratował życie". Wspominał też, że ufał Relidze bezgranicznie, mimo że taka operacja była wtedy niezwykle ryzykowna.

Dziś polska transplantologia serca to nie anonimowy system, lecz osiem znakomitych ośrodków i wybitni kardiochirurdzy, którzy od dekad przesuwają granice tego, co możliwe.

W Zabrzu działa Śląskie Centrum Chorób Serca (SCCS), w którym niegdyś pracował prof. Religa. Dziś koordynatorem Oddziału Kardiochirurgii, Transplantacji Serca i Płuc oraz Mechanicznego Wspomagania Krążenia

Rodzice Tymona apelowali do lekarzy o odwagę w podejmowaniu rozmów z rodzinami zmarłych pacjentów oraz o przełamanie tematu tabu wokół transplantologii narządów.

eprasa.pl 0c31442585



61-letni Tadeusz Żytkiewicz, pacjent prof. Zbigniewa Religi, żył po przeszczepie jeszcze ponad 30 lat. Maj 2007 r.

jest w nim dr hab. n. med. Tomasz Hrapkowicz, a koordynatorem programu transplantacji serca u dzieci i dorosłych – dr Szymon Pawlak. W 2024 r. wspólnie z dr Joanną Śliwką oraz lekarz Moniką Żurek dr Pawlak przeprowadził pierwszy ponowny przeszczep serca u dziecka (retransplantację). To szczególnie wymagający rodzaj zabiegu, gdyż pacjent ma już za sobą transplantację i długotrwałe leczenie, a ponownie trzeba mu wszczepić „nowe" serce.

Kierownikiem Kliniki Kardiochirurgii i Transplantologii Narodowego Instytutu Kardiologii w Aninie jest dr Krzysztof Kuśmierski; w 2018 r. był on członkiem zespołu, który przeprowadził pierwszą w Polsce jednoczesną transplantację serca i wątroby. Kardiochirurgiczną częścią operacji, przeszczepem serca, kierował prof. Mariusz Kuśmierczyk, obecnie pracujący w Uniwersyteckim Centrum Klinicznym Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, w którym kieruje Kliniką Chirurgii Serca, Klatki Piersiowej i Transplantologii. W 2024 r. prof. Kuśmierczyk kierował zespołem, który po raz pierwszy w Polsce wszczepił pacjentowi całkowicie sztuczne serce Aeson firmy Carmat.

Kierownikiem Oddziału Klinicznego Chirurgii Serca, Naczyń i Transplantologii Krakowskiego Szpitala Specjalistycznego im. św. Jana Pawła II jest prof. Bogusław Kapelak, który wykonał ponad 400 przeszczepów serca.

Kliniką Kardiochirurgii i Transplantologii Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w poznańskim Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym kieruje prof. Marek Jemielity. W 2007 r. był członkiem zespołu operującego pod kierunkiem amerykańskiego kardiochirurga prof. Michaela J. Reardona, który usunął pacjentowi złośliwego guza serca metodą autotransplantacji. Była to 12. w świecie tego rodzaju operacja. Prof. Jemielity przeprowadził ok. 100 operacji przeszczepu serca i jest autorem ponad 300 prac naukowych.

Równie imponujące osiągnięcia mają prof. Michał Zakliczyński kierujący Kliniką Transplantacji Serca i Mechanicznego Wspomagania Krążenia we wrocławskim Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym im. Jana Mikulicza-Radeckiego, jak również prof. Piotr Suwalski z warszawskiego Państwowego Instytutu Medycznego MSWiA.

Polska transplantologia serca dawno już weszła w wiek dojrzały. Osiągnęliśmy poziom, o którym pokolenie prof. Religi mogło tylko marzyć.

Liczą się czas i nowoczesne technologie

Od czego zaczyna się przeszczep serca? W środku nocy gdzieś w Polsce dzwoni telefon i pada zdanie: „Jest serce!". W tym momencie rusza zegar, którego zatrzymać nie można. Serce wyjęte z klatki piersiowej dawcy zaczyna umierać. W metodzie klasycznej (tzw. zimna niedokrwienna konserwacja) jest ono przechowywane w specjalnym pojemniku wypełnionym lodem. Czas, w którym narząd nadaje się do przeszczepienia, liczony jest w godzinach: od czterech do maksymalnie sześciu. To twarda arytmetyka biologii. A należy serce przewieźć często kilkaset kilometrów i wszczepić czekającemu w sali operacyjnej pacjentowi. Każdy korek na drodze, mgła nad lotniskiem czy awaria sprzętu to ryzyko. I tu pojawia się nowoczesna technologia.

6 stycznia 2025 r. w Dziecięcym Szpitalu Klinicznym UCK Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego wszczepiono serce 14-letniej Oliwii. Narząd pobrano na Litwie i przywieziono karetką do Warszawy. Transport trwał ponad siedem godzin – dużo dłużej, niż byłoby to możliwe w przypadku klasycznej metody przechowywania w pojemniku z lodem.

Stało się tak dzięki przenośnemu urządzeniu o nazwie OCS Heart, które waży ok. 59 kg i jest w stanie podtrzymać żywotność serca dawcy poza organizmem. Ogrzewa narząd, przepuszcza przez naczynia odpowiednio natlenioną krew ze składnikami odżywczymi i pozwala kontrolować jego stan podczas transportu. Produkuje taki sprzęt amerykańska firma TransMedics. Był to pierwszy

FOT. MARCIN SMULCZYŃSKI/SE/EAST NEWS

eprasa.pl 0c31442585

w Polsce przeszczep serca przywiezionego z zagranicy w tym urządzeniu. OCS Heart dla warszawskiego ośrodka zakupiono dzięki zbiórkom Fundacji dla Transplantacji „Zostaw serce na ziemi", a nie ze środków budżetowych lub NFZ. OCS Heart to jedna z technologii, które przesuwają granice możliwego.

Druga to wspomaganie mechaniczne LVAD (Left Ventricular Assist Device) – mechaniczna pompa wspomagająca lewą komorę serca lub przejmująca jej pracę. Urządzenie to wszczepia się wybranym pacjentom z zaawansowaną niewydolnością serca. Nie usuwa się przy tym narządu – pompa pomaga mu wykonywać pracę. LVAD nie natlenia też krwi – tę funkcję nadal pełnią płuca.

LVAD w najnowszych wersjach, z wirnikiem lewitującym magnetycznie, pozwala pacjentom nawet wrócić do domu i czekać na przeszczep poza szpitalem.

W Polsce dominującą strategią medyczną jest właśnie taki pomost do transplantacji serca. Według ogólnopolskiego rejestru POL-LVAD w latach 2022-2024 wszczepiono 266 urządzeń tego typu. Zestawienie nie określa jednak liczby osób żyjących dziś z taką pompą. Z LVAD można mieszkać we własnym domu, spacerować, spotykać się z bliskimi, a po rehabilitacji – wrócić do pracy i podróżowania. Wielu chorych odzyskuje sprawność ograniczoną wcześniej przez niewydolność serca. Jednak codzienność wymaga stałej dbałości o zasilanie, pielęgnacji miejsca wyprowadzenia przewodu z ciała oraz gotowości do reagowania na alarmy. Pompa pracuje nieprzerwanie i nie można jej odłączyć na czas snu albo czynności higienicznych. LVAD nie zastępuje leczenia. Pacjent nadal potrzebuje leków, w tym przeciwkrzepliwych, podawanych według ustalonego schematu, badań krwi oraz kontroli stanu serca. Musi też stosować odpowiednią dietę, pilnować ilości płynów oraz nauczyć się samodzielnych pomiarów.

Trzecią metodą ratowania ludzkich serc jest ksenotransplantacja, czyli przeszczep serca zwierzęcego. 7 stycznia 2022 r. Amerykanin David Bennett otrzymał serce genetycznie zmodyfikowanej świni. Operacja odbyła się w University of Maryland Medical Center w Baltimore. Głównym chirurgiem był dr Bartley P. Griffith, kluczową rolę naukową i organizacyjną w zabiegu odegrał zaś dr Muhammad M. Mohiuddin, współtwórca programu transplantacji serc zwierzęcych na Uniwersytecie Maryland. W pierwszych tygodniach narząd funkcjonował dobrze, bez oznak odrzucania. Pacjent rehabilitował się, spędzał czas z rodziną i nawet obejrzał mecz Super Bowl. Jednak do domu nie wrócił. W 49. dniu po przeszczepie stwierdzono gwałtowne pogrubienie ścianek przeszczepionego serca oraz jego niewydolność. W 60. dniu, po stwierdzeniu nieodwracalnego uszkodzenia przeszczepu, odstąpiono od dalszego zaawansowanego podtrzymywania życia. David Bennett zmarł.

20 września 2023 r. ten sam zespół chirurgów z University of Maryland Medical Center wszczepił serce genetycznie zmodyfikowanej świni drugiemu pacjentowi, Lawrence'owi Faucette'owi. Jednak i ten zabieg nie zakończył się pomyślnie. Faucette zmarł 30 października 2023 r. Od tamtego dnia nikt nie podjął się takiej operacji. Wydaje się, że był to ślepy zaułek.

Jakiś czas temu w mediach pojawiły się doniesienia o wykorzystaniu biodruku 3D z komórek macierzystych pacjenta oraz o badaniach z wykorzystaniem inżynierii tkankowej. Dziś na pewno nie jest to jednak dostępna dla pacjentów alternatywa.

Obecnie w kraju na przeszczep serca czeka kilkaset osób. NIK wskazała, że średni czas oczekiwania wynosi 603 dni w trybie zwykłym i do 91 – w pilnym.

Gdzie są dawcy?

W 2025 r. w Polsce wykonano 169 zabiegów obejmujących transplantację serca, wobec 205 przeprowadzonych rok wcześniej. Pod względem liczby operacji zajmujemy – w zależności od roku – szóste-siódme miejsce w Europie. Obecnie w kraju na przeszczep serca czeka kilkaset osób. Czas oczekiwania zależy od pilności i dopasowania dawcy. Najwyższa Izba Kontroli wskazała, że średni czas oczekiwania w wypadku tego narządu wynosi od 603 dni w trybie zwykłym do 91 w pilnym.

W 2024 r. NFZ przeznaczył na transplantologię prawie 900 mln zł, a Narodowy Program Transplantacyjny dodatkowo 100 mln zł na infrastrukturę, sprzęt i szkolenie. Jaka część tych środków trafiła na transplantacje serca, pobrania, transport i opiekę pooperacyjną – z informacji nie wynika.

Pod względem liczby przeprowadzonych operacji zajmujemy szóste-siódme miejsce w Europie.

Ile żyć można by uratować, gdyby w Polsce system działał na pełnych obrotach? Nie da się pewnie podać konkretnej liczby. Ale wiele można wywnioskować ze wskaźników. Jeśli w Hiszpanii przypada 52,6 dawcy na 1 mln osób, a w Polsce zaledwie 17,8 – widać, że przestrzeń do poprawy jest ogromna. O transplantologów, zespoły operacyjne i wyposażenie sal martwić się nie musimy. Mamy znakomitych fachowców i zaplecze techniczne na światowym poziomie.

Marek Czarkowski

eprasa.pl 0c31442585



Laureaci Glogerów 2026.

Prof. Jerzy Bralczyk z Glogerem

Zakończyła się 37. edycja Nagrody im. Zygmunta Glogera



Jerzy Bralczyk – profesor nauk humanistycznych, ceniony językoznawca, autorytet w dziedzinie kultury słowa i komunikacji społecznej – otrzymał nagrodę I stopnia w Konkursie o Nagrodę i Medal Zygmunta Glogera za wybitny wkład w ochronę i rozwój kultury języka polskiego. Drugą nagrodę otrzymała dr hab. Monika Białek z Gdyni za upowszechnianie wiedzy o polskim reportażu radiowym, natomiast trzecią nagrodę wręczono Towarzystwu Miłośników Piwnicznej za popularyzację kultury ziemi sądeckiej.

W tegorocznej edycji konkursu przyznano cztery wyróżnienia. Otrzymali je: prof. Krzysztof Gajdka z Wojkowic, Mirosław Rzeszowski z Szubina, Wiesława Wolna z Bydgoszczy oraz Stowarzyszenie Rozwoju Gminy Piątnica, któremu przyznano wyróżnienie honorowe. Pracami kapituły konkursowej kierował prof. dr hab. Adam Dobroński.

Gala podsumowująca 37. edycję Konkursu o Nagrodę i Medal Zygmunta Glogera odbyła się w Hali Kultury w Łomży. Uroczystość zgromadziła parlamentarzystów, przedstawicieli samorządu, badaczy, regionalistów, animatorów kultury, miłośników języka i historii. Wydarzeniu towarzyszył koncert Patryka Ołdziejewskiego i Marty Szałkiewicz – zaśpiewali oni fragmenty filmu słowno-muzycznego „Było! Jest! Co będzie?", opowieści o dawnych tradycjach i zwyczajach, czerpiącej ze spuścizny Zygmunta Glogera. Spotkanie dopełniły prezentacja najnowszych publikacji Stowarzyszenia „Stopka" oraz konferencja naukowa pod hasłem „Fobie", która otworzyła dyskusję na temat irracjonalnych ludzkich lęków i rozróżnienia między zagrożeniem a sposobem, w jaki kultura uczy je postrzegać, opowiadać i przeżywać.

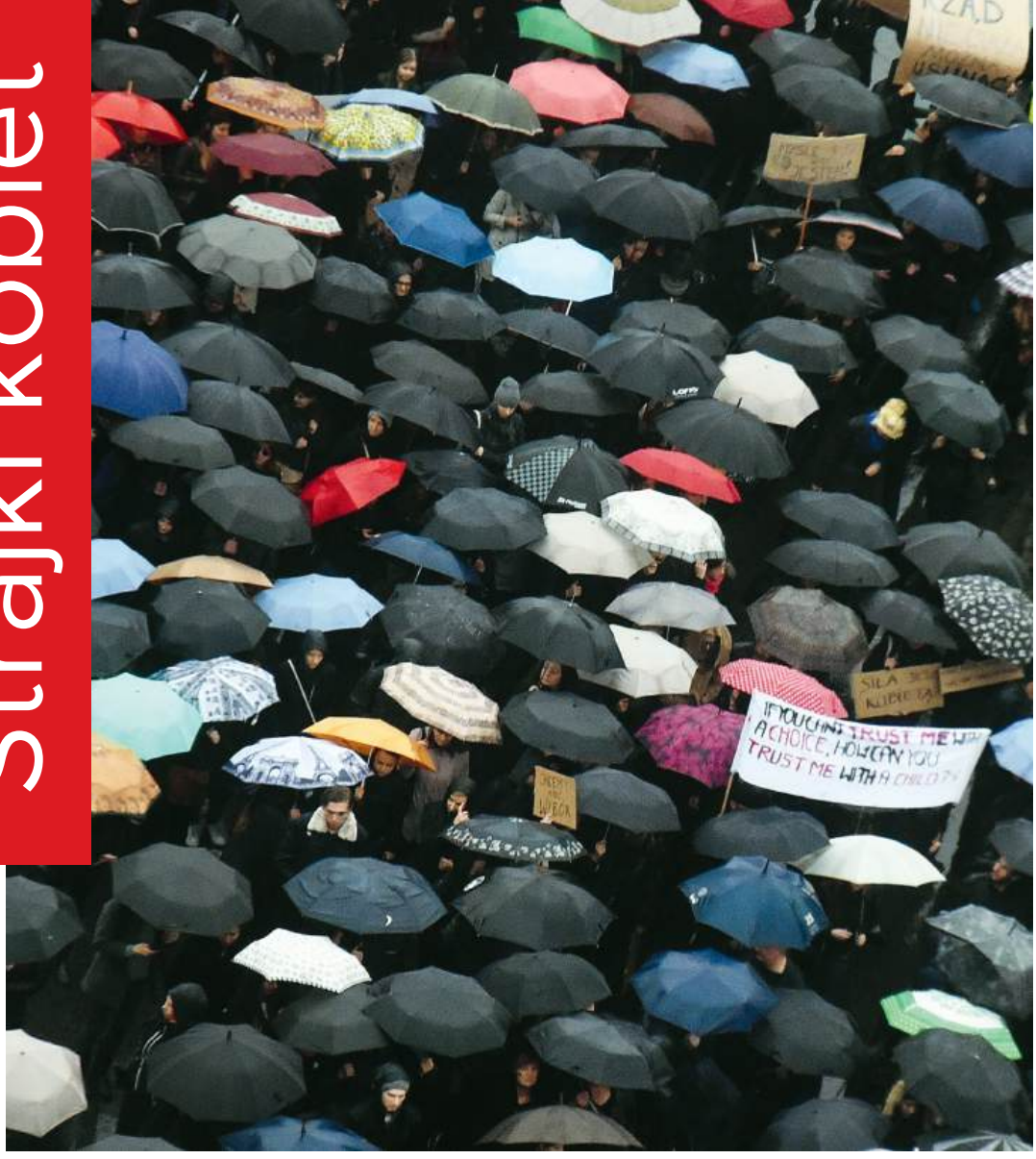
Uroczystość zorganizowało Społeczne Stowarzyszenie Prasoznawcze „Stopka" im. Stanisława Zagórskiego w Łomży we współpracy z Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Narodowym Centrum Kultury.

Natalia Jankowska

FOT. JERZY CHABEREK

eprasa.pl 0c31442585

Strajki kobiet





FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2), BEATA ZAWRZEL/REPORTER, MAREK LASYK/REPORTER, PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS (2), AP PHOTO/CZAREK SOKOŁOWSKI/EAST NEWS, WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Pierwszy był czarny poniedziałek 3 października 2016 r. Przez Polskę przeszła fala protestów przeciw odrzuceniu przez Sejm projektu „Ratujmy Kobiety" i skierowaniu do prac projektu „Stop Aborcji".

22 października 2020 r. Trybunał Konstytucyjny za niezgodną z konstytucją uznał przesłankę aborcji w przypadku ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu lub nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu. Masowe demonstracje dały wtedy początek Strajkowi Kobiet 2020.

Władze odpowiadały na protesty m.in. zatrzymaniami, użyciem gazu i środków przymusu bezpośredniego. 18 listopada 2020 r. do działań wobec demonstrantów władze PiS wysłały nieumundurowych kontrterrorystów z BOA uzbrojonych w pałki teleskopowe.

8 października br. Sejm zwołał posiedzenie komisji do spraw prawa aborcyjnego – ma się zająć m.in. projektem Lewicy i KO o częściowej dekryminalizacji aborcji oraz projektem Trzeciej Drogi, który przywraca stan prawny sprzed wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 2020 r.



eprasa.pl 0c31442585













eprasa.pl 0c31442585

Wokulski, czyli kto?

W poszukiwaniu pierwowzorów postaci

Rafał Skąpski

Podwójna, niemal równoczesna ekranizacja według „Lalki" Bolesława Prusa (serial Pawła Maślony i film Macieja Kawalskiego) wzbudziła na nowo zainteresowanie powieścią. Dyskusje w mediach dotyczą wierności adaptacji wobec treści książki, doboru aktorów, scenografii, klimatu, tła historycznego i obyczajowego, a nawet słownictwa użytego w dialogach. Powrócił temat pierwowzorów niektórych bohaterów, przede wszystkim Wokulskiego. Wypowiadający najogólniej dzielą się na tych, którzy widzą w danej postaci literackiej inspirację jedną, konkretną osobą, oraz tych, którzy odnajdują w bohaterze splot cech zaczerpniętych z kilku wzorów.

Od dawna istnieje także spór co do źródła tytułu powieści: czy chodzi o skradzioną zabawkę, czy o kapryśną Izabelę. Ten problem najłatwiej wyjaśnić, przywołując samego Prusa. W liście z 8 lutego 1897 r. do Władysława Korotyńskiego wspomina o relacji z procesu w Brnie na Morawach o kradzież zabawki, na którą natknął się w „Gazecie Polskiej" 10 lat wcześniej. Prus pisze: „Fakt ten wywołał w moim umyśle skrystalizowanie się, sklejenie się całej powieści". Przypomnijmy, że pierwszy odcinek „Lalki" pojawił się na łamach „Kuriera Codziennego" 29 września 1887 r. Koncepcję powieści Prus obmyślał więc znacznie wcześniej.

Biografki Prusa Gabriela Pauszer-Klonowska i Monika Piątkowska nie zgadzają się co do pierwowzoru Izabeli Łęckiej. Pierwsza wskazuje (powołując się na list Stefanii Podhorskiej-Okołów do Jarosława Iwaszkiewicza), że była nią arystokratka z Podola Konstancja Hulanicka. Prus był korepetytorem jej brata, zakochał się w niej, lecz został odrzucony. Druga cytuje jedynie tę tezę, ale jej nie wspiera.

Od dawna panuje zgoda, że pierwowzorem dr. Michała Szumana był lekarz Stanisław Słonimski, ojciec poety Antoniego. Przyjaciel Bolesława Prusa, Julian Ochorowicz, psycholog, filozof, wynalazca, uznawany jest za pierwowzór Juliana Ochockiego. Łączy ich pasja do wynalazków i idea zbudowania maszyny latającej. Równocześnie jego podejście do rzeczywistości możemy odnaleźć u dr. Szumana.

Znacznie więcej teorii funkcjonuje od lat na temat pierwowzoru Wokulskiego. Pierwsza napotkana przeze mnie w literaturze krytyczno-literackiej hipoteza pochodzi z 1981 r.

Według Jerzego Kasprzyckiego („Warszawa nieznana", s. 40-45) to Stanisław Strójwąs, uczestnik powstania styczniowego, który po jego upadku wyemigrował do Holandii, gdzie zajmował się handlem. Po powrocie do kraju prowadził na przełomie wieków, a więc nieco późno. „Lalka" była już wtedy ukończona, a w formie książki wydana w 1890 r. Identyczność imion ojca i syna powoduje trudności z przypisaniem jednemu lub drugiemu niektórych cech i danych.

Zbigniew Klejn („Prus w zbożu", „Przegląd Tygodniowy" 1991, nr 13) wskazuje na Jakuba Langego, który przybył do Warszawy w połowie XIX w. ze Szwajcarii. Ten początkowo zajmował się prawdopodobnie kowalstwem, następnie pracował w cukierni, a po 1863 r. miał już własny lokal przy Chłodnej 10. W 1878 r. w ciągu dziewięciu miesięcy dorobił się majątku na interesach na Bałkanach. Był wówczas udziałowcem spółki zajmującej się dostawą pieczywa dla armii rosyjskiej. Pamiętamy, że Prus wysłał Wokulskiego także na tereny dzisiejszej Bułgarii, by tam, w ciągu ośmiu miesięcy, podczas wojny rosyjsko-tureckiej (1877-1878), zbił majątek potrzebny mu do lepszego życia i awansu towarzyskiego.

Dr Halina Tchórzewska-Kabata w „Twórczości" (2014) przedstawia swoją kandydaturę na pierwowzór Wokulskiego – to Ludwik Krasiński, ekonomista, przemysłowiec i filantrop.

rozległe interesy z kupcami holenderskimi. Około 1890 r., gdy syn Stanisław junior ukończył nauki, przekazał mu interes i kontakty. I ten jeden jedyny element – wyjazd z Warszawy w wyniku represji popowstaniowych, choć w zgoła innym kierunku, skłonił Jerzego Kasprzyckiego do postawienia tezy, że to Strójwąs jest pierwowzorem Wokulskiego.

Jednocześnie ten sam Kasprzycki pisze, że o Strójwąsach, ojcu i synu, stało się w Warszawie głośno

I znów tylko ta jedna zbieżność spowodowała, że Szwajcar Jakub Lange został uznany za pierwowzór bohatera „Lalki". Pozostałe elementy jego życia różnią się jednak od biografii Wokulskiego. Zbigniew Klejn stawia też tezę, że nazwisko bohatera powieści zapożyczył Prus od kieleckiego lekarza Józefa Wokulskiego. Ale czy poprzez zapożyczenie samego nazwiska można uznać owego lekarza za pierwowzór pana Stanisława? A gdzie jakikolwiek element

eprasa.pl 0c31442585



Wacaław Jakacki, praprawnuk Leona Krupeckiego, pod jego portretem, z lewej autor tekstu Rafał Skąpski.

biografii? Co ciekawe, teoria ta jest często przypominana w ostatnich tygodniach, nie tylko w kieleckich mediach.

Inny badacz, Józef Bachórz, w drobiazgowej analizie powieści („Spotkania z »Lalką«") wspomina w tym kontekście nie o kieleckim Józefie, lecz o Henryku Wokulskim, którego z bohaterem „Lalki" łączy jeszcze fakt kilkuletniego zesłania na Syberię, ale nie jak w powieści po powstaniu styczniowym, lecz po nieudanym spisku w końcu lat 40. XIX w. Helena Kowalik w cyklu artykułów („Przegląd Tygodniowy" 1984) wspomina o „Leokadii Pawłowskiej-Nieupokojew, według której wizerunek powieściowy Wokulskiego zawiera liczne rysy charakteru i kolei losów jej stryja Feliksa Pawłowskiego, warszawskiego kupca i społecznika, zmarłego w 1944 r.". Pisze ponadto o rzekomej „przyjaźni czy nawet zażyłości stryja z Prusem", a także o wykorzystaniu przez Prusa motywów z biografii stryja. Józef Bachórz zdecydowanie jednak odrzuca tę tezę, twierdząc: „Dotychczasowe badania nad biografią Prusa nie przyniosły materiałów potwierdzających tę zażyłość".

Dr Halina Tchórzewska-Kabata w „Twórczości" z czerwca 2014 r. w artykule „W poszukiwaniu Wokulskich..." przedstawia swoją kandydaturę: Ludwika Krasińskiego, ekonomisty, przemysłowca i filantropa. Był on żonaty z Elizą z Branickich Krasińską, wdową po poecie i dramaturgu Zygmuncie Krasińskim.

Rok wcześniej od dr Tchórzewskiej-Kabaty w eseju zamieszczonym w lutowym numerze „Twórczości" przedstawiłem mój pogląd co do pierwowzoru pana Stanisława. Moje stanowisko powtórzyłem, z bogatszym uzasadnieniem, w wydanej w 2024 r. książeczce „Trzeci Wokulski". Kandydat ten, z największą jak dotąd liczbą cech wspólnych, to warszawski kupiec Leon Krupecki. Na to nazwisko natknąłem się wiele lat temu, czytając, otrzymany w prezencie od Janusza Odrowąż-Pieniążka, list z Ameryki napisany w 1926 r. przez brata mojej babki. Opisuje on w korespondencji do dalekiego kuzyna pewne szczegóły historii rodzinnej:

„(...) Ojciec mój jako młody człowiek pojechał do Królestwa, aby wziąć udział w powstaniu. Ojciec mój był prawnikiem ze skończoną Akademią Handlową we Wiedniu. (...) Ojciec mój, po powstaniu, był pełnomocnikiem i doradcą prawnym Leona Krupeckiego, bogatego kupca w Warszawie, właściciela 6 składów. Zatem u Krupeckich poznał się z [przyszłą żoną] panną Heleną Ruszkowską, gdyż Antoni Ruszkowski, brat Matki był ożeniony z panną Marcellą Krupecką [siostrą Krupeckiego]. Dziadek mój Ruszkowski dał córce w posagu wieś Goszczynno w Łęczyckiem – tam żeśmy się wychowywali (...)".

Po pewnym czasie zacząłem szperać w internecie, szukając dodatkowych informacji o tym kupcu. Natknąłem się na wzmiankę o wydanej w 1998 r. w Tarnowie, prywatnym sumptem w symbolicznym nakładzie na potrzeby rodziny, niewielkiej książeczce „Listy zesłańca na Sybir Leona Krupeckiego". Na rynku i w bibliotekach ani po niej śladu, dotarłem więc do drukarni i po wielu indagacjach uprosiłem o egzemplarz.

Książkę do druku podała prawnuczka Krupeckiego Elżbieta Jakacka wraz z mężem Adamem. Zachowało się zaledwie 15 listów. Treścią pierwszego jest relacja z etapów podróży zesłańca. W drugim liście Krupecki namawia żonę, by i ona, jego wzorem, udała się w „podróż", wskazując jednak kierunek przeciwny – do Drezna. W kolejnych listach znajdują się szczegółowe rady w kwestii właściwego wychowania dzieci, ich edukacji, doboru lektur czy nauki muzyki. Korespondencję przepełnia troska o pozostałą w kraju rodzinę, nie tylko o żonę i dzieci, ale i o ojca, brata i siostrę. Opisy codzienności życia zesłańców, panujących wśród nich zwyczajów, omówienia lektur książek i prasy przewijają się w każdym niemal liście. Czyta się

eprasa.pl 0c31442585

je z wielkim zaciekawieniem, ale i wzruszeniem.

Ze zdwojoną energią zacząłem poszukiwać wiadomości o autorze listów, szczegółowo badać życiorys Leona Krupeckiego, a następnie porównywać go z losami Wokulskiego, Langego i Strójwąsa. Odnalazłem znacznie więcej faktów łączących Krupeckiego z Wokulskim niż przytoczone wyżej dotyczące Jakuba Langego czy Stanisława Strójwąsa. Lata życia i profesja są u wszystkich postaci zbliżone. Krupecki tak jak Strójwąs w wyniku represji popowstaniowych opuszcza Warszawę, ale Strójwąs wyjeżdża, przypomnę, do Holandii, Krupecki zaś, tak jak Wokulski, jest karnie zesłany na Sybir.

Wokulski i Krupecki mają w swoich życiorysach mniejszy czy większy udział w warszawskich wydarzeniach związanych z powstaniem styczniowym. O roli i zasługach Krupeckiego czytamy we wspomnieniach Teodory z Heurichów Kiślańskiej. Obaj pojawiają się w Warszawie w poszukiwaniu pracy, są przyjezdnymi z prowincji, pochodzą ze zubożałych rodzin szlacheckich.

Obaj także, Krupecki i Wokulski, poprzez udane finansowo małżeństwa wchodzą do grona warszawskiej elity kupieckiej i towarzyskiej. Krupecki żeni się bogato z córką swojego pryncypała Marią Mentzel. Wokulski zawiera związek małżeński z wdową po swoim pryncypale Małgorzatą Mincel, obejmując sklep i spory kapitał w rublach. Zbieżność staje się jeszcze większa, gdy przypomnimy, że zarówno Krupecki, jak i Wokulski prowadzili duży, na wysokim poziomie sklep na Krakowskim Przedmieściu, w pobliżu Pomnika Kopernika.

Kolejna zbieżność biografii mojego kandydata do tytułu prototypu bohatera „Lalki" to zbicie przez obu sporego kapitału podczas wojny rosyjsko-tureckiej o wpływy na Bałkanach.

Leon Krupecki był jednym z najbardziej znanych kupców warszawskich swego czasu. Przeglądając wyrywkowo numery „Kuriera Warszawskiego" z lat 1855-1873, natrafiłem na kilkadziesiąt ogłoszeń, reklam i anonsów składów (sklepów) Krupeckiego. Zwraca uwagę różnorodność asortymentu: szczapy drewniane (miękkie, suche, zdrowe), węgiel, książki dla dzieci i dorosłych, winogrona krymskie, cukier, herbata, wina (wszystko z importu), drożdże i suszone śliwki. Do tego półgęski z Pomeranii oraz słonina i kiełbaski


ZAWIADOMIENIE ze SKŁADU GŁÓWNEGO
HERBATY
LEONA KRUPECKIEGO
w Warszawie.
SKŁADY
HURTOWE i DETALICZNE
WĘGLI KAMIENNYCH
i TORFU POGORZELSKIEGO
w Warszawie Nr. 1582E, i 1582K, oraz Skład Hurtowy Węgli kamiennych w Łodzi, na stacyi Drogi Żel. Fabr. Łodzkiéj.
F. Łapińskiego.
GŁÓWNY SKŁAD i KANTOR
w Warszawie, przy ulicy Jerozolimskiéj Nr. 35 nowy, w domu własnym.

Anons prasowy Leona Krupeckiego.

z Węgier. Nadto tak nowatorskie jak na tamten czas specyfiki jak „Kordyał Pepsina", paramedyczny środek poprawiający trawienie, czy środek lekarski wzmacniający – „Maltz Extract", jak również koncentrat rosołu „Ekstrakt Mięsny" z Londynu.

Większość ogłoszeń to informacje o handlu herbatą, która stawała się w Warszawie napojem coraz modniejszym. Leon Krupecki był jednym z jej pierwszych importerów, a może w ogóle pierwszym, do Warszawy.

Sprowadzana przez Krupeckiego herbata miała niewątpliwie uznaną markę, skoro zaczął on zamieszczać w gazetach ogłoszenia ostrzegające przed fałszerzami. Informowano w nich, że na oryginalnych opakowaniach widnieje postać „włościanina trzymającego głowę cukru". Później znakiem rozpoznawczym na opakowaniach towarów „od Krupeckiego" stał się rysunek Pomnika Mikołaja Kopernika.

Joanna Maldis („Ulica Nowy Świat 1815-1870: mieszkańcy – wydarzenia", „Rocznik Warszawski", t. XXVII, 1997) pisze, że dobrą opinią w Warszawie cieszył się sklep z herbatą i towarami kolonialnymi kupca Leona Krupeckiego, popularnie zwany „pod Kopernikiem". W 1873 r. „Kurier Warszawski" zwraca uwagę, że część kupców, wzorując się na sklepach zagranicznych, zachęca klientów atrakcyjnym wyglądem witryn. Wymienia Leona Krupeckiego, który ozdabiał okna swoich sklepów i składów kolorowymi witrażami.

Był to więc bez wątpienia kupiec znany, a jego firma rozpoznawalna, o czym na pewno Bolesław Prus i słyszał, i czytał (także w prasie, w której już pisywał), a zapewne sam był klientem składów Krupeckiego.

Analizując postać Wokulskiego, Marian Płachecki („Sto zdań o Wokulskim", „Literatura" 1974, nr 18) pisze: „(…) jego biografia jest przepełniona faktami ponad miarę […] składają się nie w jedną, a w kilka osobowości". Jest to pogląd bardzo mi bliski. Krupecki nie jest jedynym pierwowzorem Wokulskiego, ale niezwykle adekwatnym. Podane przeze mnie liczne zbieżności biografii Krupeckiego z Wokulskim pozwalają mi śmiało umieścić Krupeckiego na pierwszym miejscu listy pierwowzorów bohatera „Lalki".

Ewa Paczoska („Lalka, czyli rozpad świata", 2008) stwierdza: „Biografia Wokulskiego wpisuje się w model nowego bohatera, który często pojawia się w literaturze wiktoriańskiej już od lat 60. XIX w. To (…) gentelman nowych czasów, mężczyzna, który zarabia na życie własną pracą i czerpie stąd poczucie swej tożsamości". Wypisz, wymaluj – Leon Krupecki.

Rafał Skąpski

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 0c31442585



Z Galicji

Jan Widacki

Gaudeamus igitur…

1 października Uniwersytet Jagielloński zainaugurował 663. rok akademicki. W ślad za „matką wszystkich polskich uczelni” nowy rok akademicki zainaugurowało 135-138 uczelni publicznych i 210-230 niepublicznych. Ile ich naprawdę jest, tego nie wie AI, może wie Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, ale pewności nie mam. Tak czy inaczej, jak Polska długa i szeroka, w kilkuset uczelniach rozległo się gromkie „Gaudeamus” i piękne, nabożne „Gaude Mater Polonia”. W kilkuset uczelniach pojawili się rektorzy w czerwonych togach z gronostajowymi (częściej króliczymi) mucetami, w otoczeniu prorektorów, dziekanów i lokalnych profesorów. Rektor przeważnie w ręku dzierży berło rektorskie. A jako że uczelni mamy mniej więcej tyle, ile powiatów, inauguracje roku akademickiego stały się gdzieniegdzie częścią powiatowego folkloru.

Mój znajomy profesor z Wielkiej Brytanii zobaczył taki przyodziany w togi pochód w niewielkiej mieścinie i myślał, że to jakaś grupa rekonstrukcyjna, bo we wrześniu spotkał już takie dwie, tyle że przebrane w mundury żołnierzy września 1939 r. Faktycznie, mógł niezorientowany cudzoziemiec się nie połapać, bo rektor z berłem i w królikogronostajach oraz krocząca za nim lokalna profesura wyglądali zupełnie jak prawdziwi. Dociekał więc, który to wielki polski uniwersytet ma w tej mieścinie siedzibę, bo u nich Oksford i Cambridge to też niewielkie miasta w porównaniu z Londynem.

Jeżeli nie we wszystkich ponad 130 uczelniach publicznych, to na pewno w większości, przy okazji przemówień inauguracyjnych rektorzy skarżyli się na za niskie nakłady na naukę, które wynoszą zaledwie ok. 1% PKB. Obecni na uroczystościach przedstawiciele władz państwowych zapewniali w wystąpieniach, że w budżecie na rok 2027 zaplanowano wzrost nakładów aż o 7%! Lecz jeśli odjąć inflację, realnie ten wzrost będzie, o ile w ogóle, nieznaczny.

Środowisko naukowe postuluje, by państwo przeznaczało na naukę ponad 3%. To zupełnie nierealne, ale postulat brzmi dobrze. Wielokrotnie mówiłem i pisałem, także na łamach „Przeglądu”, że nie ma co się oszukiwać, z budżetu dużo więcej nie będzie, bo aby nauce dodać, trzeba by komuś zabrać. Komu? Oświacie? Ochronie zdrowia? Wojsku? To domaganie się, postulowanie jest, podejrzewam czasem, wygodnym alibi. Sukcesów nie mamy, nasze najlepsze uniwersytety lokują się w światowych rankingach w piątej setce, bo za małe są nakłady na naukę. Czas zejść na ziemię i zastanowić się, jak tym 1% PKB dobrze gospodarować. Czy potrzeba nam tyle uczelni publicznych, że utrzymujemy je w co drugim powiecie, podczas gdy bogata Ameryka utrzymuje po jednej na stan? Przecież gros wydatków z tego 1% PKB to fundusz płac słabej kadry naukowej powiatowych uczelni, rzeszy pracowników administracji i obsługi.

Czy potrzeba w dużych ośrodkach naukowych, ulokowanych w dużych miastach, utrzymywać na kilku uczelniach taki sam wydział lub kierunek studiów, gdzie to samo można studiować na poziomie wyższym, niższym lub żałośnie słabym? Jaki jest sens utrzymywania instytutów PAN tych samych dyscyplin naukowych, które mają swoje instytuty na dużych uniwersytetach nie tylko w tym samym mieście, ale często w tej samej dzielnicy?

Kolejna sprawa to marnotrawstwo pieniędzy powszechne na uczelniach publicznych. Jak marnuje się pieniądze przeznaczone na drogą nieraz aparaturę! Czy ktoś w ogóle to kontroluje? Kilka lat temu na zjeździe katedr pewnej dyscypliny niemal wszyscy kierownicy chwalili się, że zakupili pewne drogie urządzenie. Mniejsza o jego nazwę, bo nie chcę palcem nikogo wskazywać. Od tego czasu w żadnym czasopiśmie polskim ani tym bardziej zagranicznym nikt z pracowników tych katedr nie opublikował żadnej pracy opartej na badaniach wykonanych przy użyciu tego sprzętu. Po co więc wydali ciężkie dolary? Aby pokazać studentom lub wycieczce szkolnej z okazji „otwartych drzwi” (bo obawiam się, że nawet nie uruchomić) albo napisać w ofercie programowej jako reklamę, że takie urządzenie mają?

Ostatnio ewidentnie do celów marketingowych jedna z publicznych uczelni, zapewne z funduszy z KPO, za ok. 1 mln zł kupiła całe wyposażenie laboratorium, którego nikt z pracującej tam kadry w żaden sposób nie wykorzysta, jeśli nie liczyć pokazania studentom i wycieczkom szkolnym, ewentualnie sfotografowania do folderu reklamowego. A już na pewno nie do badań naukowych. Może jeśli władze uczelni nie są w stanie tego robić na bieżąco, przynajmniej niech ministerstwo kontroluje wyrywkowo, jak wykorzystywana jest aparatura badawcza, jakie prace powstały z jej wykorzystaniem, a w przypadku stwierdzenia ewidentnego marnotrawstwa niech wyciąga konsekwencje, polegające co najmniej na obcięciu funduszy na kolejny rok.

A może trzeba się rozglądać na rynku, może gdzieś taniej sprzedają atrapy aparatury badawczej? Do celów marketingu wystarczy, a będzie dużo taniej.

Felieton ten w związku z rozpoczęciem nowego roku akademickiego dedykuję panu ministrowi nauki i szkolnictwa wyższego. ■

eprasa.pl 0c31442585

Czy Apple wróci do korzeni?

Nowy szef chce przywrócić firmie dawnego ducha

Kornel Wawrzyniak



John Ternus prezentuje iPhone'a 18 Pro w sklepie Apple'a przy Piątej Alei w Nowym Jorku, 18 września 2026 r.

Niektórzy do dziś pamiętają emocje towarzyszące rozpakowywaniu pierwszego iPoda, iPhone'a czy MacBooka. Produkty Apple'a przez lata były czymś więcej niż elektroniką użytkową. Wywoływały zachwyt, budziły pożądanie i sprawiały, że technologia wydawała się ekscytująca. Firma z Cupertino była symbolem innowacyjności i wzornictwa, a jej premiery stawały się wydarzeniami kulturowymi.

Rządy księgowych

W ostatnich latach ten obraz zaczął jednak blaknąć. Pod rządami Tima Cooka udało się osiągnąć bezprecedensowy sukces finansowy, ale coraz częściej padały zarzuty o zachowawczość. Kolejne generacje urządzeń Apple'a przynosiły ewolucję zamiast rewolucji, a premiery nowych produktów były przewidywalne. W opinii wielu fanów miejsce odważnej wizji zajęła chłodna kalkulacja.

Dzięki konsekwencji Steve'a Jobsa Apple przez wiele lat było synonimem przełomowych innowacji, ale dziś coraz częściej pojawiają się pytania, czy firma nadal wyznacza kierunek przyszłości branży. W ostatniej dekadzie koncentrowała się na rozwijaniu istniejącego ekosystemu i udoskonalaniu flagowych produktów. Premiery sprzętu, w którym z roku na rok zmienia się przede wszystkim kolor, stały się tematem żartów i internetowych memów. Nowe trendy technologiczne zaczęli zaś kreować inni.

Dodatkowym ciosem było odejście w 2019 r. Jony'ego Ive'a, legendarnego projektanta odpowiedzialnego za wygląd iMaca, iPoda, iPhone'a czy Apple Watcha. Przez lata był on najbliższym współpracownikiem Steve'a Jobsa i jedną z najważniejszych postaci w historii firmy. Dziś Apple znów znajduje się na zakręcie. Stery firmy przejął John Ternus, człowiek wywodzący się nie z branży finansów bądź logistyki, lecz z inżynierii produktowej. Czy pod takim kierownictwem koncern odzyska ducha, który kiedyś uczynił z niego najbardziej fascynującą firmę technologiczną świata?

Nowy Jobs?

John Ternus urodził się w 1975 r. i niemal całe życie zawodowe tego 50-latka jest związane z Apple'em. Do firmy dołączył w 2001 r., jeszcze za czasów Steve'a Jobsa, i przez 25 lat współtworzył najważniejsze urządzenia koncernu. Jako szef inżynierii sprzętowej odpowiadał za rozwój wielu kluczowych produktów, w tym iPadów, komputerów Mac oraz słuchawek AirPods. Szczególnie istotny był jego udział w jednej z największych transformacji technologicznych w historii firmy, czyli przejściu z procesorów Intela na autorskie układy Apple Silicon. Właśnie dzięki tej zmianie ogromnie wzrosła wydajność i energooszczędność komputerów Mac.

Ternus był również jednym z głównych architektów projektu iPhone Air, który pokazał, że Apple ponownie chce eksperymentować z formą sprzętu i wraca do obsesji miniaturyzacji, z której słynęło w najlepszych latach. Największa różnica między Ternusem a jego poprzednikiem ujawnia się jednak nie w portfolio produktów, lecz w sposobie zarządzania.

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 0c31442585

Tim Cook był przede wszystkim operatorem. Doskonale rozumiał logistykę, produkcję, sprzedaż i finanse. To pod jego kierownictwem Apple stało się jedną z najcenniejszych firm świata. Ternus podchodzi do swojej roli zupełnie inaczej. Kwestie finansowe pozostawia dyrektorowi finansowemu, a zarządzanie łańcuchem dostaw specjalistom odpowiedzialnym za operacje. Sam koncentruje się na tym, co uważa za najważniejsze: na produktach.

Według doniesień z Cupertino nowy CEO regularnie odwiedza studia projektowe kilka razy w tygodniu. Zdarza się, że pojawia się tam kilkakrotnie w ciągu dnia. Tim Cook projektantów miał odwiedzać średnio raz w miesiącu. Co istotne, Ternus nie interesuje się wyłącznie sprzętem. Uczestniczy w pracach nad interfejsami systemów operacyjnych, a to oznacza, że po raz pierwszy od odejścia Jony'ego Ive'a jedna osoba na najwyższym szczeblu firmy nadzoruje zarówno wygląd urządzeń, jak i działanie oprogramowania.

I tu pojawia się najciekawsze podobieństwo do Steve'a Jobsa. Jobs słynął z obsesyjnego wręcz podejścia do wzornictwa i szczegółów. Potrafił spędzać długie godziny na dyskusjach o zaokrągleniu rogów urządzenia, wyglądzie ikon czy sposobie otwierania pudełka. Uważał, że każdy element produktu musi być częścią tej samej opowieści. Nie bez powodu Jobs i Ive przeszli do historii biznesu jako jeden z najwybitniejszych duetów projektowych współczesności. Obaj wierzyli, że design polega nie na tym, jak coś wygląda, ale jak działa.

Idealnym przykładem jest czas, kiedy powstawał pierwszy iMac. Steve Jobs nie traktował wyglądu komputera jako dodatku do technologii. Godzinami dyskutował o kształcie obudowy czy wygodzie uchwytu na górze urządzenia. Odrzucił wraz z Jonym Ive'em charakterystyczny dla lat 90. wygląd „beżowych skrzynek", stawiając na kolorową, półprzezroczystą obudowę. Wielu uważało ten pomysł za ryzykowny, ale Jobs był przekonany, że komputer powinien budzić sympatię od pierwszego spojrzenia. Efekt okazał się przełomowy: iMac stał się symbolem odrodzenia Apple'a.

Steve Jobs doskonale rozumiał, że produkt to nie tylko samo urządzenie. W jego filozofii wszystko musiało tworzyć spójną całość: od wzornictwa obudowy, przez oprogramowanie, aż po opakowanie. Dobrym przykładem jest premiera pierwszego iPhone'a. Dziś miliony użytkowników oglądają w internecie filmy pokazujące rozpakowywanie nowych urządzeń, ale w czasach Steve'a Jobsa nikt jeszcze nie mówił o unboxingu. Mimo to Jobs intuicyjnie dostrzegał znaczenie tego doświadczenia. Uważał, że kontakt klienta z produktem zaczyna się już w chwili otwarcia pudełka, dlatego opakowaniom poświęcano niemal tyle uwagi, ile samym urządzeniom.

Pudełko miało budować napięcie, podkreślać wyjątkowość produktu i sprawiać, że pierwsze minuty obcowania z nim staną się częścią całego doświadczenia. Jobs był tak zaangażowany w ten proces, że Apple opatentowało nawet konstrukcję opakowania pierwszego iPhone'a. Można więc powiedzieć, że na długo przed narodzinami internetowej mody na unboxing stworzył filozofię projektowania doświadczeń, która później stała się jednym z jej fundamentów. Takie przykłady dobrze pokazują, czym różniło się Apple Jobsa od Apple'a zarządzanego przez księgowych.

Odbudowa zespołu projektowego

Ternus objął firmę w momencie, gdy Apple wciąż odczuwa skutki odejścia wielu uznanych projektantów. Po rozstaniu z Jonym Ive'em firmę opuścili także inni doświadczeni członkowie zespołu – część trafiła do LoveFrom, OpenAI czy Mety. Apple nie zamierza jednak wracać do modelu opartego na jednym projektowym „superbohaterze". Obowiązki pozostają podzielone. Za wzornictwo przemysłowe odpowiada Molly Anderson, natomiast za interfejsy systemowe Steve Lemay. Różnica polega na tym, że ostateczny nadzór nad oboma obszarami sprawuje bezpośrednio Ternus.

Jednocześnie firma prowadzi intensywną rekrutację nowych talentów i stopniowo odbudowuje dział projektowy po latach odpływu kadr. Zmiany mogą objąć również strategię produktową Apple'a. Według informacji płynących z firmy Ternus naciska na skrócenie procesu projektowania nowych urządzeń oraz większą swobodę w eksperymentowaniu z nowymi kategoriami sprzętu. Pierwsze efekty tego podejścia są już widoczne. Apple pracuje podobno nad inteligentnymi okularami, nową generacją AirPods wyposażonych w kamery oraz kolejnymi urządzeniami z pogranicza elektroniki do noszenia i zdrowia. Mieliśmy też premierę składanego iPhone'a. Nie jest to jednak innowacja, bo konkurencja wypuszcza takie modele od lat.

Apple znów ma prezesa, który nie stoi obok projektantów, lecz pracuje razem z nimi.

Pytanie, czy Apple pod rządami nowego szefa znów będzie ekscytować. John Ternus nie jest drugim Steve'em Jobsem. Możliwe jednak, że stanie się pierwszym od wielu lat szefem Apple'a, dla którego produkt i wzornictwo są równie ważne jak wyniki finansowe. Najważniejsza zmiana dotyczy nie nowych funkcji czy kolejnych modeli iPhone'ów, ale filozofii zarządzania. Apple po raz pierwszy od lat ma prezesa, który nie stoi obok projektantów, lecz pracuje razem z nimi.

Czy to wystarczy do stworzenia kolejnego iPhone'a, iPoda lub MacBooka, który na nowo rozpali wyobraźnię klientów? Nie wiadomo. Pewne jest za to, że jeśli Apple ma wrócić do korzeni, początek tej drogi będzie związany nie z nowym urządzeniem, lecz z człowiekiem, który ponownie postawi design w centrum uwagi.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 0c31442585

Nie ma kto pisać do związkowca

Porażka Luli w pierwszej turze brazylijskich wyborów ma znaczenie dla połowy świata

Mateusz Mazzini

Wyniki przeprowadzonych 4 października wyborów nie powinny nikogo dziwić. Wygrał, zdobywając 47% poparcia, kandydat reakcyjnej prawicy Flávio Bolsonaro, syn byłego prezydenta, odsiadującego obecnie wyrok za zamach stanu, człowiek o skłonnościach do otwartego autorytaryzmu. Drugie miejsce zajął urzędujący prezydent, symbol lewicy globalnego Południa, Luiz Inácio Lula da Silva, na którego głos oddało 45% wyborców.

Lula należy do naprawdę niewielu polityków, w przypadku których słowo legenda nie jest przesadzone. Sławę zdobywał jeszcze w latach 80. jako lider związkowy. Potem krok po kroku budował struktury brazylijskiej lewicy, tłamszone przez brutalne represje wojskowej dyktatury z lat 1964-1985. Pierwszy raz o poważny urząd ubiegał się w 1983 r., startując na gubernatora bogatego i ludnego stanu São Paulo, tradycyjnej trampoliny do pierwszego szeregu brazylijskiej polityki. Wtedy przegrał z kretesem, otrzymując 11% głosów. Ale niemal równo dwie dekady później, 1 stycznia 2003 r., rozpoczynał urzędowanie jako prezydent najważniejszego kraju w Ameryce Łacińskiej i, jak się później okazało, jednego z kluczowych państw rodzącej się globalnej tożsamości antyglobalizacyjnej.

Różowy prąd w odwrocie

Pierwsze dwie kadencje Luli jako głowy państwa to właściwie synteza opowieści o światowych przemianach tamtych lat. Bum na rynku surowcowym przynoszący olbrzymie zyski, zwłaszcza z eksportu ropy naftowej, z czasem też produktów sojowych. Pierwsze oznaki lewicowego populizmu. Mocny nacisk na redystrybucję, wspierane przez Bank Światowy bezpośrednie transfery gotówkowe. W Brazylii ich symbolem stał się program Fome Zero służący zwalczaniu głodu wśród dzieci. Założenie było proste: najuboższe rodziny dostawały wypłaty z budżetu państwa pod warunkiem dbałości o regularne uczęszczanie dzieci do szkół. Efektem było wydźwignięcie niewyobrażalnej z europejskiego punktu widzenia liczby 28 mln ludzi z ubóstwa absolutnego.

Brazylia zmieniała się dynamicznie, ewoluował też jej wizerunek na arenie międzynarodowej. Lula był zdecydowanie najaktywniejszym prezydentem kraju w tej dziedzinie, nie bojąc się kontrowersyjnych sojuszy. Wychowany w zimnowojennej interpretacji rzeczywistości, gdzie największym złem był amerykański imperializm, nigdy nie wahał się krytykować lokatorów Białego Domu, nawet relatywnie postępowego Baracka Obamy. Europejczyków traktował po macoszemu, otwierając kraj na chińskie inwestycje i zwiększając na masową skalę własny eksport do Państwa Środka. Wszedł do nowo powstałego wtedy aliansu BRICS, razem z Władimirem Putinem. Potrafił deklarować wsparcie dla Hamasu i Hezbollahu, otwarcie potępiał Izrael. I czuł się pewnie, bo jego zwycięstwo w 2002 r. rozpoczęło zjawisko nazwane później w naukach o Ameryce Łacińskiej „różowym prądem".

Evo Morales w Boliwii i jego wielonarodowa republika mniejszości etnicznych. Néstor i Cristina de Kirchner w Argentynie czy reformująca małymi krokami chilijski neoliberalizm Michelle Bachelet. Dalej José Mujica, urugwajski „najsympatyczniejszy prezydent świata", i Ekwadorczyk Rafael Correa, emblematyczna postać ostatniego udanego eksperymentu w lewicowym populizmie na półkuli zachodniej. Dzisiaj trudno uwierzyć, że raptem 15 lat temu cała mapa Ameryki Łacińskiej była różowa. Trudno, bo wraz z nieuchronną już porażką Luli prąd ten zamiera.

Flávio Bolsonaro podchodził do pierwszej tury jako cichy faworyt, przynajmniej dla tych, którzy dokładnie obserwowali brazylijską scenę polityczną. Stara prawda wyborcza głosi bowiem, że w analizie sondaży ważne są nie liczby bezwzględne, ale trendy. Jeśli wziąć pod uwagę te ostatnie, Bolsonaro był na fali wznoszącej od ponad półtora miesiąca. Co prawda, żadna większa sondażownia nie przewidywała jednoznacznie jego wygranej już w pierwszym głosowaniu, ale nigdzie też Lula nie miał przewagi większej niż 1-1,5%. A to granica błędu statystycznego.

Dowody na siłę prawicy można znaleźć niemal wszędzie. Flávio Bolsonaro odnotował lepszy od ojcowskiego wynik w każdym stanie.

Okazało się, jak to często bywa w dzisiejszej polityce, że radykalna, reakcyjna prawica była niedoszacowana, nie tylko zresztą w wyborach prezydenckich. Jednocześnie bowiem odbywały się wybory do Kongresu i tu rzeczywiście można mówić o niespodziance, gdyż Partia Liberalna, ugrupowanie popierające Flávia Bolsonara, zdobyła najwięcej głosów w Senacie.

eprasa.pl 0c31442585



Flávio Bolsonaro, kandydat reakcyjnej prawicy, wygrał z wynikiem 47%. Drugie miejsce zajął Luiz Inácio Lula da Silva z 45%.

Oznacza to, że jeśli Bolsonaro junior rzeczywiście zostanie prezydentem, będzie miał komfort rządzenia, o jakim jego ojciec mógł pomarzyć. Tradycyjnie silny, wpływowy i bogaty, reprezentujący biznes i klasę średnią blok kilku ugrupowań centroprawicowych, nazywany Centrão, już ustawia się w jednym szeregu z klanem Bolsonaro, dzięki czemu prawicowy polityk będzie miał zapewne większość w parlamencie. Ojciec jej nie miał i władza ustawodawcza nieustannie rzucała mu kłody pod nogi.

Emocja zamiast realiów

Nie ma przesady w stwierdzeniu, że Flávio może już myśleć o koronacji. Dwa największe instytuty badania opinii, AtlasIntel i Datafolha, jednogłośnie dawały mu zwycięstwo w drugiej turze nawet przy porażce z Lulą w pierwszej. Jeśli więc wygrał już 4 października, szanse na triumf końcowy ma ogromne. James Bosworth, analityk z firmy doradczej Hxagon i felietonista portalu World Politics Review, szacuje wręcz, że Bolsonaro junior ma teraz przewagę nad Lulą w stosunku 3:1. Trudno wyobrazić sobie sytuację, w której obaj kandydaci zamienią się miejscami. Co jest o tyle ciekawe, że jeszcze na początku 2025 r. Lula wygrywał z Bolsonarem w pierwszej turze, mając ponad 5 pkt proc. zapasu.

Dowody na siłę prawicy można znaleźć niemal wszędzie. Flávio odnotował lepszy od ojca wynik w każdym stanie. Partia Robotnicza, ugrupowanie, z którym Lula związany jest od półwiecza, straciła mandaty w Kongresie. Obecny prezydent miał też silniejszy (choć nieznacznie) elektorat negatywny. Badania jakościowe AtlasIntel, publikowane także po angielsku przez portal Americas Quarterly, wskazywały, że aż 51,9% wyborców nigdy nie zagłosowałoby na Lulę (o Fláviu podobnie mówiło 50,3% respondentów). Przede wszystkim jednak trudno nie mieć wrażenia, że te wybory zostały bardziej przegrane przez lewicę, niż były triumfem prawicy. I niestety boleśnie przypomina to sytuację z innego dużego kraju na półkuli zachodniej.

Plastycznie opisał to Brian Winter, były korespondent Agencji Reutera w Brazylii, obecnie redaktor naczelny magazynu „Americas Quarterly". Zaawansowany wiekiem postępowy prezydent, który nie chce ustąpić, przekonany, że tylko on ma szanse pokonać gwiazdę reakcyjnej prawicy z kryminalnymi konotacjami. Skoro doszedł do władzy, obroniwszy kraj przed przewrotem, musi stanąć do walki jeszcze raz. Wokół niego skupiona jest gwardia lojalnych doradców, która nie dopuszcza do siebie myśli o porażce. Tym bardziej że wskaźniki makroekonomiczne pokazują gospodarkę w naprawdę niezłym stanie. To nie ma prawa się nie udać. Ale ostatecznie się nie udaje, bo, jak tłumaczy Winter, ocena sytuacji w ekipie prezydenta rozminęła się z rzeczywistością.

To opis klęski Joego Bidena w USA w 2024 r., ale też synteza porażki Luli. Trudno nie dostrzec paraleli. W przypadku Brazylii naprawdę zastosowanie ma teza Iwana Krastewa, że Amerykanie są przekonani, iż reszta świata „jest po prostu o jeden cykl wyborczy za nimi". Nie mówiąc o tym, że lewica przegrała, bo po raz kolejny nie była w stanie komunikować swoich sukcesów. Brazylia stała się kolejnym krajem, w którym ocenę sytuacji ekonomicznej kształtują emocje, a nie realne dane i wskaźniki.

Trumpista z krwi i kości

Anne Lowry z magazynu „The Atlantic" nazywa to zjawisko vibecession – od recesji i angielskiego słowa vibes, czyli odczucia. Niby wszystko się zgadza na papierze, moja pensja rośnie, ale czuję, że stać mnie na

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 0c31442585

coraz mniej. Kraj się rozwija, ale ja nie czuję się bezpiecznie, a szkoła mojego dziecka czy lokalna przychodnia oferują usługi coraz niższej jakości. Tego trendu nie wolno lekceważyć, zatopił już niejednego polityka. Tymczasem Lula ewidentnie nie umiał odczytać, jakie naprawdę panują wśród Brazylijczyków vibes.

Felipe Krause, szef programu studiów brazylijskich na Uniwersytecie Oksfordzkim, jest jeszcze bardziej bezwzględny w diagnozach. Na łamach magazynu „Foreign Policy" pisze, że Lula i lewica po prostu przestali rozumieć elektorat. Jego zdaniem progresywne elity tkwią w mentalności z początku XXI w., myśląc, że ich głównym celem powinno być wyciąganie milionów rodaków z biedy. Tymczasem, pisze Krause, Brazylia zmienia się na potęgę. Powstała w niej olbrzymia nowa, aspiracyjna klasa średnia, bardziej konserwatywna światopoglądowo i oczekująca od państwa czegoś innego niż tradycyjny elektorat robotniczy.

Zmieniła się struktura demograficzna, ale także religijna. Coraz potężniejsze są w Brazylii Kościoły neoprotestanckie. Bolsonaro senior zresztą przechrzcił się w trakcie kampanii wyborczej, która dała mu prezydenturę, dołączając do zielonoświątkowców. Potem jednak twierdził, że pozostaje wyznania rzymskokatolickiego, głównie po to, żeby zyskać popularność w obu grupach. Flávio jednak jest już zdeklarowanym ewangelikaninem, na dodatek dość radykalnym. Podczas kampanijnych wieców wielokrotnie podkreślał, że „Brazylia należy do Jezusa", prosząc Syna Bożego, by ten „uzdrowił nasz naród i uwolnił go od grzechów".

Jakich? Na pewno należą do nich homoseksualność, obrona praw człowieka, walka z deforestacją Amazonii, ochrona rdzennych mieszkańców tych obszarów przed industrializacją i wiele innych postulatów światopoglądowych, na które w Brazylii według Bolsonara juniora nie ma miejsca. Jeśli wygra w zaplanowanej na 25 października drugiej turze, będzie rządzić znacznie silniejszą ręką niż ojciec. Zresztą prawdopodobnie natychmiast zawnioskuje o amnestię dla niego, będzie też chciał usunąć niewygodnych, bo walczących z antydemokratyczną egzekutywą sędziów Sądu Najwyższego.

Tutaj pierwszym kandydatem na ofiarę politycznej zemsty jest Alexandre de Moraes, gwiazda brazylijskiej palestry i nemezis całego klanu Bolsonaro. Żadnej miękkiej gry z nim i jemu podobnymi obrońcami demokracji! Bolsonaro junior nie jest po prostu latynoskim odpowiednikiem europejskich populistów. Jak zauważa prof. Cas Mudde, wykładowca University of Georgia i jeden z najlepszych na świecie ekspertów od populizmu, tamtejszej reakcyjnej prawicy znacznie bliżej do autorytaryzmu niż do wizji świata według Viktora Orbána czy Jarosława Kaczyńskiego.

Na latynoskiej prawicy żywe i cenione są wspomnienia czasów krwawych dyktatur: w Brazylii, ale i chociażby w Chile. Nie znaczy to, że razem z Fláviem rządzić będą mundurowi. Bardziej chodzi o to, że nie musieliby, bo klasyczny demokratyczny trójpodział władzy nie jest dla Bolsonara żadną świętością.

Przede wszystkim jednak ten polityk jest trumpistą z krwi i kości. Regularnie latał do Miami, współtworzył brazylijską edycję CPAC. Trump go popiera, Luli groził sankcjami za zwalczanie big techów, nakładał na Brazylię cła, choć miał z nią nadwyżkę handlową. Bolsonaro junior będzie w roli prezydenta jego wielkim sojusznikiem, zwłaszcza propagandowo.

Tymczasem Lula schodzi ze sceny jako ostatni Mohikanin zimnowojennej lewicy, coraz bardziej osamotniony. Sprawia wręcz wrażenie kogoś, kto już nie rozumie świata. Trudno go winić, wszak świat ten przyśpieszył i nie przypomina miejsca, w którym Lula zaczynał karierę polityczną kilka dekad temu. On sam pozostaje uparty, chce walczyć, ale coraz bardziej staje się karykaturą samego siebie. Zdawać się może pułkownikiem z tytułu książki Gabriela Garcíi Márqueza – nie ma już komu do niego pisać.

Tyle że Lula nie jest pułkownikiem, lecz związkowcem, który całe życie poświęcił klasie robotniczej, walce z ubóstwem, zaprowadzaniu sprawiedliwości społecznej i sprzeciwianiu się imperializmowi. Odniósł na tym polu wiele zwycięstw, nie da się ukryć. I być może właśnie te zwycięstwa, wydobywające miliony Brazylijczyków z biedy, były przyczyną jego porażki. Ludziom w Brazylii żyje się coraz lepiej, więc chcą coraz więcej. Starego związkowca nikt już nie potrzebuje.

Mateusz Mazzini



eprasa.pl 0c31442585



Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Tryptyk warmiński. II. Manipulacje

Na Mazurach i Warmii symbioza elementu niemieckiego z elementem polskim nikomu przez wieki nie przeszkadzała. Dopiero po wojnie francusko-pruskiej, gdy w nowym cesarstwie wzniosła się fala nacjonalizmu, nazwy wsi, nadane niegdyś przez chłopów przybyłych z Mazowsza, zaczęto zmieniać na nowe, bardziej cywilizowane. Czyli niemieckie. W roku 1877 zastąpiono więc Dziurdziewo (Dziurdziau) nazwą Thalheim, Trzciankę (Trzcianken) – nazwą Rohrdorf, Krzywonogę (Krzywonoggen) – nazwą Krummfuss… Itd. Gdy zaś w plebiscycie roku 1920 za przynależnością do Polski zagłosowały w mazurskim Olecku tylko dwie osoby, miasto to przemianowano na Treuburg (Wierny Gród). Nazwisko zwycięzcy znad Jezior Mazurskich, feldmarszałka Paula von Hindenburga, stało się już wcześniej nazwą śląskiego Zabrza.

W ten sposób Niemcy poprawiali przeszłość. Ale nie byli pierwsi. Po stłumieniu powstania listopadowego kilku miastom w Królestwie Polskim Rosjanie nadali miana rosyjskie. W roku 1834 Modlin nazwano Nowogieorgijewskiem, w roku 1840 Dęblin – Iwangorodem, w roku 1846 Puławy – Nową Aleksandrią. A w roku 1914 nawet stołeczny Petersburg stał się Petrogradem (Piotrogrodem). Apogeum tego szaleństwa przypadło oczywiście na czasy radzieckie. Piotrogród przemianowano na Leningrad, Carycyn – na Stalingrad, Jekaterynburg – na Swierdłowsk, Samarę – na Kujbyszew, Twer – na Kalinin, Ługańsk – na Woroszyłowgrad… Takim zabiegom nie oparła się nawet Polska: po śmierci Stalina Katowice nosiły przez trzy lata nazwę Stalinogród.

Nawet? To słowo nie jest stosowne. Polacy zdystansowali nie tylko Prusaków i Rosjan carskich, lecz nawet Rosjan radzieckich! Niesporo nam znaleźć się w takim towarzystwie, lecz przecież na ziemiach przejętych w roku 1945 od Niemiec zmiany nazw miały miejsce na skalę niespotykaną. Podczas jednak gdy na Śląsku nazwy miejscowe były często zgermanizowanymi nazwami słowiańskimi, to na Mazurach i Warmii nazwy pierwotne były niemieckie. Oczywiście trudno było oczekiwać, by mogły pozostać w niezmienionej formie. Ale wolno było mieć nadzieję, że nazwy przekształcone przez – mówiący polskimi dialektami – lud warmiński czy mazurski będą mogły zostać zachowane.

Ta nadzieja spełniała się jednak rzadko. Lecz skoro w czasach staropolskich Brunsbergę (od Braunsbergu) nazywano Braniewem, a Heilsberg – Licbarkiem (Lidzbarkiem), to powojenny powrót tych nazw był uzasadniony. Tymczasem powołana w styczniu 1946 r., przy Ministerstwie Administracji Publicznej, Państwowa Komisja Ustalania Nazw Miejscowości i Obiektów Fizjograficznych, rzadko wykazywała pietyzm wobec tradycji. Przewodniczącym komisji został geograf, prof. Stanisław Srokowski, jego zastępcą – językoznawca, prof. Mikołaj Rudnicki. Obaj już przed wojną dali się poznać jako fanatyczni germanofobi. Dołączył do nich wielki językoznawca, prof. Kazimierz Nitsch. Czyżby uznał, że mając takie nazwisko, musi udowadniać swą polskość? Ostatecznie wszystko, co tylko mogło się kojarzyć z niemieckością, komisja wyrywała z korzeniami.

Tępiła zwłaszcza końcówki „bork” (od burg – zamek). Darowała tylko Fromborkowi, było nie było miastu Kopernika. Ale na Mazurach Jańsbork (od Johannisburg) nazwano Piszem, Węgobork (od Angerburg) – Węgorzewem, a Nibork (od Neidenburg) – Nidzicą. Co więcej – podobnie jak w ZSRR – nowe nazwy urabiano często od nazwisk konkretnych ludzi. Tyle że – tym razem w przeciwieństwie do ZSRR – dotyczyło to w zasadzie tylko ludzi nieżyjących. Na Mazurach nazwano więc Lec Giżyckiem (na cześć pastora Gustawa Gizewiusza), Ządzbork – Mrągowem (na cześć pastora Krzysztofa Celestyna Mrongowiusza), Rastembork – Kętrzynem (na cześć Wojciecha Kętrzyńskiego). Na Warmii przechrzczono Wartembork na Barczewo (dla upamiętnienia księdza Walentego Barczewskiego), a Melzak – na Pieniężno (na cześć Seweryna Pieniężnego).

> Na ziemiach przejętych w 1945 r. od Niemiec zmiany nazw miały miejsce na skalę niespotykaną.

Ogółem komisja przyjęła 32 tys. (sic!) nowych nazw miast, wiosek, gór i rzek. „Było to największe dzieło zbiorowe w dziedzinie onomastyki, jakie kiedykolwiek powstało na ziemiach polskich”, napisała po latach Małgorzata Szostakowska. Dodajmy: nie tylko na ziemiach polskich. A nie cofnięto się też przed prywatą: mazurskie miasteczko Dryfort (od Drengfurth) Srokowski nazwał sobie Srokowem…

A co z tym robić dzisiaj? Cóż, nie sposób wracać do nazw wcześniejszych. Jednak o tamtych poczynaniach trzeba pamiętać. Wtedy bywały one nieraz koniecznością. Dziś wiele z nich trudno określić inaczej niż jako barbarzyństwo.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 0c31442585

ŚCIGANIE UCIEKAJĄCYCH WYBORCÓW

O jesiennych wyborach może zadecydować stosunek Amerykanów do publicznych żłobków i przedszkoli



Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Miesiąc przed wyborami połówkowymi republikanie liczą na cud. Na to, że Trumpowi uda się zakończyć wojnę w Iranie, ceny ropy spadną z dnia na dzień, a wyborcy pozwolą im ocalić Senat. Los Izby Reprezentantów zdaje się już przesądzony – w badaniach demokraci mają obecnie 86% szansy na jej przejęcie. Wygrana w Senacie szacowana jest na 61% (VoteHub, październik 2026).

Kto śledził przebieg prawyborów, widział, że najwięcej entuzjazmu i nadziei po stronie demokratów niesie dziś skrzydło socjaldemokratyczne. Zdyscyplinowane, skupione na temacie „affordability", czyli kryzysie zbyt wysokich kosztów życia, i odważnie forsujące reformy w kluczowych obszarach życia publicznego. Chodzi o wprowadzenie powszechnej opieki medycznej, restrukturyzację rynków mieszkaniowych oraz dostęp do publicznej opieki nad dziećmi.

Dwie pierwsze propozycje reform nie są zaskoczeniem. W mniej lub bardziej odważnych odsłonach stanowią elementy demokratycznych kampanii wyborczych od lat. Publiczna opieka nad dziećmi jest jednak w Ameryce czymś relatywnie nowym. Nic więc dziwnego, że to na niej skupili uwagę republikanie, węsząc łatwy łup. Zaatakowali projekt jako kopię idei z podręcznika komunizmu, uwłaczającą fundamentalnym amerykańskim wartościom. I… wybili sobie zęby.

Straszak spod znaku sierpa i młota okazał się mało skuteczny w starciu z rosnącymi cenami paliwa, coraz wyższymi stopami procentowymi i inflacją. Wyborcy skupieni przede wszystkim na sile nabywczej swojego portfela uznali, że prawem do wolności wyboru i wartościami nie zapłacą czynszu, podczas gdy dostęp do dotowanego żłobka i przedszkola byłby realną pomocą.

Pod koniec września od Trumpa bezlitośnie odsunęli się nawet ci wyborcy, którzy od przeszło dekady tworzyli żelazny filar MAGA, czyli biali Amerykanie bez wykształcenia wyższego. Większość z nich dziś już Trumpa nie popiera (co nie znaczy, że zmienili barwy partyjne). Zjawisko rozlało się nawet na zdecydowanie republikańskie, prowincjonalne stany, takie jak Teksas, Kentucky, Ohio czy Alaska („Donald Trump's Approval Rating Flips With White Voters in Red States", „Newsweek", wrzesień 2026).

Żłobek a komunizująca prawica

Amerykańskich polityków i ich wyborców cechuje też jednak bezwzględny pragmatyzm. I tak doczekaliśmy w tych wyborach kuriozum. Ścigając uciekającego wyborcę, Biały Dom właśnie bowiem zaproponował Amerykanom rozwiązanie rodem z europejskich socjaldemokracji – powszechny program świadczeń wychowawczych. W cieniu wojny w Iranie, masowych protestów przeciwko serwerowniom AI oraz bezprecedensowego zdestabilizowania relacji transatlantyckich o jesiennych wyborach może więc zadecydować stosunek Amerykanów do publicznych żłobków i przedszkoli.

O co chodzi? O projekt wiceprezydenta J.D. Vance'a, w ramach którego rodziny otrzymywałyby od państwa 9 tys. dol. rocznie na dziecko. Jeśli przypomina to polskie 500+ czy 800+, nie są państwo w błędzie, choć Ameryka nie planuje być tak egalitarna jak Polska – świadczenie ma przysługiwać rodzicom w zalegalizowanym związku małżeńskim, z dochodami poniżej 85 tys. dol. rocznie brutto (średni dochód gospodarstwa domowego w USA w 2025 r. to 126 tys. dol. brutto) i tylko wtedy, gdy jeden rodzic nie pracuje, bo opiekuje się dzieckiem.

Jak ustalił „New York Times", który na początku września pierwszy opublikował informacje na ten temat, Vance chce sfinansować swój pomysł pieniędzmi z już istniejącego, 12-miliardowego budżetu, którym dysponuje Child Care and Development Fund (CCDF, czyli główny federalny program zapewniający dofinansowanie i subsydia do opieki nad

eprasa.pl 0c31442585



Dotowana opieka nad małymi dziećmi byłaby dla rodziców ogromną ulgą.

dziećmi dla rodzin o niskich dochodach). To sprytny ruch, bo zostanie potraktowany wyłącznie jako zmiana administracyjna w zasadach alokacji już działającego federalnego grantu, dzięki czemu wiceprezydent nie będzie musiał o nic prosić Kongresu.

Zanim zapytamy, czy faustowski pakt republikanów z „komunistycznym" diabłem rzeczywiście może pomóc im w wyborach, przypomnijmy sobie, dlaczego debata o kosztach i roli państwa w opiece nad dzieckiem stała się w najbogatszym kraju świata tak ważna, że wyrosła na symbol kryzysu ekonomicznego, z jakimi mierzą się Amerykanie.

Żłobek na smyczy wolnego rynku

Najprostsza odpowiedź: bo w Ameryce rodzicielstwo też traktowane jest wolnorynkowo. USA jako jedyne w świecie rozwiniętym do dziś nie gwarantują powszechnego prawa do urlopu macierzyńskiego/rodzicielskiego, nie ma też czegoś takiego jak zwolnienie chorobowe na dziecko, a żłobki i przedszkola są prywatne. Za każdy rodzaj opieki rodzice płacą stawki rynkowe, a jedynie najubożsi mogą się ubiegać o ulgi w opłatach. I to wówczas, gdy wiąże się to z procesem ich aktywizacji zawodowej bądź nauki pod tym kątem.

Tymczasem, jak doniósł w zeszłym roku waszyngtoński Instytut Polityki Ekonomicznej, roczny koszt opieki nad dzieckiem właśnie przekroczył w 38 stanach wysokość czesnego za studia (te w USA również są odpłatne, nawet na uniwersytetach publicznych), a w co trzecim stanie stał się wyższy niż czynsz. To trzykrotność cennika z końca XX w., już po uwzględnieniu inflacji.

W Kolorado, gdzie mieszkam, znajoma matka dwóch chłopców uczęszczających do przedszkola Primrose School (licencjonowana sieć w całym kraju) wydaje na ten cel ponad 4 tys. dol. miesięcznie, czyli równowartość średnich miesięcznych zarobków netto w USA w 2025 r. Aż siedmiu na dziesięciu Amerykanów uważa te koszty za „nie do przełknięcia" i tyle samo popiera programy dotowania lub wręcz całkowitego finansowania przez państwo opieki żłobkowej i przedszkolnej (First Five Years Fund, styczeń 2026).

W 2024 r. naczelny lekarz Ameryki, tzw. Surgeon General, uznał problem kosztów opieki nad dzieckiem za „kryzys zdrowia publicznego". Chroniczny stres na tym tle odczuwa aż połowa amerykańskich rodziców. Dla porównania – odsetek osób żyjących w ciągłym stresie w populacji ogólnej to 26%. Moja znajoma, samotna matka, nie kryje, że gdyby nie wykształcenie, które dało jej dobrze płatną pracę, i fakt, że dom wynajmuje za grosze od rodziców, byłaby w sytuacji patowej.

Żłobek a niebezpieczna wspólnotowość

A przecież, co wielu młodych rodziców odkrywa dziś ze zdumieniem, Ameryka nie zawsze była tak nielitościwa dla pracujących rodziców. Kiedyś nawet powszechna opieka nad dziećmi była dostępna i okazała się wielkim sukcesem. Mowa o czasach II wojny światowej, gdy rząd potrzebujący kobiet do pracy w przemyśle zbrojeniowym masowo otwierał we wszystkich zakątkach kraju darmowe żłobki i przedszkola. Finansująca to przedsięwzięcia ustawa miała jednak charakter tymczasowy i kiedy żołnierze wrócili z frontu, placówki opieki pozamykano, Amerykanki zaś odesłano do kuchni.

Stało się to – czemu trudno się dziwić – zaczynem buntu, z którego wkrótce w USA wyrósł nowoczesny ruch feministyczny. Dzięki niemu temat powrócił w 1971 r. Kontrolowany przez demokratów Kongres przegłosował wtedy ustawę Comprehensive Child Development Act, w której znalazł się zapis, że programy wspierające rozwój dziecka powinny być dostępne dla wszystkich dzieci bez względu na pochodzenie, rasę i status materialny rodziców.

Niestety, urzędujący wówczas republikański prezydent Richard Nixon ustawę zawetował, bo choć jako kandydat na prezydenta bardzo ją wspierał, trzy lata później już

eprasa.pl 0c31442585

startował z kampanią reelekcyjną i desperacko szukał poparcia religijnej prawicy. Ta zaś od czasów desegregacji w szkołach i Ustawy o prawach obywatelskich z 1964 r. miała aż nadto pretensji do państwa o nadmierne ingerowanie w rozmaite sfery życia Amerykanów i o to, że publiczna edukacja w dobie równouprawnienia przesiąka ideologiami sprzecznymi z konserwatywnymi wartościami.

W liście do Kongresu wyjaśniającym weto Nixon użył stwierdzenia, które okazało się brzemienne w skutki dla dalszej debaty o formach pomocy rodzinie. Nie ma miejsca dla państwa w placówkach opieki nad dzieckiem – argumentował Nixon – bo wymagałoby to zaangażowania „ogromnego autorytetu moralnego władz centralnych po stronie wspólnotowych modeli wychowania" („Veto of the Economic Opportunity Amendments of 1971", Richard Nixon, 9 grudnia 1971). W szczytowym okresie zimnej wojny nikomu nie trzeba było tłumaczyć, kto i gdzie na świecie wspólnotowo wychowuje dzieci.

Gdy w 1975 r. znowelizowana ustawa wróciła do Kongresu, jej główny autor, Walter Mondale, musiał zatrudnić dodatkowych pracowników, by odpowiadali na listy od oburzonych wyborców. Prawica tymczasem otwierała szampana. Zrozumiała, że historia właśnie dała jej do ręki nową broń atomową, którą będzie odtąd mogła walczyć o konserwatywny elektorat. Projekt ustawy pogrzebały krążące po kraju broszury straszące Amerykanów, że nowe prawo zabroni rodzicom wymagać od dzieci, by wynosiły śmieci i chodziły do kościoła. Pomysł dotowanej opieki ostatecznie zdyskredytowały idee neoliberalizmu rozpychające się od późnych lat 70., również w sferze społecznej i kulturowej.

– Gdy w latach 80. podniosły się głosy, że pracująca kobieta potrzebuje systemowego wsparcia, konserwatyści przystąpili do ofensywy i niestety wygrali. Użyli bowiem specyficznego języka odwołującego się do pryncypialnych amerykańskich wartości: odpowiedzialności i wyboru. Dziecko to twój wybór. Praca zarobkowa to twój wybór. Podejmujesz te wybory na własną odpowiedzialność, biorąc pod uwagę to, co najlepsze dla ciebie i twojej rodziny. Do dziś zbieramy żniwo takiego ustawienia dyskursu – wyjaśniła mi Kirsten Swinth, historyczka ruchów feministycznych z Uniwersytetu Fordham w Nowym Jorku.

Żłobek a świętość rodziny

Jednocześnie w przestrzeni publicznej wyciszył się argument – do dziś centralny w debacie o dziecku i rodzinie w pozostałych krajach wysokorozwiniętych – o korzyściach społecznych płynących z wyrównywania szans rozwojowych i edukacyjnych dzieci. Z czasem, w miarę radykalizowania się amerykańskiej prawicy i jej zwrotu ku ortodoksyjnej religijności, wzrosła za to popularność przekazu, że ingerencja państwa w sprawy opieki i wychowania jest zamachem na świętą instytucję rodziny.

W Stanach Zjednoczonych rodzicielstwo też jest traktowane wolnorynkowo.

Od prawie 40 lat pomoc rodzicom jest więc szufladkowana w Ameryce jako forma opieki socjalnej. Stawia to w centrum nie dobro dziecka, ale rodzica, któremu przede wszystkim należy ułatwić podjęcie pracy zarobkowej. Za prezydentury Billa Clintona powstał wspomniany CCDF, z którego J.D. Vance chce dziś wypłacać zasiłki. Barack Obama forsował szczodry plan dotowania edukacji przedszkolnej również dla rodzin z klasy średniej, ale koszty przenosił na władze stanowe. Republikanie poruszają się tu po wąskim poletku ulg podatkowych dla niezamożnych gospodarstw domowych.

Problem instytucjonalnej opieki nad dziećmi uderzył jednak w Amerykę w czasie pandemii. Prywatne żłobki i przedszkola długo nie miały zamiaru wznawiać działalności, a państwo otrzymało za to rachunek, który był katastrofalny. Z rynku pracy zniknęło ponad 1 mln rodziców, trzy czwarte tej grupy stanowiły kobiety. Gospodarka USA straciła w ten sposób prawie 65 mld dol. (Century Foundation, 2020).

Postawił ją z powrotem na nogi dopiero 39-miliardowy federalny grant w ramach szerszej ustawy pomocowej dla infrastruktury podpisany przez Joego Bidena w 2021 r. Biznes kręcił się przez następne dwa lata, ale gdy pieniądze się skończyły, rynek odpowiedział na to w przewidywalny sposób. Przedsiębiorcy odpalili rakietę podwyżek i tak oto amerykańscy rodzice znaleźli się w punkcie, w którym są obecnie. Od 2023 r. opłaty za żłobki i przedszkola zwiększyły się o 30% i rosną (Lending Tree, kwiecień 2026).

Dla demokratów, szczególnie z dużych miast, w które podwyżki uderzyły najmocniej, ukłon w stronę rodziców już od kilku lat jest rzeczą oczywistą – i na takim podejściu dobrze wychodzą. Orędownikami publicznych żłobków i przedszkoli są m.in. burmistrz Nowego Jorku Zohran Mamdani, burmistrz San Francisco Daniel Lurie, ubiegająca się o reelekcję w stanie Nowy Jork kongresmenka Alexandria Ocasio-Cortez, kandydatka na gubernatorkę stanu Nowy Jork Kathy Hochul, kandydatka na gubernatorkę stanu Nowy Meksyk Deborah Haaland, kandydatka na burmistrzynię Waszyngtonu Janeese Lewis George czy ubiegający się o reelekcję kongresmen z Kalifornii Ro Khanna.

Temat poruszany jest również na szczytach partyjnego establishmentu. W maju tego roku senatorka Elizabeth Warren wezwała wszystkich demokratów, by plan powszechnej opieki nad dziećmi stał się obowiązkowym elementem każdej demokratycznej kampanii wyborczej. I teraz, i w wyborach 2028. James Carville, legendarny demokratyczny strateg i autor słynnego hasła „Ekonomia, głupcze", doradza dziś partii: „Jeśli 70% Amerykanów mówi, że koszty opieki nad dziećmi są za wysokie, nie powinniśmy się bać tego, by dostęp do żłobka i przedszkola uczynić dobrem publicznym" („Out With Woke. In with Rage", „New York Times", 24 listopada 2025).

eprasa.pl 0c31442585



Pomysł publicznych żłobków i przedszkoli wspiera burmistrz Nowego Jorku Zohran Mamdani. Swego czasu dotowanie edukacji przedszkolnej również dla rodzin z klasy średniej forsował Barack Obama.

Żłobek po amerykańsku

Jeśli już nawet prawica widzi sens wspierania rodziny w iście „socjalistyczny" sposób, czy oznacza to, że Amerykanie, a szczególnie Amerykanki, dożyli końca czasów demonizowania polityki prorodzinnej, a jej formy zbliżą się koncepcyjnie do tych, jakie realizuje reszta rozwiniętego świata?

Nie jest to niemożliwe. Jednak nawet jeśli idea dotowanych żłobków i przedszkoli pomoże w tym roku jednej stronie wygrać, a drugiej przegrać trochę mniej, droga do realnej, powszechnej opieki nad dziećmi pozostanie długa i wyboista.

Po pierwsze, o ile demokraci pójdą za radą Carville'a i okrzykną się partią neo-Nowego Ładu, wprowadzenie takiej reformy uda im się tylko wtedy, gdy w 2028 r. dopełnią wyborczy sukces. Na to zaś, po dwóch latach współrządzenia krajem z Trumpem wciąż w Białym Domu, szanse są praktycznie żadne.

Po drugie, reformę zatopi jej wycena. Kongres, jak wyliczył Ro Khanna, będzie musiał alokować na ten cel co najmniej 1 bln dol. w perspektywie najbliższej dekady. Przy drenującej budżet wojnie z Iranem, której całkowitych kosztów wciąż nie znamy, i chociażby obsłudze długu publicznego, który właśnie przekroczył 40 bln dol., interes rodziców – kurczącej się w dodatku grupy wyborczej – tym łatwiej będzie sprzedać innym wyborcom jako fanaberię, z którą w najlepszym wypadku należy zaczekać na lepsze czasy.

Po trzecie wreszcie, na przeszkodzie stanie federalizm Ameryki. Stany zarządzane przez republikanów mogą odmówić wprowadzenia nieprzypadającej im do gustu reformy, tak jak to się dzieje z Obamacare. Wciąż mamy dziesięć republikańskich stanów, które nie poszerzyły u siebie dostępu do ubezpieczenia Medicaid obsługującego najbiedniejszych oraz dzieci z rodzin nieubezpieczonych, choć Obamacare przeznacza na ten cel pieniądze dla wszystkich stanów.

Najbardziej prawdopodobną i najłatwiej strawną postacią „reformy żłobkowej" będzie więc pewnie program federalnych grantów do akceptacji wedle uznania przez dany stan, a do tego, w geście poszanowania praw stanów, pewnie też tradycyjnie zasada współfinansowania reformy, co nie dla wszystkich stanów będzie do udźwignięcia w tym samym stopniu. Nowy Meksyk formy publicznie dotowanych placówek opieki nad dziećmi testuje już od 2022 r., odkąd powszechne do niej prawo wpisał do swojej konstytucji. Stan ten jednak ropą stoi i to ona płaci za program.

Żłobek w erze teorii spiskowych

Największą barierą może się okazać kanon wspomnianych „specyficznie amerykańskich" idei i wartości, przez pryzmat których patrzy na świat szczególnie konserwatywna część kraju. Dla progresywistów trudne są też współczesne czasy. W dobie upadku autorytetów i wiary w instytucje, przy jednoczesnej ofensywie teorii spiskowych, w tym o systemowym prześladowaniu chrześcijańskiej rodziny, bardzo łatwo sprzedać ludziom teorię o inżynierii społecznej jako prawdziwym celu federalizacji opieki nad dzieckiem.

I choć plan J.D. Vance'a miałby największe szanse na realizację, a jego ukłon w stronę rodziny dałby mu u wielu na prawicy rozgrzeszenie za „komunizowanie", nawet on może nie dojechać do mety. Przede wszystkim zostałby natychmiast zaskarżony do sądu na gruncie sprzeczności z ustawą założycielską CCDF, w której pieniądze są narzędziem pomocy rodzicom pracującym bądź uczącym się, a nie opiekującym się potomstwem w domu.

Druga sprawa – nieprzejednani pogromcy socjalu uważają pomysł Vance'a za potencjalnie patogenny. Zachęca on przecież rodziców, nawet oboje, do porzucenia aktywności zawodowej, bo przy większej liczbie dzieci będą mogli żyć na koszt państwa. Poza tym doświadczenia krajów oferujących tego typu powszechne świadczenia na dzieci (np. Polski) nie potwierdzają tezy, że ta pomoc podnosi dzietność, co głosi Vance natalista.

W historii nie brakuje dowodów, że kwestie społeczne potrafią zmieniać bieg dziejów państw. Choć Churchill wygrał II wojnę światową, przegrał w wyborach w 1945 r. z Partią Pracy, bo ta obiecała Brytyjczykom powszechną opiekę medyczną, znaną potem jako NHS. Niżej podpisana wciąż nie wierzy, że Amerykanie są autentycznie gotowi na powszechną opiekę zdrowotną i publiczne przedszkola, ale gotowa jest zaryzykować tezę, że właśnie zrobili duży krok w tym kierunku.

Eliza Sarnacka-Mahoney

FOT. SHUTTERSTOCK, AP/EAST NEWS

eprasa.pl 0c31442585

Kryzys mieszkaniowy ma twarz 87-latki

Hiszpanów nie stać na życie w miastach, w których pracują i mieszkają

Tomasz Skowronek

Kiedy wynoszono ją z mieszkania, na ulicy czekał tłum. Policja próbowała odsunąć ludzi od wejścia, by utorować drogę ratownikom medycznym. 87-letnia María del Carmen Abascal, przez wszystkich nazywana Maricarmen, nie chciała wyjść. Przez kilkadziesiąt lat to było jej mieszkanie, jej ulica, jej dzielnica i właściwie cały jej świat.

Maricarmen stała się symbolem kryzysu, którego Hiszpanie doświadczają od lat: mieszkań jest za mało, czynsze rosną, a coraz większej części społeczeństwa nie stać na życie w swoich miastach.

Wszyscy jesteśmy Maricarmen

Ta historia zaczęła się w czasach, kiedy Hiszpania wyglądała zupełnie inaczej. W 1956 r. ojciec Maricarmen wynajął mieszkanie w madryckiej dzielnicy Retiro. Kobieta pozostała w nim po śmierci rodziców. Przez dziesięciolecia czynsz był stosunkowo niski, żyła więc spokojnie i bez obaw, że przestanie ją stać na opłacanie rachunków.

Wszystko zmieniło się w 2018 r., kiedy nieruchomość została przejęta przez tzw. sępi fundusz inwestycyjny. Spór o prawo Maricarmen do dalszego zajmowania mieszkania trwał latami i ostatecznie trafił do sądu najwyższego. Próba eksmisji z września 2026 r. była już czwartą z kolei.

Według relacji hiszpańskich mediów czynsz, który wcześniej wynosił ok. 500 euro, został podniesiony do 2650 euro miesięcznie. Później, po interwencjach, zaproponowano kwotę 1650 euro. Dla kobiety utrzymującej się z emerytury w wysokości ok. 1,3 tys. euro wszystkie te sumy były nie do udźwignięcia.

23 września przed budynkiem przy ulicy Alcalde Sainz de Baranda pojawiła się policja. Od rana gromadzili się tam zaalarmowani sąsiedzi, aktywiści i osoby, które chciały eksmisję zablokować. Policja ogrodziła wejście. W pewnym momencie funkcjonariusze zaczęli usuwać protestujących.

Maricarmen została wyniesiona z mieszkania i przewieziona do szpitala. Jej eksmisja, która miała być zakończeniem wieloletniego sporu prawnego, stała się początkiem czegoś zupełnie innego. W Madrycie zaczęto mówić: „Wszyscy jesteśmy Maricarmen". W ostatnią sobotę września przez miasto przeszła wielotysięczna demonstracja. Ludzie potrząsali kluczami. Na transparentach pojawiały się hasła: „Mieszkanie jest po to, by żyć" oraz wezwania do walki ze spekulacją. Po marszu część demonstrantów została na noc na Puerta del Sol. Pojawiły się namioty, materace i improwizowane miejsca spotkań.

Protestujący zapowiadali, że zostaną, dopóki rząd nie podejmie konkretnych działań w sprawie mieszkań. Widok setek namiotów przypominał obrazy z 2011 r., gdy plac stał się sercem ruchu 15-M, który kilka lat później dał początek lewicowej partii Podemos. Alicia del Río, rzeczniczka madryckiego związku lokatorów, mówiła o „fali oburzenia i gniewu, której nie da się już powstrzymać". Organizacja domagała się m.in. silniejszej ochrony najemców i ograniczenia eksmisji.

W tłumie słychać było jeszcze jedno słowo: Ayuso. Isabel Díaz Ayuso, prawicowa prezydent Wspólnoty Madrytu, od tygodni mierzy się z własną aferą mieszkaniową. Władze wspólnoty za publiczne pieniądze – 6,3 mln euro – kupiły luksusowy apartament w ekskluzywnej dzielnicy Chamberí. Tłumaczono, że ma służyć jako tymczasowe biuro prezydentki na czas remontu siedziby władz regionu. Później pojawiły się kolejne wersje dotyczące jego przeznaczenia. Raport wewnętrzny wskazał jednak, że w dokumentacji nie przedstawiono wystarczającego uzasadnienia zakupu.

Zestawienie obu historii stało się dla protestujących niemal gotowym symbolem. Z jednej strony – 6,3 mln euro wydane na luksusowy apartament, z drugiej – 87-letnia kobieta wynoszona z mieszkania, w którym spędziła większą część życia, 71 lat. Na ulicach Madrytu pojawiły się hasła: „Penthouse Ayuso dla Maricarmen".

Dla wielu uczestników protestu Maricarmen stała się czymś więcej niż pojedynczym przypadkiem niesprawiedliwości systemu. Sytuacja starszej kobiety, która po siedmiu dekadach została wyniesiona z własnego mieszkania, ilustrowała problem znacznie lepiej niż statystyki. A te są dla Hiszpanii coraz bardziej niepokojące.

Mieszkań brakuje, czynsze rosną

Bank Hiszpanii szacuje niedobór mieszkań na ok. 750 tys. lokali. Według prognoz do 2028 r. luka ta może się powiększyć do 1 mln. Jednocześnie budownictwo mieszkaniowe mocno odstaje od poziomu sprzed

eprasa.pl 0c31442585



87-letnia María del Carmen Abascal stała się twarzą masowych protestów, a jej eksmisja doprowadziła do przedterminowych wyborów.

kryzysu finansowego z 2008 r. Skalę zapaści widać szczególnie w dużych miastach i regionach, do których napływają ludzie w poszukiwaniu pracy.

W sierpniu br. średnia cena wynajmu wynosiła według portalu Idealista 15,1 euro za metr kwadratowy. To o 5,8% więcej niż rok wcześniej. Dla coraz większej liczby ludzi mieszkanie przestaje być dachem nad głową, stając się największym miesięcznym wydatkiem i czynnikiem, który decyduje o tym, gdzie mogą żyć, pracować i zakładać rodziny.

Zgodnie z danymi hiszpańskiego urzędu statystycznego INE w 2024 r. 28,1% osób wynajmujących mieszkania po cenach rynkowych przeznaczało na koszty mieszkaniowe ponad 40% swojego dochodu. W tym samym czasie średnia dla Unii Europejskiej wynosiła 19,2%.

Hiszpański kryzys mieszkaniowy ma wiele przyczyn. Jednym z podstawowych problemów jest jednak nierównowaga między popytem a podażą. Przybywa gospodarstw domowych, rośnie liczba mieszkańców i zatrudnienie w najbardziej atrakcyjnych regionach, ale liczba nowych mieszkań nie nadąża za potrzebami. To dlatego kryzys tak dotkliwie odczuwany jest w Madrycie, Barcelonie i innych dużych miastach.

Hiszpania przeszła bolesną lekcję. Przed 2008 r. kraj przeżywał ogromny bum budowlany napędzany tanimi kredytami. Pęknięcie bańki doprowadziło do bankructw deweloperów, problemów banków i gwałtownego załamania budownictwa. Dziś mieszkań znowu brakuje, ale powrót do modelu sprzed 2008 r. nie załatwi sprawy.

Kryzys parlamentarny

29 września rząd Pedra Sáncheza przyjął dwa dekrety mające odpowiedzieć na kryzys mieszkaniowy. Pierwszy zakładał m.in. przedłużenie do 2030 r. ochrony przed eksmisjami osób znajdujących się w trudnej sytuacji, możliwość przedłużania części umów najmu oraz ograniczenia dotyczące niektórych form wynajmu. Drugi dotyczył przede wszystkim stabilności umów najmu.

2 października oba dokumenty trafiły pod głosowanie w kongresie. I oba przepadły. Pierwszy odrzucono stosunkiem 178 do 172 głosów, drugi – 184 do 166. Przeciwko rządowym rozwiązaniom zagłosowały m.in. Partido Popular, Vox i katalońska Junts.

Porażka rządu Pedra Sáncheza okazała się nie tylko problemem legislacyjnym. Stała się początkiem kryzysu politycznego.

Reakcja ulicy była natychmiastowa. W sobotę, 3 października, dziesiątki tysięcy ludzi wyszły na ulice 50 hiszpańskich miast. W Madrycie władze oszacowały liczbę manifestantów na ok. 70 tys. Demonstranci domagali się niższych czynszów, większej ochrony lokatorów, pojawiły się wezwania do strajku generalnego.

Protesty miały miejsce też w kolejnych dniach. W wielu miastach rozbito obozowiska lokatorów, a Puerta del Sol w Madrycie pozostawał centrum ruchu, który narodził się po eksmisji Maricarmen.

Również polityczny rachunek porażki zaczął przybierać coraz bardziej konkretny kształt. 5 października Pedro Sánchez ogłosił rozwiązanie parlamentu i przedterminowe wybory, które odbędą się 29 listopada.

W ciągu zaledwie kilkunastu dni historia jednej 87-latki przeszła więc drogę od dramatycznej eksmisji, przez masowe protesty i nadzwyczajne działania rządu, aż po kryzys parlamentarny i przedterminowe wybory.

7 października Maricarmen zmarła. Nie wiadomo jednak czy jej historia doprowadzi do trwałej zmiany hiszpańskiej polityki mieszkaniowej. O tym zdecydują już nie tylko kolejne ustawy, lecz także wyborcy. ■

FOT. KACPER PEMPEL/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 0c31442585

Polski Hemingway

Do czterech razy sztuka – Nike dla Szczepana Twardocha

Rafał Pikuła



W końcu Szczepan Twardoch zdobył najważniejszą nagrodę literacką w Polsce. Doceniono jego powieść „Null”.

Każda wojna ma swoją wielką powieść. Polska jest – na szczęście – tylko krajem przyfrontowym, więc i powieść mamy przyfrontową. „Null” Twardocha porównywany jest z dziełami Hemingwaya czy Remarque’a. Jednak to nie nowe „Pożegnanie z bronią”, ale niemalże reporterska opowieść z czasów, w których symbolem wojny jest bezduszny dron. To nie nowe „Na Zachodzie bez zmian”, choć piąty rok wojny w Ukrainie faktycznie nie przynosi rozstrzygnięć ani nawet znacznych przesunięć granic.

Akcja u Twardocha obraca się wokół postaci „Konia” – 43-letniego warszawskiego historyka o ukraińskich korzeniach, który od roku walczy na froncie jako ochotnik. Chowa się on w odsłoniętej piwnicy po rosyjskiej stronie Dniepru razem z ukraińskim towarzyszem broni o przydomku „Szczur”. Choć wydarzenia rozgrywają się w wąskiej przestrzeni i krótkim czasie, dzięki licznym wspomnieniom bohatera czytelnik stale przenosi się daleko poza obszar walk.

Szczepan Twardoch: To najważniejsza powieść, jaką napisałem. To jest powieść po to, żeby mówić prawdę, bo wierzę, że od tego jest literatura.

Pisarz, znany z takich powieści jak „Morfina” czy „Król”, pisząc „Null”, korzystał z doświadczeń zdobytych podczas wyjazdów na ukraiński front, pozwoliły mu one niezwykle dogłębnie opisać codzienność wojennego kraju.

„Ta opowieść była nam potrzebna”, zaznaczył w laudacji Witold Bereś, przewodniczący kapituły nagrody. Podkreślał, że to „do bólu szczera proza bez choćby krztyny taniego patosu”. A w patos łatwo popaść, gdy pisze się o tak fundamentalnych kwestiach jak wojna.

Warto dodać, że narracja prowadzona jest bez epatowania martyrologią i heroizmem, językiem oszczędnym, żołnierskim, konkretnym, choć przecież nie ubogim. To cała paleta cierpień, trudów. „Null” jest więc zarazem opowieścią o tej konkretnej wojnie, tuż za naszą granicą, jak również uniwersalistyczną opowieścią o piekle zbrojnego konfliktu.

– Myślę, że to jest najważniejsza powieść, jaką napisałem. Nie wiem, czy najlepsza, bo nie jestem od oceniania własnej prozy. (…) Najważniejsza, bo wyniknęła ze splotu szeregu okoliczności, które doprowadziły mnie do tej powieści – mówił Szczepan Twardoch, odbierając Nike.

– Chciałem powiedzieć jedną rzecz, która jest dla mnie bardzo ważna. To nie jest powieść napisana w jakiejkolwiek sprawie. Ta powieść nie ma sprawy, ona nie ma tezy. To nie jest powieść, która walczy o coś. To jest powieść po to, żeby mówić prawdę, bo ja wierzę, że od tego jest literatura – dodał ze sceny pisarz.

Co istotne, autor zdobył też laur czytelników. W zeszłym roku podwójną Nike otrzymała z kolei Eliza Kącka za książkę „Wczoraj byłaś zła na zielono”.

W finale najważniejszej krajowej nagrody literackiej Twardoch znalazł się już po raz czwarty. Wcześniej dotarł do tego samego etapu z powieściami „Morfina” (2013), „Drach” (2015) i „Królestwo” (2019).

Z pewnością „Null” pozostanie literacką opowieścią o czasach, gdy wojna podeszła niemal pod nasze drzwi, a nasz syty spokój został zmącony. Bo wojna toczy się nie tylko o terytorium. Toczy się także o pamięć, uwagę i o to, czy po kolejnych latach świat nadal będzie chciał patrzeć na to, co się dzieje w Ukrainie. ■

FOT. LECH GAWUĆ/REPORTER

eprasa.pl 0c31442585



Nawiasem mówiąc

Stanisław Filipowicz

Przechadzka na gruzach liberalizmu

Spoglądając w rozgwieżdżone niebo, Immanuel Kant wpadał w zachwyt. Wieczna harmonia, rządzona niezmiennymi prawami – czy trzeba nam czegoś więcej? Historia podpowiada, że tak. Być może harmonia i zgoda to nasze kajdany, prawdziwą radość daje zaś zgrzytanie zębami.

Dziś słyszymy zgrzytanie zębami przeciwników liberalizmu. Skąd ten przypływ emocji? Jesteśmy przecież beneficjentami liberalnej tradycji i liberalnej polityki – poczynając od gwarancji praw jednostkowych, przez swobody dotyczące przedsiębiorczości, zasady podziału władzy mające zapobiegać tyranii, aż do swobody podróżowania. Nacjonaliści nam tego nie zapewnią. Zamkną granice i przystąpią do naprawy umysłów i obyczajów. Co nam bardziej odpowiada? Wahania, brak ostatecznej pewności czy pewność zachęcająca do wytępienia przeciwników?

Bastionami przemocy i zawziętości były zawsze wojny religijne. Chcielibyśmy wrócić do przeszłości, niwecząc tradycję wzajemnego uznania i tolerancji? Jesteśmy przeciwnikami prawicowego populizmu. Ale, uwaga, mechanizm konsolidacji opartej na emocjach działa także po stronie liberałów. Tyle że tutaj regulatorem zachowań zamiast gniewu ma być strach. W liberalnej Europie trwa stan pogotowia. Wojna narzuca przymus kognitywno-informacyjny – wyjście poza jego ramy traktowane jest jako działanie na rzecz wroga. Wielki Brat intensywnie pracuje nad jednomyślnością. To jest jeszcze liberalizm?

> Tam, gdzie umiera różnica zdań, umierać też będą ludzie.

Charakteryzując w swojej księdze „O duch praw" despotyzm, Monteskiusz podkreślał: jego „zasadą" jest lęk. „Boję się, więc jestem" – to będzie w XXI w. nasze nowe wyznanie wiary, rękojmia prawomyślności? Bądźmy ostrożni – tam, gdzie umiera różnica zdań, umierać też będą ludzie.

Mam w głowie pewien przykład dotyczący jednomyślności. W XVI w. Francuzi, prowadząc rekonesans u wybrzeży Brazylii, założyli na wysepce w zatoce Guanabara swój fort. Ich przywódcą był żarliwy katolik, który pod wpływem olśnienia przeszedł na protestantyzm. Poprosił Kalwina (dawnego kompana) o przysłanie grupy współwyznawców. Tu zaczyna się interesująca historia. Przedstawiciele wyznań toczących w Europie wojnę mieli w Brazylii praktykować braterstwo i zgodę. Niestety, nic z tego nie wyszło. Rzecz całą opisał krótko Claude Lévi-Strauss w „Smutku tropików". Czytamy: „Protestanci usiłują nawracać katolików, a katolicy protestantów. Zamiast pracować, aby żyć, spędzają tygodnie na szalonych dyskusjach: jak należy interpretować Wieczerzę Pańską". Wszyscy głodują. Zdesperowani protestanci uciekają. Na pokładzie statku, którym wracają do Europy, nadal szerzy się głód – myszy i szczury okrętowe osiągają zawrotną cenę 4 talarów za sztukę. A sama katolicka kolonia kończy swój żywot „w atmosferze egzekucji i terroru". Czy można sobie wyobrazić piękniejszy nagrobek jednomyślności?

Wielkim wynalazkiem liberalizmu było przekonanie, że ludzie wcale nie muszą siebie nawzajem nawracać. Ale świat dzisiaj zwariował. Zasady wzajemnego uznania odrzucili sami liberałowie, a właściwie „ultraliberałowie", którzy narcystyczne upojenie pomylili z wolnością. „Przebudzeni" – bo o nich tu mowa – w myśl zasady: „Miłuj siebie samego i oskarżaj bliźniego" przystąpili do zwalczania niewiernych. Nowe wojny religijne w toku.

Czy przemoc można odczarować? Być może cywilizacja, która sławi uczynki Achillesa, nie potrafi tego zrobić. Nowy, o wiele groźniejszy ruch „przebudzenia" to ruch na rzecz wojny, angażujący świadomość moralną po stronie przemocy.

Znana amerykańska antropolożka Ruth Benedict jest niekiedy porównywana z autorem „Podróży Guliwera". Podobnie jak Swift porusza się na krawędzi ironii i goryczy. Eksplorując odmienność, stawia na szali naszą reputację i nasze poczucie wyższości. W zwierciadle antropologii dogmaty naszej kultury zaczynają się chwiać.

W jednej z prac podejmuje – o zgrozo! – kwestię kanibalizmu, stawiając w istocie następujące pytanie: dlaczego my, rzecznicy postępu, nie patrząc na okrucieństwo i apokaliptyczne rozmiary przemocy wojennej – otoczyliśmy wojnę szacunkiem i podziwem, sławiąc cnoty związane z zabijaniem? Dlaczego nasze opętanie leczymy zakłamaniem?

W kulturze „dzikich" opętanie podlegało rytuałom ujarzmienia. Benedict opisuje „ceremonialny pokaz kanibalizmu", który wyglądał następująco: opętanego przez „Ducha Kanibala" trzymano „za obręcz założoną na szyję, by nie atakował ludzi, a on raz po raz wydawał straszliwe okrzyki kanibala. Jednak w momencie, kiedy nadgryzł zwłoki, ekstaza mijała i zostawał ujarzmiony". Symboliczna agresja zastępowała realną przemoc.

Według Benedict nasze wojny noszą wyraźne piętno kanibalizmu – upajamy się przelaną „krwią nieprzyjaciół". Jest wszakże pewna różnica – nam symbole nie wystarczą, potrzebna jest „śmierć w wielkiej liczbie". Jesteśmy hurtownikami. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 0c31442585

Antyk we współczesnej szacie

Literacka Nagroda Nobla dla Kanadyjki Anne Carson nie jest zaskoczeniem

Rafał Pikuła

Kanadyjska pisarka Anne Carson była jedną z faworytek wyścigu po najważniejsze literackie wyróżnienie na świecie.

Zanim jeszcze zapadł werdykt Akademii Szwedzkiej, spodziewano się, że nagrodzona zostanie kobieta (od kilku lat nagroda przyznawana jest zgodnie z niepisaną zasadą raz kobiecie, raz mężczyźnie) spoza Europy (w zeszłym roku laur otrzymał Węgier László Krasznahorkai). Dużo mówiło się o Chince Can Xue, wskazywana była też meksykańska autorka Cristina Rivera Garza, ale i Anne Carson znajdowała się wysoko na listach typów, choć podkreślano, że to wciąż „zachodni" i „europejski" krąg kulturowy.

Anne Carson urodziła się w 1950 r. w Toronto. Z wykształcenia jest filolożką klasyczną, a przez lata wykładała m.in. na Uniwersytetach Michigan, McGill, New York i Princeton. Jej twórczość od dekad wymyka się tradycyjnym kategoriom, łącząc poezję, esej, krytykę literacką, przekład i prozę.

Przedstawicielka Akademii Szwedzkiej, pisarka i dziennikarka Ingrid Carlberg, podkreśliła w laudacji, że Carson została wyróżniona „za śmiałą i nowatorską twórczość, która w pełnym swobody dialogu z tradycją klasyczną stworzyła nowe formy dla współczesnej literatury".

Ingrid Carlberg poinformowała, jak wyglądały kulisy przekazania informacji o nagrodzie nowej noblistce. Jak mówiła, Carson „była wzięta z zaskoczenia", bo „przebywa w Islandii, gdzie słucha wiatru".



W 2024 r. „Autobiografia czerwonego. Powieść wierszem" Anne Carson została uhonorowana Nagrodą im. Wisławy Szymborskiej.

Kanadyjka zadebiutowała w 1984 r. tomem poetyckim „Canicula di Anna". W 1986 r. opublikowała esej „Słodko-gorzki eros", dziś uważany za jedno z jej najwybitniejszych dzieł.

Utwory Anne Carson to pewien rodzaj medytacji nad słowem.

Świeżo upieczona noblistka jest w Polsce znana. W 2024 r. jej książka „Autobiografia czerwonego. Powieść wierszem" została uhonorowana Nagrodą im. Wisławy Szymborskiej. Otrzymała także Nagrodę im. Zbigniewa Herberta. „Jej twórczość jest jak filozoficzna medytacja poprzez zestawianie osobistego doświadczenia i własnego głosu z rozmaitymi głosami poprzedników. Zgłębia naturę czasu, miłości, pożądania i utraty. Robi to z intelektualną subtelnością, niezwykłą bezpośredniością uczuciową i często z poczuciem humoru, co stanowi najlepszą obronę przed banałem", mówiła Krystyna Dąbrowska, poetka i członkini jury Nagrody Herberta.

„Carson kojarzy się najlepiej z tej dobrze pojętej wzniosłości, którą potrafi grać. Ona operuje pomiędzy esejem a poezją. Jej utwory to pewien rodzaj medytacji nad słowem", komentował na gorąco wybór w Radiu TOM FM dr hab. Karol Samsel z Instytutu Literatury Polskiej na Uniwersytecie Warszawskim.

Tematami twórczości Carson są miłość i pożądanie, ból i utrata, przemijanie oraz śmierć. Autorka przygląda się miłości i sposobom jej rozumienia w greckiej tradycji, splata antyczne wzorce ze współczesnymi tematami i stara się pokazywać, jak klasyczne idee mogą funkcjonować w nowoczesnym, postmodernistycznym świecie. ■

eprasa.pl 0c31442585

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Kiedy mocarstwo zaszumi w głowie

Nie ma już co ukrywać, nie ma co udawać skromnego, czas powiedzieć prawdę o polskiej potędze militarnej i dać jej odpowiednie słowo. Tak też się stało. Korzystając z rozpoczęcia roku akademickiego, premier Donald Tusk popielgrzymował do Akademii Sztuki Wojennej, gdzie zapewnił, że Polska osiągnęła status mocarstwa regionalnego, jeśli idzie o stopień ubogacenia w militaria wszelakie. Nawet jakaś gazeta w Finlandii o tym napisała, a wcześniej „The Economist".

Są konsekwencje bycia mocarstwem (nawet regionalnym). Otóż premier podzielił się przekonaniem swoim, a może i rządu, i partii, może któregoś z generałów, że „inwestycje w bezpieczeństwo i rozwój armii sprawiły, iż siła Polski jest szanowana zarówno przez sojuszników, jak i wrogów".

Szczególnie boleśnie odebrałem niewskazanie, którzy wrogowie tak nas, Polskę znaczy, szanują za zakupione, ale niedostarczone jeszcze śmigłowce szturmowe AH-64E Apache, za to, że zamówiono 48 wyrzutni do systemu Patriot, na których będą montowane kontenery z pociskami rakietowymi, no i jeszcze za produkowane przez firmy prywatne i państwowe lekkie opancerzone transportery rozpoznawcze Kleszcz alias AMZ Bóbr-3 oraz dużo dobra strzelającego, jak choćby czołgi amerykańskie i koreańskie. No kto by nie darzył szacunkiem???

Zaraz zamiast budów mieszkań ruszą deweloperskie fronty budowy schronów, już zacierają ręce producenci plecaków ewakuacyjnych, za chwilę będą szturmowane sklepy z kanistrami na wodę i na coraz tańsze dzięki rządowi i prezydentowi paliwo.

Zrozumiałe jest, że w takich chwilach należy tchnąć w naród słowa otuchy i wzmocnienia. Tusk więc to robi. Bo cóż, jak nie świadomość, żeśmy mocarstwem (dobra, dobra – regionalnym), rozleje ciepło w sercach patriotycznych? Szczególnie że wyimaginowany spór między prezydentem a rządem o oddawanie części lub całego terytorium wrogom, którzy nas szanują, nie oznacza, że utracimy ojczyznę. Ojczyzna nie może wszak zależeć od czegoś tak pospolitego jak terytorium.

Tymczasem musimy się oswoić z myślą, że wlatywanie na okrągło nad Polskę jakichś latających obiektów, chociaż trwa wojna, nic nie znaczy. Pamiętajmy jednakowoż, że podrywane są myśliwce. Pamiętajmy i bądźmy dumni dumą mocarstwową, że obie polskie fregaty też mogą podnieść cumy i nawet wypłynąć w Bałtyk, na arenę działań morskich. I te helikoptery za 5 mld dol., co będą, jak już tu trafią, poza USA najliczniejsze. To wszystko chyba uspokaja, co nie? I nie dajmy się zwieść wszechobecnej opowieści płynącej z Ukrainy, że wszystko tam robią drony, kiedy my słyszeliśmy o jakimś czołgu albo helikopterze. Na pewno Ukraińcy nas bardzo szanują za plany zakupowe. Nie ma złudzeń.

No i jeszcze systemy informacyjno-ostrzegawcze. Nie wiem, czy inni je szanują, a może wręcz ich zazdroszczą, ale nie traćmy z oczu triumfalnego pochodu alertów RCB. Jak ich nie było, to zginęły dwie harcerki na obozie przygniecione połamanymi przez wiatr drzewami. A potem żadne harcerki nie zginęły. Oczywiście musimy zdawać sobie sprawę, że bycie mocarstwem nie czyni nas wolnymi od „błędów ludzkich".

I tak kilka dni temu Rządowe Centrum Bezpieczeństwa poinformowało (na Facebooku, no bo gdzie?) o pewnym przejęzyczeniu w komunikacie RCB. Cytuję: „Komunikat Rządowego Centrum Bezpieczeństwa w sprawie błędnej wysyłki Alertu RCB. Podczas dzisiejszej wysyłki Alertu RCB dotyczącego zagrożenia z powietrza doszło do pomyłki. Wiadomość przeznaczona dla osób przebywających na terenie województwa lubelskiego została omyłkowo skierowana do odbiorców w województwie lubuskim. Ostrzeżenie zawarte w tej wiadomości dotyczyło województwa lubelskiego. Skierowanie jej do odbiorców w województwie lubuskim było błędem po stronie Rządowego Centrum Bezpieczeństwa". Rządowe Centrum doskonale rozumie (tak to działa w mocarstwach), co taki drobny błąd językowy oznacza: „Mamy świadomość, że Alert RCB jest dla odbiorców sygnałem do podjęcia działań służących ochronie życia i zdrowia. Błędnie skierowane ostrzeżenie mogło wywołać niepokój oraz skłonić mieszkańców do podjęcia działań ochronnych". I pięknie za wszystko RCB przeprasza: „Przepraszamy wszystkich odbiorców błędnie wysłanych wiadomości za pomyłkę, niepokój i utrudnienia, które mogły spowodować".

> Wszystko mnie uspokaja: i te Apacze, i te Kleszcze, czyli Bobry, i te Patrioty, i alerty.

Ja się czuję przeproszony i usatysfakcjonowany, nie tylko dlatego, że nie mieszkam ani w województwie lubelskim, ani w lubuskim.

Wszystko to mnie uspokaja: i te Apacze, i te Kleszcze, czyli Bobry, i te Patrioty, i alerty. Ktoś o nas myśli, dba i broni. Tylko te literówki… ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 0c31442585

SERIAL

Druga młodość,

showrunner Sharon Horgan, HBO Max



Sharon Horgan, ekspertka od relacji międzyludzkich i showrunnerka (pomysłodawczyni, scenarzystka i producentka), a także jedna z głównych aktorek popularnych „Sióstr na zabój", powróciła z nowym serialem. Horgan wciela się w główną rolę – 50-letniej rozwódki Alex, która szuka miłości i przygód, a zarazem musi się opiekować starszymi rodzicami i synem. Dochodzi do tego jej praca: Alex na co dzień działa jako agentka literacka w Londynie – jak się okaże, to taki rodzaj zajęcia, że nie da się go zostawić za drzwiami biura, nawet jeśli mamy randkę z nieznajomym z Tindera. W „Drugiej młodości" Sharon Horgan zastanawia się, czy jej postać poradzi sobie w natłoku tylu obowiązków. Czy po pięćdziesiątce kobiety w ogóle mają przestrzeń na choć trochę zabawy i miłości? Czy może muszą matkować innym, zapominając o sobie?

Jan Tracz

KURTYNA W GÓRĘ



Seans terapeutyczny

Na początku sprawa wydaje się prosta, wina niemal udowodniona, a przysięgli pewni rychłego zakończenia obrad, ale jeden z nich, dociekliwy przysięgły nr 8 (Filip Kowalczyk), ma uzasadnione wątpliwości. I tak to się zaczyna. Przysięgli wchodzą w spór, ujawniając przy okazji fobie, lęki, niechęci, a nawet żądzę odwetu. Obrady stają się więc lustrem postaw społecznych, dzięki temu zaś, że materia sporu jest konkretna, a rozstrzygnięcie decyduje o czyimś życiu, wygląda to nie na starcie ideologiczne, ale na praktyczny test człowieczeństwa i siły demokracji.

Nie przeszkadza wcale, że scenariusz powstał ponad 70 lat temu i po drodze zmieniły się realia, a w Polsce nawet ustrój. Ludzie pozostali dość podobni, wciąż podatni na manipulacje, powierzchowne opinie i niechętni (przynajmniej niektórzy) do podejmowania samodzielnego wysiłku umysłowego. Wszystko to znakomicie ilustruje inscenizacja we Współczesnym, której tylko lekkie podszlifowanie nowoczesnością daje poczucie, że rzecz toczy się tu i teraz.

Wymowa sztuki jest optymistyczna, bo mimo przestróg przed ksenofobami (monolog przysięgłego nr 10, Szymona Roszaka, wyrażający niemal zoologiczną nienawiść do dołów społecznych) dowodzi, że ludzie są zdolni do przezwyciężania uprzedzeń. Wbrew pozorom można się porozumieć. Spektakl rezonuje ze współczesnymi postawami i zachęca do poszukiwania wspólnego języka. Może to najważniejsza nauka.

Tomasz Miłkowski

Reginald Rose, „Dwunastu gniewnych ludzi", tłumaczenie Jan Czapliński, reżyseria i opracowanie muzyczne Piotr Ratajczak, Teatr Współczesny w Warszawie, Scena Główna, premiera 24 września 2026

PRL z Netfliksa



Przyglądając się na scenie skomplikowanej biografii Edwarda Gierka, można dojrzeć człowieka, który w określonych warunkach historycznych chciał Polskę Ludową „modernizować", albo tragiczny w pewnym sensie produkt warunków historycznych. Można też poprzestać na okraszonej nostalgią, plakatowej refleksji o zgrzebnej PRL, wraz z jej pogonią za „dobrobytem" symbolizowanym przez butelkę coli.

Twórcy „Gorączki żelaza" z Teatru Zagłębia w Sosnowcu poszli w jeszcze inną stronę, a właściwie w wiele różnych stron naraz. Na tle przemian historycznych Zagłębia umieszczają telewizyjną operę mydlaną rozgrywającą się na placu budowy Huty Katowice. Jest tu pożądanie, miłość i śmierć (a właściwie zabójstwo w afekcie). Trochę romansu, trochę komedii, a nawet wodewilu, vide Gierek (Przemysław Kania) śpiewający w finale Wodeckiego. Chwilami to nawet działa, ale częściej przytłacza nadmiarem wątków. Jest tu stylizowana na Jandę z „Człowieka z marmuru" niepokorna Dziennikarka „Trybuny Ludu" (Mirosława Żak), są meandry władzy, gejowski romans robotniczo-kowbojski, a nawet posthumanistyczna ekologia à la Tokarczuk. Wszystko to tworzy barwną, acz niewiele mówiącą pulpę.

O czym właściwie jest to przedstawienie, trudno zgadnąć. Za to rozgrywa się ono w klimatycznej scenografii Kai Migdałek, ze świetnymi kostiumami Marty Śniosek-Masacz. I właśnie warstwa wizualna, wzbogacona o naturalny kontekst – spektakl grany jest w pięknych socrealistycznych wnętrzach Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej – stanowi największy atut inscenizacji Szymona Kaczmarka.

Michał Centkowski

Żelisław Żelisławski, „Gorączka żelaza", reżyseria Szymon Kaczmarek, Teatr Zagłębia w Sosnowcu, premiera 2 października 2026

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. BARTEK WARZECHA, JEREMI ASTASZOW, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 0c31442585

Na suwalskim trójstyku

Za Biebrzą są Rusiny, na zachodzie Mazury, a tu jesteśmy my

Monika Radzikowska



Powodem do dumy Suchowoli jest kamień oznaczający środek Europy.

Autobus kolebał się drogą Augustów-Białystok i wjechał właśnie do Suchowoli. Nawet jeśli przegapi się tabliczkę z nazwą miejscowości, to tamtejszy plac z parkiem i tak można łatwo rozpoznać: biały łuk papieski wznosi się nad nim niczym brama wjazdowa do lepszego świata. W najwyższym punkcie – krzyż. Konstrukcja wznosiła się kiedyś nad ołtarzem polowym w Białymstoku, przy którym papież odprawił mszę. W 1993 przeniesiono ją do Suchowoli – teraz jest nie tylko częścią wystroju miasta, ale i elementem herbu, razem z koniem typu sokólskiego – wszak to powiat sokólski. A to już przecież Rusiny. Granice wyznaczone są tu bardzo wyraźnie.

Łuk papieski to niejedyny powód do dumy Suchowoli – na placu jest ich więcej. Przede wszystkim ten najważniejszy: kamień oznaczający środek Europy. W 1775 r. Szymon Antoni Sobiekrajski, astronom i kartograf króla Stanisława Augusta, połączył na mapie najbardziej skrajne punkty Europy i wyszło mu, że przecinają się właśnie tu, w Suchowoli.

Gdy współcześnie sprawa ta ujrzała światło dzienne, sensacja i zachwyt natychmiast owładnęły miasteczkiem: pojawiły się splendor i czerwone wstęgi, wielkie fetowanie i odsłonięty przez władze kamień upamiętniający pomiary pana Sobiekrajskiego. Dziś wystarczy wrzucić w wyszukiwarkę hasło „Suchowola", aby dowiedzieć się, że jest to środek Europy. (…)

•

– Za Biebrzą są Rusiny! Na zachodzie Mazury. A tu jesteśmy my!

– No to kim wy jesteście w takim razie?

– Jak to kim? Polakami! Tu zawsze była Polska.

– A jak były zabory? Przecież wszyscy wtedy wpadliście do zaboru rosyjskiego.

– Nieprawda.

Jest czwarta rano, słońce zaraz wzejdzie, a może nawet już wzeszło. W półmroku spowijającym śpiące mieszkanie Iwona podchodzi do półki z książkami i wyciąga atlas historyczny. Otwiera go na XIX w., w okresie po wojnach napoleońskich, i palcem wskazuje mi nowo utworzone wtedy Królestwo Polskie. Mały, zależny od Rosji kraj, o kształcie nieforemnego placka, skupiony wokół Warszawy.

– Tutaj! – Iwona wskazuje na odstający cypel, który wyciąga się niczym palec w kierunku północnym. Z Warszawą łączy go wąski pas ziemi. I rzeczywiście, w tym wysuniętym fragmencie mieści się Augustowszczyzna, o której rozmawiamy już tak długo, że wszyscy inni posnęli. W pasie tym mieści się i Augustów, i Sztabin, i Jaminy, czyli miejsce domu rodzinnego Iwony. I rzeczywiście – za Biebrzą rozciągały się tereny włączone do Rosji, na zachód zaś Prusy Wschodnie. Na pokazanej mapie ten rozciągnięty fragment augustowskiej ziemi jawił się jako ostatnia ostoja polskości walczącej o resztki niezależności, wbijający się klinem między zaborców. I mimo że odzyskaliśmy już niepodległość, a granica przebiega dziś zupełnie inaczej, to „za Biebrzą w dalszym ciągu są Rusiny".

•

Trójstyk. Kraina Jaćwingów. Polski biegun zimna. Suwalszczyzna. Pogranicze właściwie od średniowiecza. Odkąd Konrad Mazowiecki, nie mogąc sobie poradzić z niszczycielskimi najazdami Prusów i Jaćwingów, wezwał na pomoc Zakon Krzyżacki, zaczęło się przeciąganie liny. Co zrobili Krzyżacy, gdy zakończyli podbój – dobrze wiemy. Nagle

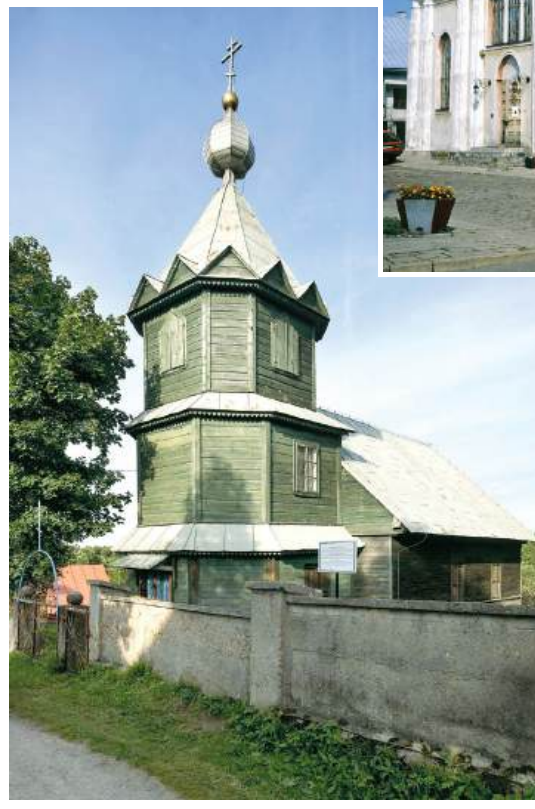
eprasa.pl 0c31442585

dzikie, bagienne ostępy puszczańskie stały się atrakcyjne dla Niemców, Litwinów, Rusinów i Polaków. Gdy powstały Prusy Wschodnie i Rzeczpospolita Obojga Narodów, granica ustabilizowała się mniej więcej tam, gdzie dziś rozciąga się linia rozdzielająca województwa warmińsko-mazurskie i podlaskie. Oprócz wpływów poszczególnych władców nie rozdzielała jednak wiele: po obu jej stronach mieszkali i Niemcy, i osadnicy przybyli z Mazowsza, i Litwini, a także Rusini z terenów dzisiejszej Białorusi, których w państwie litewskim było wielu. Z czasem przybyli też staroobrzędowcy, uciekający przed prześladowaniami w Rosji. Mnogość nacji spowodowała, że gdy mieszkańcy poznali słowo „naród" i zaczęli się identyfikować z konkretnym państwem, zaczęły się konflikty. Najgłośniejszym był ten polsko-litewski z okresu odzyskiwania przez Rzeczpospolitą niepodległości. Awantura z Litwinami spowodowała, że na Suwalszczyźnie wolność i spokój nie zapanowały w 1918 r., ale dopiero w kolejnym.

No i jest jeszcze II wojna światowa, która rozdzieliła Augustów i Suwałki pomiędzy dwóch okupantów. I front, który przeciął miasto nad Nettą, gdy Niemcy ruszyli na Sowietów. W roku zakończenia wojny nastąpiło kolejne traumatyczne wydarzenie: aresztowania mieszkańców w obławie augustowskiej. Kilkaset (choć niektórzy mówią, że ponad 2 tys.) osób zniknęło bez śladu, prawdopodobnie w cichym lesie tuż za białoruską granicą. Nigdy i nigdzie w powojennej Polsce nie przeprowadzono tak zmasowanej i dramatycznej w skutkach akcji pacyfikacyjnej. W regionie trudno jest znaleźć rodzinę, która nie miałaby jakichś opowieści związanych z tym wydarzeniem: o aresztowanym dziadku, o ukrywającym się wujku, o sąsiedzie, który uciekł z transportu, o cioci, którą brutalnie przesłuchiwano, a potem wywieziono w nieznanym kierunku.



Biała Synagoga w Sejnach – jedna z niewielu, które przetrwały II wojnę światową.



Molenna staroobrzędowców w Wodziłkach.

•

Na przystanku autobusowym w Suwałkach, koło OSiR-u, staliśmy we dwoje – ja i facet w ciężkich traperach i brązowym, wytartym płaszczu. Sznurówki miał dwukolorowe: w jednym bucie czarne, w drugim białe. Autobus spóźniał się jak zwykle, a my trwaliśmy skupieni pod daszkiem przystanku, chroniąc się przed ulewą. Milczący, każde w swoim wewnętrznym świecie. Patrzyliśmy tak na ten deszcz i nagle facet odezwał się, nie patrząc na mnie:

– A jak pani myśli… Czy po człowieku można poznać, czy jest dobry czy zły?

Zastanowiłam się. Nie co dzień słyszy się takie pytania i nie co dzień człowiek rozważa kwestie filozoficzne. Od czasu do czasu, owszem, ale kto miałby siłę, żeby robić to każdego dnia?

– To zależy – odparłam wreszcie, rozważywszy wszelkie za i przeciw.

– A z wyglądu? – zapytał on.

– No to nie.

Facet pokiwał głową, jakby ta krótka, jednoznaczna odpowiedź zupełnie mu wystarczała i nie wymagała dodatkowych tłumaczeń.

– Będzie jeszcze długo padać – zmienił nagle temat. – Ale to dobrze, deszcz potrzebny. (...)

•

Wiodąca przez lasy droga do Puńska była dziurawa i nierówna. Jechałam nią tak długo, że nie byłam pewna, czy przypadkiem nie przekroczyłam nieopatrznie granicy i czy nie jestem już na Litwie. Ale nie – to ciągle Polska, przynajmniej na mapie. O tym regionie mówi się niekiedy „Mała Litwa". I rzeczywiście, dwujęzyczne tablice z nazwami kolejnych miejscowości informują mnie, że jestem w strefie przygranicznej, gdzie ludzie mają korzenie często splątane z tymi tuż zza miedzy.

Gdy dojeżdżam wreszcie do Puńska i wchodzę do sklepu, ekspedientka podlicza mnie po litewsku.

– Przepraszam, nie mówię po litewsku – uśmiecham się przepraszająco, na co sprzedawczyni przechodzi na polski i podaje cenę moich zakupów. Na ulicy wszyscy mówią do siebie po litewsku, szkoły nauczają tego języka na równi z polskim. Puńsk to dzisiaj stolica polskich Litwinów.

– Oczywiście, że szkoda, że wylądowaliśmy po tej stronie granicy! – opiekunka lokalnego muzeum ma

eprasa.pl 0c31442585

jasno określone zdanie na temat powojennych regulacji terytorialnych. – A jeszcze gorzej, że Sejny też są w Polsce. Przecież to było litewskie miasto!

Jest jeszcze dużo żalu o całą historię przedwojenną. O to, że Litwini musieli walczyć, żeby w kościele była msza w ich języku. O to, co zrobił Piłsudski. O powstanie sejneńskie, które w naszej wersji historii wyzwoliło Suwalszczyznę i pozwoliło włączyć ją w 1919 r. do niepodległej Polski. I o to, że po tym powstaniu zlikwidowano litewskie liceum w Sejnach. W XX-leciu międzywojennym w Berżnikach Polacy i Litwini, kłócąc się o świątynię, dali sobie po mordach, co wkurzyło biskupa, który zamknął kościół dla wszystkich. Po tym wydarzeniu Litwini porzucili swoją rodzinną wieś i przekroczyli granicę, gdzie wybudowali sobie własny Dom Boży.

Sejny dziś nie mówią po litewsku. Mimo że Litwini są tu obecni i ich kultura odcisnęła piętno na historii miasta, tak naprawdę nigdy nie stanowili większości. Gdyby chcieć sięgnąć do korzeni, by przyznać komuś palmę pierwszeństwa, to należałoby wskazać Żydów, którzy w XIX w. stanowili tu co najmniej połowę populacji. I to tu działały ich sklepy i warsztaty, a w sobotę swoje progi otwierała Biała Synagoga – jedna z niewielu, które przetrwały II wojnę światową. Dzisiaj jest miejscem koncertów i działań kulturalnych.

Gdyby sięgnąć jeszcze głębiej, dotarlibyśmy do Jaćwingów. W czasach, gdy całą Suwalszczyznę pokrywały bagna i lasy, ten wojowniczy lud stanowił dla Krzyżaków twardy orzech do zgryzienia. Jaćwingowie należeli do Bałtów – grupy, do której dzisiaj archeolodzy zaliczają także Litwinów i Łotyszy. W Polsce ich ślady znaleźć można na Suwalszczyźnie i Mazurach. Niedaleko Puńska, we wsi Oszkinie powstała nawet osada prusko-jaćwieska, której właściciel jasno mówi o swoich bałtyjskich korzeniach i zachęca do poszukiwania mądrości przodków w kilku specjalnie zbudowanych leśnych świątyniach.

Jednym z ostatnich bastionów Jaćwingów była Góra Zamkowa w Szurpiłach. Dziś rozpościera się stamtąd piękny widok na jeziora i lasy Suwalskiego Parku Krajobrazowego. Kiedyś wzgórze było wykarczowane, a na jego łysym szczycie stał obronny gród. Poniżej była osada, utrzymująca rozległe kontakty handlowe z ościennymi ludami. A na horyzoncie pewnie można było dostrzec strażnice pilnujące podejścia do kompleksu osadniczego. Wedle tradycji była to siedziba wodza imieniem Szurpa lub Sziurpa, skąd miała wziąć się nazwa dzisiejszej miejscowości – Szurpiły, gród Szurpy.

Miejsce rozbudza wyobraźnię: jest to jeden z ostatnich upadłych grodów Jaćwieży, sprytnie otoczony przez jeziora i znajdujące się między nimi przekopy. Twierdza nie do zdobycia inaczej niż głodem. Z takich miejsc Jaćwingowie mogli wyprawiać się na łupieżcze rajdy aż pod Sandomierz – ku przerażeniu piastowskich książąt dzielnicowych. Jak można nie chcieć być ich potomkiem? Genów wojowniczych przodków upatrują w sobie niektórzy autochtoni, będący w stanie określić swoją rdzenność przynajmniej do pradziadów. Nic dziwnego, że to na suwalskiej ziemi powstał rapowany utwór Bujaka „Jaćwingowie”.

•

W Białej Synagodze w Sejnach była kiedyś wystawa dotycząca grup etnicznych i religijnych Suwalszczyzny. Widziałam ją, zwiedzając świątynię dawno temu, na licealnej wycieczce. Pamiętam, że na niskim stoliku wymalowano infografikę z nazwami miejscowości, w których można znaleźć przedstawicieli różnych mniejszości. Wśród nich były Gabowe Grądy. (…)

Pojechałam tam rowerem podczas podróży po regionie. Gdy zjedzie się z głównej drogi, można dotrzeć do górującej nad wsią świątyni wyglądającej jak cerkiew. Tylko że nie jest ona cerkwią, ale molenną. Molenna to świątynia staroobrzędowców, odłamu prawosławia. Tych, którzy byli wierni tradycji, ale nie zgodzili się na reformy Nikona i uciekli przed prześladowaniami. To oni bronili się w klasztorze na Wyspach Sołowieckich. Część wiernych zdecydowała się przekroczyć granicę i schować w Rzeczpospolitej Obojga Narodów. I są tu do dzisiaj.

Staroobrzędowcy to potomkowie Rosjan, którzy przybyli na Suwalszczyznę w XVIII i XIX w. Trzymali się zwykle w swoim towarzystwie, w wioskach, z których część można dziś rozpoznać po członie „Ruska”. Niewielu ich już zostało. Molenna w Pogorzelcach została przeniesiona do Gib i zaadaptowana na kościół katolicki, bo nie było już poprzednich wiernych. W Gabowych Grądach świątynia wciąż jednak jest użytkowana.

W regionie trudno jest znaleźć rodzinę, która nie miałaby jakichś opowieści związanych z obławą augustowską.

Przez płot podglądam nagrobki na cmentarzu przy świątyni. Wyglądają podobnie jak te przycerkiewne – mają charakterystyczne krzyże z dodatkową dolną belką. Pomiędzy nagrobkami stoi starsza kobieta w chuście na głowie.

– Dzień dobry! – wołam.

– Dzień dobry – odpowiada z wyraźnym akcentem kobieta.

– Czy to molenna? Czy odbywają się tu ciągle nabożeństwa?

– A tak, a czemu by nie? W niedzielę.

– A można przyjść? Tak po prostu, z ciekawości?

– A można, czemu by nie?

Dopytuję więc jeszcze o godzinę liturgii i jadę dalej. Wracam w niedzielę z Iwoną, obie mamy chusty na głowach, żeby nie wyróżniać się wśród starowierców i nie obrazić modlących się nieodpowiednim strojem. Stajemy w przedsionku, nie wiedząc, dokąd można nam wejść ani gdzie stanąć, więc wybieramy opcję bezpieczną. Na pewno zostałyśmy dostrzeżone – wszak społeczność nie jest duża – ale nikt nie zwraca na nas uwagi. Można przyjść, można uczestniczyć, można poznawać.

Więc wykorzystuję okazję i poznaję: rozglądam się po wnętrzu

FOT. MICHAŁ KOŚĆ/AGENCJA WSCHÓD/REPORTER, SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 0c31442585

świątyni. Ikonostas wygląda jak w cerkwi, a język modlitwy też jest podobny, choć trudny w zrozumieniu. Na nabożeństwie nie ma sakramentu Eucharystii; wszystko polega na czytaniu pism i śpiewie. Część tekstów czytają mężczyźni, część kobiety. Nie ma księdza – część staroobrzędowców nie uznaje kapłanów wyświęconych po reformie Nikona, dlatego modlitwie przewodzi człowiek zwany nastawnikiem. Ma ze sobą dwóch pomocników. Wszyscy oni noszą szaty, które przypominają sutanny.

Staroobrzędowcy mieszkają też w Wodziłkach, w sercu Suwalskiego Parku Krajobrazowego, choć zostało ich już niewielu. Ich molenna jest jedną z najbardziej fotogenicznych i malowniczo położonych, więc wciąż zatrzymuje przechodzących tędy turystów. W Pijawnym Ruskim natknąć się można na ich cmentarz, a w Budzie Ruskiej – wziąć udział w festiwalu Patrząc na Wschód, który odbywa się na podwórku dawnego gospodarstwa staroobrzędowców. Drewniany dom o kolorowych okiennicach i bania stojąca nad rzeką to charakterystyczne elementy ich obejść.

– Kąpieli w bani zażywano przede wszystkim przed świętami. Kiedyś też nie można było tego robić razem z innowiercami – mówi przewodnik, który po pokazaniu festiwalowego gospodarstwa, prowadzi nas na cmentarz staroobrzędowców położony na pobliskiej górce.

– Na cmentarzach stawia się tylko znicze, bez kwiatów. Na wielu grobach jest napis „Boże, przyjmij sługę Twojego". Trzeba też było uważać, żeby umrzeć „godną" śmiercią. Śmierć niegodna to np. gwałtowny wypadek lub przedawkowanie alkoholu. Albo samobójstwo. Takich zmarłych chowano pod płotem, a uratować jego duszę mogła tylko matka, poprzez modlitwę. Krzyż stawia się w nogach, po wschodniej stronie, żeby zmarły mógł patrzeć zarówno na niego, jak i na zmartwychwstałego Jezusa, który przyjdzie ze Wschodu.

Dawniej staroobrzędowcy nie pili nawet kawy i nie zażywali tytoniu, nie służyli w wojsku, nie golili bród i żyli w hermetycznych społecznościach. Powoli to się zmienia – dzisiaj często spotkać można mieszane małżeństwa i ogolone męskie twarze. (…)

Buda Ruska jest wsią założoną przez staroobrzędowców nad malowniczo wijącą się tu Czarną Hańczą. Tu znaleźli nowy dom, który musieli opuścić w 1941 r. W czasie wojny, gdy przynależność religijna przestała mieć znaczenie, liczyło się to, że na Suwalszczyźnie mieszkają Rosjanie. Wywieziono ich do ZSRR w ramach powrotu do macierzy i obrony przed faszyzmem. Nikt ich nie pytał, czy są tym zainteresowani – zupełnie jak Łemków w Beskidach, Polaków z Ukrainy i Ukraińców z Polski. Niektórzy wrócili mimo to. Byli wszak z pogranicza i to tu był ich dom. (…)

•

Niedaleko Lipska jest kładka na Biebrzy – można po niej wędrować między mokradłami, a wiosną wypatrywać z niej wracających ptaków. Jadąc do niej od strony Augustowa, można też zatrzymać się wcześniej w lesie i odwiedzić uroczysko Kozi Rynek. Da się tam dojechać samochodem, ale nie zawsze chodzi o wygodę, więc zostawiam auto na leśnym parkingu i idę. Szlak jest dobrze oznakowany, a droga szeroka. Nagle wymija mnie samochód, który zatrzymuje się jakieś 100 m przede mną. Od strony pasażera otwierają się drzwi i wyłania się z nich kobieta, która podbiega do pobocza, nachyla się nad runem leśnym, a potem odwraca w moją stronę i woła:

– Przepraszam! Co to za kwiatek?

Rozbawiła mnie wiara tej kobiety w moją znajomość botaniki i jej sokoli wzrok – nawet nie dostrzegłam, że rosną tam jakieś kwiatki. Musiałam więc rozczarować miłośniczkę roślin.

– Szkoda – rzekła. – Ja też się nie znam. Idziesz na Kozi Rynek? Może cię podwieźć?

– Nie, dziękuję – odpowiadam. – Specjalnie zostawiłam samochód na parkingu. (...) Dzisiaj Kozi Rynek to rezerwat, ale pomnik przypomina, że kiedyś ukrywał się tu oddział powstańców styczniowych Józefa Konstantego Ramotowskiego. Bagna to całkiem niezła osłona, ale Rosjanie i tak ich wytropili i pogromili w bitwie.

– W ogóle ta okolica nieszczęśliwa – mówi towarzysz kobiety od kwiatów.

– Jak to?

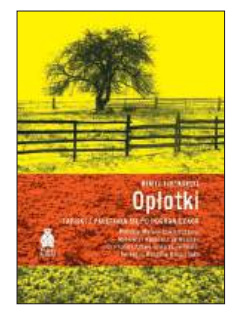
– Tu, niedaleko, jest taka wieś Jasionowo. W czasie wojny Niemcy ją spacyfikowali w odwecie za jakąś akcję partyzantów. Mordowali jak leci, nieważne kto, w jakim wieku, czy pomagał partyzantom, czy nie. Prawie całą wioskę tak rozgromili. To najdłuższe zdanie, jakie mężczyzna wypowiedział odkąd się zobaczyliśmy.

•

(…) Trochę na północ od Grajewa, między Prostkami a Boguszami, nad rzeką Ełk, stoi słup. Prowadzi do niego leśna droga z dużymi kamieniami ułożonymi po obu jej stronach. Biała bryła słupa jest widoczna z daleka; za nim, gdy przejdzie się kładką przez zarośla, można dojść nad rzekę.

Słup jest stary – postawił go w 1545 r. król Zygmunt August, który chciał rozdzielić to, co pod jego władzą od tego, co obce. Napis po łacinie informuje o dawnym trójstyku Rzeczpospolitej, Wielkiego Księstwa Litewskiego i Zakonu Krzyżackiego. Gdy wskutek unii lubelskiej Polska i Litwa stały się jednym, trójstyk zmienił się po prostu w granicę. A dzisiaj leśna droga między Prostkami a Boguszami nosi nazwę Granicznej. Dzieli już nie kraje, ale dwa województwa: podlaskie i warmińsko-mazurskie.

W strefie przygranicznej ludzie mają korzenie często splątane z tymi tuż zza miedzy.



Fragment książki Moniki Radzikowskiej *Opłotki. Zapiski z pałętania się po pograniczach*, Paśny Buriat, Suwałki 2026

eprasa.pl 0c31442585



Oko w oko Tomasz Jastrun

Pokraczny twór

Spotkanie z reżyserami – z Filipem Bajonem, wcześniej z Wieśkiem Saniewskim. Reżyser „Nadzoru" szuka producenta filmu o nocy stanu wojennego, do którego napisałem nowelę filmową. Ale nie ma na to wielkich nadziei. „Jestem za stary", mówi mi. Teraz liczą się tylko młodzi. To samo słyszę od Filipa Bajona, w końcu autora kilku wybitnych filmów. Potrzebuje 20 mln na film o Bronisławie Piłsudskim, bracie marszałka, słynnym etnografie, który potrafił skorzystać na nieszczęściu: zesłano go, podobnie jak brata, na Syberię i tam badał naukowo tubylców. Filip też nie ma dużych szans. Jest za stary.

Był w Gdyni na festiwalu filmowym i podobnie jak wielu krytyków i reżyserów nie jest zachwycony jego poziomem. Sytuacja taka, że nasze młode kino nie jest wybitne, a starym o dużym dorobku nie pozwala się robić filmów. Odpadli. Cała nasza cywilizacja jest cywilizacją młodych. Starzy przestają się liczyć. Filip nie ma internetu. Jak żyć bez internetu? Jak robić film bez internetu? Słychać skargi, że kiedyś starzy byli autorytetami, a teraz już nie są. Jak można być dla młodych autorytetem, kiedy nie ma się internetu albo nie potrafi się wejść do bezobsługowej Żabki? Ja nie wejdę. Z byle głupstwem biegnę do moich synków, wołając o pomoc. To, że piszę książki, nie jest dla nich ważne – nie czytają książek.

Przygotowałem ofertę na spotkania autorskie – lubię je i muszę. Na książkach nic nie zarabiam. Napisałem ofertę dla bibliotek i domów kultury z moim życiorysem oraz propozycjami tematów do wyboru. Przy okazji zdumiałem się, jak dużo napisałem, jak różne tematy poruszałem i jak rozmaite uprawiałem gatunki literackie oraz dziennikarskie. Nie wiem, jak i kiedy to się stało. I w końcu zdziwienie – jak mało z tego wynika.

Oferta wydała mi się dobra, byłem z siebie dumny. Młoda znajoma poleciła mi jednak, by dać tekst do oceny sztucznej inteligencji. Dostałem opinię w kilka sekund. Była krytyczna: tekst za długi, za mało esencjonalny, źle dobrane akcenty. „To napisz to po swojemu", wydałem polecenie. Dostałem tekst z licznymi przeróbkami i włosy stanęły mi dęba. Oferta była teraz o wiele lepsza, bardziej zwięzła i powabna niż moja. Znajoma poetka, która intensywnie obcuje z AI, zwierza się, że jest bliska zakochania w niej. Przyznaje, że przestała pisać recenzje książek, bo zobaczyła, że jej mało zdolni znajomi nagle piszą zaskakująco dobre teksty. Nie sami – pisze im AI. Do tej pory korzystałem z AI w drobnych sprawach, to był błąd. Sprawdzam: pisze wiersze przeciętne, ale w każdym jest zalążek wielkości. W końcu to esencja kosmosu internetu – wystarczy ten materiał zręcznie podkręcić, podszlifować. Konkursy poetyckie tracą sens, a jestem teraz przewodniczącym jury dwóch. Dałem jej temat na opowiadanie. Dostałem propozycję w sekundę. Napisałem na tej podstawie niezłe opowiadanie. A to przecież jedynie zapowiedź, nieśmiałe początki. A ja spóźniłem się o kilka lat. Ci, którzy nie załapią się na AI, przegrają, będą niepełnosprawni o wiele bardziej niż ci, co nie mają komórki.

Kiedyś obawy, że ona załatwi ludzkość, wydawały mi się dziwactwem; teraz już nie. Za podli i za głupi jesteśmy na naszą mądrość. Może szkoda, że tego nie dożyję – trochę to jednak potrwa, a ja mam coraz mniej czasu. Tylko moich dzieci i wnuków żal. Wszystkich dzieci.

•

Ceny benzyny być może będą decydować o wyniku wyborów za rok. To nie jest dla nas dobra wiadomość. Jeśli nie da się ich znacznie obniżyć, nie będzie to wina rządu, lecz globalnej gospodarki. Ale gdy ludzi boli portfel, odruchowo winią rządzących. To głupie, ale statystycznie wygląda na to, że w społeczeństwie mądrość nie ma przewagi nad głupotą. Są też pewne zachowania odruchowe. Na rzecz rządzących działa efekt flagi, czyli skupianie się wokół rządu ze strachu, że ktoś nas zaatakuje. Gra tym Tusk, który podsyca lęk przed Rosją. Publicyści pism prawicowych wołają ze zgrozą, że Tusk wkręca nas w wojnę z Rosją. Nie wierzę, że Rosja chce zaatakować Polskę, a więc NATO. Putin jest podły, ale nie jest głupcem. Inna sprawa, że I wojna światowa wybuchła bez sensu, na zasadzie reakcji łańcuchowej.

Gdy ludzi boli portfel, odruchowo winią rządzących.

•

A jeśli nasza prawica wygra wybory? Koalicja prawicowych partii z „mięsnym wkładem" Brauna to pokraczny twór, zionący nienawiścią, żądny zemsty, skłócony i niekompetentny. Brauna już teraz nieśmiało proponuję na ministra kultury. Rząd ze śmierdzącym faszyzmem Braunem, który z zapałem dryfuje w stronę Rosji, będzie ciężko chory. Zatruta Braunem chwiejna prawicowa koalicja będzie zatruwać Polskę i oddalać nas od Europy. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 0c31442585

Bóg urojony i bóg spełniony

Reprezentacje zawiodły, Messi się pożegnał

Wojciech Kuczok

Taka bryndza w reprezentacyjnym ataku, że 38-letni Robert Lewandowski pozostaje na swojej pozycji niedościgniony, o ile nie przeżywa jet lagu.

Przed tygodniem wyrażałem przygnębienie jego formą w warszawskim meczu z Bośnią, ale okazało się, że w starciu z Rumunią instynkt i technika Lewego odżyły – nasz kapitan ustrzelił kolejnego reprezentacyjnego hat tricka i dziarsko zmierza do setki goli, by zaokrąglić rekord wszech czasów.

Rumuni pod wodzą trenerską Gheorghe Hagiego są beznadziejni jak nigdy, do tego grali z nami przez 70 minut w dziesiątkę. Ale tę przewagę nam załatwił właśnie Lewy, sprytnie wychodząc na pozycję i dając się sfaulować w polu karnym przez ostatniego obrońcę. Potem rzeź niewiniątek była kwestią czasu, ten mecz jako żywo przypominał starcie z Estonią w eliminacjach do Euro wiosną 2023 – wtedy kadra Probierza też wyżyła się na słabiutkich rywalach grających niemal cały mecz w dziesiątkę.

Na wyciąganie z tej kanonady dalekosiężnych i entuzjastycznych wniosków czasu zabrakło, bo kilka dni później zweryfikowali nas Bośniacy. Lewandowski już tam nie pojechał, bo się wykartkował (sądząc po tym, jak złapał żółtko ze Szwedami), nie można wykluczać, że od początku miał w planie opuścić kadrę przed ostatnim październikowym wyjazdem.

Bezzębni z przodu ugralibyśmy bezbramkowy punkcik w Zenicy, gdyby nie Jan Bednarek i jego niezawodna zasada jednego wiel-błędu na mecz. Nasz reprezentacyjny stoper nawet w życiowej formie musi coś przynajmniej raz w ciągu 90 minut zawalić. Tym razem powalił napastnika rywali w polu karnym i choć trener Urban obstawał przy tym, że takich karnych się nie gwiżdże, sędzia po namyśle i konsultacji VAR jednak przyznał gospodarzom jedenastkę. Przegraliśmy zatem mecz nie do przegrania. Liga Narodów została odfajkowana w kilka dni, nie mamy już czym się przejmować, nie awansujemy ani nie spadniemy, choćbyśmy wysłali do Rumunii kadrę pięciolatków. Nie tylko ze względu na kiepski poziom kadry prowadzonej przez „Maradonę Karpat", ale też dzięki ogłoszeniu przez UEFA kolejnej zmiany formatu rozgrywek – nikt nie spadnie niżej, dołączą słabsi, grupy będą liczniejsze.

Niestety, to jedyna pociecha dla zszarganego kibicowskiego morale – obraz kadry narodowej to wciąż nędza i rozpacz, a desperackie pomysły na naturalizowanie obcokrajowców, którzy mają choć ślad polskich korzeni (Ellis Simms, napastnik Coventry, beniaminek



Nicolás Otamendi świętuje z Lionelem Messim swoją pierwszą bramkę podczas ostatniego meczu Messiego w reprezentacji narodowej. Buenos Aires, 6 października 2026 r.

eprasa.pl 0c31442585

Premier League, obecnie bez formy) czy wcale ich nie mają (Ángel Rodado, od czterech lat w Polsce, gwiazda krakowskiej Wisły, skuteczny, ale wiosną skończy trzydziestkę), tylko potwierdzają naszą słabość. Karol Świderski, od kiedy wrócił do Ekstraklasy, zgubił formę reprezentacyjną, Mateusz Żukowski się stara, ale kadra to nie druga liga niemiecka.

Młodzieżówka, która tak rozbudziła nadzieje dziewięcioma zwycięstwami z rzędu, została poturbowana we Włoszech, kompromitująco oddając mecz. Orlęta potrafiły stracić gola nawet przy własnym rzucie rożnym, kiedy rywal przejął piłkę i kropnął z… 70 m. Na otarcie łez cudowną bramkę strzelił Jakub Żewłakow, wciąż rezerwowy zarówno w Legii, jak i w kadrze U-21 – pora to zmienić, bo ten chłopak ma nie tylko dobre geny, ale i ewidentny talent, technikę oraz instynkt strzelecki.

Na katastrofę młodych Polaków najlepiej byłoby spuścić zasłonę milczenia, gdyby nie to, że selekcjoner Brzęczek mimowolnie rozgrzeszył swoich zawodników. Kiedy okazało się, że dzięki korzystnemu bilansowi bramkowemu wypracowanemu we wcześniejszych spotkaniach i tak pojedziemy na młodzieżowe Mistrzostwa Europy jako najlepsza z drużyn, które zajęły drugie miejsca w swoich grupach, Brzęczek stwierdził, że to „piłkarski Bóg wczoraj nas ostrzegł, pokazał, sprawdził, ale dzisiaj doszedł do wniosku, że w tych dziewięciu meczach zasłużyliśmy na awans. Ale też dał nam do myślenia i sygnał, żebyśmy wyciągnęli wnioski".

A zatem klęska 2:6 z Włochami była nieunikniona, taki był po prostu zamysł Boga, nie ma co winić zawodników, że nie podjęli walki. Awansowaliśmy na juniorskie Euro, bo Bóg tak chciał. Oby tylko Brzęczek nie chciał na Euro stosować zmodyfikowanej metody Janusza Wójcika – zamiast „Tu trzeba dzwonić, nie trenować", „Tu nie ma co trenować, tu trzeba się modlić".

Gdyby jednak iść tropem futbolowej teologii, „piłkarski Bóg" dał nam w ostatnim półwieczu dość dowodów na to, że nas, Polaków, nie kocha, bo choćbyśmy się najgorliwiej na świecie modlili, wciąż nie umiemy wymodlić piłkarskiej jakości adekwatnej do potrzeb prawie 40-milionowego państwa w sercu Europy.

Jeśli zaś mowa o piłkarskich bogach, to ten jak najbardziej istniejący właśnie się pożegnał definitywnie z reprezentacją Albicelestes. Po 21 latach grania w kadrze Argentyny Leo Messi, być może największy piłkarz w dziejach, wystąpił po raz 208. i ostatni w narodowych barwach, zdobywając przy tym 126. gola i dokładając asystę w towarzyskim meczu z Beninem. Na szczęście to nie koniec kariery w ogóle, chociaż jego poczynania śledzić będą już tylko fanatycy talentu, chętni do zarywania nocy, żeby oglądać amerykańską MLS.

Historia występów Leo dla Argentyny jest cokolwiek turbulentna, na wymarzony sukces czekać musiał 17 lat, po drodze zaliczając frustrujące porażki, a nawet żegnając się, na szczęście odwołalnie, z kadrą. Powiedzieć, że Leo nie zaliczył udanego startu w reprezentacji, to nic nie powiedzieć: w debiutanckim występie przeciw Węgrom już po minucie gry odwinął się łokciem i trafił faulującego rywala, za co wyleciał z boiska z czerwoną kartką. Pierwszą bramkę dla kadry zdobył dopiero w szóstym występie, w towarzyskim meczu przeciw Chorwacji, w sposób, który uczynił potem swoim klasykiem.

W starciu z Rumunią instynkt i technika Lewego odżyły.

Pierwszą z 21 bramek mundialowych strzelił w Niemczech w 2006 r., gdy Argentyna gromiła w grupie Serbów 6:0. José Pékerman wpuszczał we wcześniejszych fazach Messiego, ale feralny ćwierćfinał, w którym Argentyna pożegnała się z mistrzostwami po przegranych karnych z reprezentacją gospodarzy, Leo oglądał z ławki. Na mundial do RPA jechał jednak już w glorii laureata Złotej Piłki i ulubieńca Diego Maradony. Niestety, pod wodzą El Diego Albicelestes rozbili się ponownie w ćwierćfinałowym starciu z Niemcami, choć tym razem wystarczył rywalom czas regulaminowy, aby wpakować cztery gole do argentyńskiej bramki. Messiemu, który zagrał pełnych sześć spotkań, nie udało się trafić na tamtym turnieju ani razu.

Nasi zachodni sąsiedzi zaszli za skórę Messiemu także cztery lata później, gdy w Brazylii trafili na Albicelestes w finale turnieju i po złotym golu Götzego w dogrywce wznieśli puchar. Messi miał prawo już wtedy zacząć powątpiewać, czy kiedykolwiek uda mu się coś wskórać z kadrą narodową. Po dwóch kolejnych przegranych finałach, tym razem w Copa América, z których zwłaszcza ten drugi był bolesny, bo w przegranej serii rzutów karnych sam Leo nie wykorzystał swojej jedenastki, Messi uznał, że być może jest na reprezentacyjnym okręcie Jonaszem i dopóki go nie opuści, kadra niczego nie wygra.

Na szczęście frustracja okazała się krótkotrwała – rok później Leo wrócił do gry, wprowadził kadrę na mundial, ale na mistrzostwach świata znowu trzeba było obejść się smakiem, gdy tuż po wyjściu z grupy Albicelestes trafili na Francję, późniejszych triumfatorów, i po epickim starciu ulegli 3:4. Dopiero w 2021 r. 34-letni już napastnik po raz pierwszy zdobył coś z kadrą – Leo powiódł ją do triumfu z Brazylią w finale Mistrzostw Ameryki. Rok później, na katarskim mundialu, po falstarcie z Arabią Saudyjską Argentyna szła już wyłącznie zwycięską drogą, odprawiając z kwitkiem m.in. błagających o najniższy wymiar kary Polaków (ale karnego Messi Szczęsnemu nie strzelił), by w finale wszech czasów, sędziowanym przez Szymona Marciniaka, pokonać Francję. Messi sięgnął szczytu marzeń. Dwa lata później ponownie triumfował z kadrą w Copa América, a o jego wyczynach w tegorocznym mundialu i wyścigu z Kylianem Mbappém o koronę najlepszego strzelca w historii pisałem na bieżąco na tych łamach.

Piłkarski bóg przed kilkoma dniami po raz ostatni założył niebiesko-biały trykot i ze łzami w oczach oznajmił, że „odchodzi spokojny". I spełniony, jak żaden inny piłkarz w dziejach futbolu. ■

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 0c31442585

Z ODWAGĄ DO SEKSUOLOGA

Kiedy myślisz, że jesteś beznadziejnym przypadkiem

Rozmawia Anna Bimer

Czy poczucie humoru bywa przydatne w gabinecie seksuologa?

– Groucho Marx twierdził, że najlepszy lekarz to taki, który potrafi rozśmieszyć pacjenta, zanim poda lekarstwo. Coś w tym jest. Nie chodzi o to, by zbanalizować problem chorego, ale żart i śmiech mają potencjał rozbrajający napięcie. (…)

Od psychoterapeutów oczekujemy pewnej ich sterylności emocjonalnej i zdrowego dystansu. Jakiego rodzaju neutralność musi wypracować seksuolog?

– Neutralność jest szczególnie potrzebna, kiedy pracujemy z parą albo analizujemy funkcjonowanie pacjenta w kontekście norma-patologia. Ważny jest kontakt z własnymi emocjami, jakie może wzbudzać w nas pacjent, który relacjonuje np. swoje nietypowe preferencje seksualne albo ma na koncie zachowania przestępcze. Wyobraźmy sobie, że trafia do gabinetu sprawca nadużyć seksualnych wobec małoletnich, a terapeuta ma dzieci w wieku jego ofiar. Trudno oczekiwać, żeby ta sytuacja nie wywoływała negatywnych emocji, a skoro się pojawiają, trzeba umieć nad nimi zapanować. (…)

Gdy szukamy przykładów antyterapii, to akurat skojarzenie nadużyć seksualnych u seksuologa wydaje się banalne. Podobnie dość łatwo wyobrazić sobie tak ewidentny błąd, kiedy lekarz wypisuje niebieską tabletkę pacjentowi chorującemu na nadciśnienie i funduje mu orgazm, ale w komplecie z zawałem.

– Leki stosowane w leczeniu zaburzeń erekcji są akurat bezpieczne dla większości pacjentów z chorobami układu krążenia i ich zalecenie osobom z nadciśnieniem tętniczym, poza skrajnymi przypadkami, wcale nie jest błędem. Trzeba jednak odróżnić nadużycia seksualne od nieadekwatnie udzielanej pomocy. Tu docieramy do sedna wielu zależności, które musimy uwzględnić w leczeniu problemów zdrowia seksualnego. Część z nich ma podłoże somatyczne, a część psychologiczne. Te pierwsze powinni leczyć lekarze, drugie – psychoterapeuci. Często kłopot pacjenta jest na tyle złożony, że wymaga współpracy specjalistów. Od początku zatem trzeba widzieć problem holistycznie,

PROF. MICHAŁ LEW-STAROWICZ
– seksuolog



Michał Lew-Starowicz – profesor nadzwyczajny, doktor habilitowany nauk medycznych, psychiatra, seksuolog, psychoterapeuta pracujący w nurcie integracyjnym, badacz, specjalista medycyny seksualnej (FECSM) afiliowany przez European Union of Medical Specialists. Seksuolog kliniczny i superwizor Polskiego Towarzystwa Seksuologicznego, członek Executive Committee Members European Society for Sexual Medicine. Pełni funkcję kierownika Kliniki Psychiatrii Bielańskiego Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego.

eprasa.pl 0c31442585

umiejętnie przeprowadzić wstępną diagnostykę różnicową.

Ale na drzwiach gabinetu wisi wizytówka: SEKSUOLOG. Skąd pacjent ma wiedzieć, czy dobrze trafił?

– Przede wszystkim warto pamiętać o tym, że każdy ma prawo zapytać o kwalifikacje osoby, do której się udaje. Jeżeli chce pani kupić sobie wycieczkę w biurze podróży, ma pani prawo zapytać, czy dane biuro posiada odpowiednie licencje. Jak idzie pani do specjalisty w jakiejkolwiek dziedzinie, to też ma Pani prawo dowiedzieć się, czy ta osoba ma udokumentowane kwalifikacje w danym obszarze. Przed wizytą u seksuologa warto zapytać, jakiego rodzaju kwalifikacjami dysponuje. Zwłaszcza że w tym zawodzie można spotkać osoby z wykształceniem zarówno medycznym, jak i psychologicznym.

Transparentność jest niezbędna, a specjalista na prośbę pacjenta powinien uczciwie wyjaśnić, jakimi dysponuje kwalifikacjami. Na przykład – mogę się zająć sprawami medycznymi, ale nie znam się na psychoterapii. (…) W ten sposób każdy ma jasność, jakiej pomocy może oczekiwać w danym gabinecie.

Ale nie zawsze potrafi stwierdzić, czy jego problem seksualny nadaje się do psychologa, czy lekarza.

– Na tym właśnie polega zadanie specjalisty, temu służą pierwsze konsultacje. A przynajmniej tak to powinno wyglądać. Leczenie musi być dopasowane do przyczyny, a czasem przyczyn istniejącego problemu. Weźmy przytoczony już przykład zaburzeń erekcji u mężczyzny. Przypuśćmy, że jest to mężczyzna z chorobą naczyń obwodowych i otyłością. To przyczyny zaburzeń krążeniowych wpływające na ukrwienie penisa, które muszą być uwzględnione w procesie leczenia. Ale może się okazać, że mężczyzna po kolejnych nieudanych próbach obawia się podejmować stosunki, niepowodzenia stanowią dla niego traumę, problem ambicjonalny. W kontekście wspomnianych chorób somatycznych trudno będzie psychologowi czy psychoterapeucie samodzielnie udzielić pomocy takiemu pacjentowi, ale ich praca będzie ważna, żeby pomóc mu poradzić sobie z psychologicznymi konsekwencjami pogłębiającymi problem seksualny. (…)

Podobno jakieś 30-40% populacji ma problemy natury seksualnej.

– Statystycznie rzecz biorąc, tak, jeżeli mówimy o występowaniu objawów dysfunkcji seksualnych – obniżonego pożądania, trudności z uzyskaniem podniecenia, orgazmu, bólu towarzyszącego współżyciu. Natomiast nie znaczy to, że wszyscy są kandydatami do terapii, bo nie każdy, doświadczając w danym momencie swojego życia np. mniejszych potrzeb seksualnych, musi odczuwać z tego powodu cierpienie, chcieć zmiany i szukać pomocy specjalisty. Terapia jest dla osób, którym zakłócenie reakcji seksualnych odbiera satysfakcję i utrudnia cieszenie się seksem, a tym samym mają motywację, żeby to poprawić.

Z niepokojem obserwuję mężczyzn suplementujących testosteron jak witaminy.

Psychoterapia w pewnym sensie została odczarowana i dziś cieszy się sporą popularnością. Natomiast decyzja, by szukać pomocy w obszarze życia intymnego, wciąż wymaga sporej odwagi.

– Obiektywnych statystyk na ten temat brakuje, nie wiemy dokładnie, jak wiele osób nie poszukuje rozwiązania swoich istotnych problemów seksualnych. U wielu problemy mają charakter przejściowy, a na różnych etapach życia dotykają prawie każdego z nas. Ocenia się jednak, że mimo wszystko większość tej pomocy nie poszukuje, doświadczając nawet utrwalonych trudności w życiu seksualnym. Co do popularności psychoterapii to jest bardzo zróżnicowana. Jeżeli weźmiemy za przykład przeciętnego wykształconego mieszkańca dużego miasta, to zachodzi znacznie większe prawdopodobieństwo, że będzie szukać pomocy psychoterapeutycznej niż np. mieszkaniec mniejszej miejscowości, gdzie trudno o specjalistę i anonimowość. Wciąż jest wiele środowisk rządzących się dawnymi stereotypami, konserwatywnym podejściem, gdzie uważa się, że jak ktoś potrzebuje pomocy psychoterapeuty albo psychiatry, to „jest po prostu wariatem i powinno się go wyizolować, a nie leczyć, bo to niebezpieczni ludzie". (…)

Lęk przed przyznaniem się do trudności w sferze seksualnej wiąże się nie tyle z lękiem przed odrzuceniem w szerszym kontekście społecznym (chyba że dotyczy to silnie nieakceptowanych społecznie preferencji seksualnych), ile z obawą przed odrzuceniem przez potencjalnego partnera czy partnerkę. (…) Wielu ludzi, nawet młodych, wyniosło z domu rodzinnego zasadę, że o problemach w sypialni się nie rozmawia, ponieważ jest to zbyt intymne. W ogóle nie nazywają nawet części ciała wprost, a wręcz pokutuje wśród nich przekonanie, że jedne są „lepsze", a inne „gorsze".

Słyszałam o mężczyźnie, który swoje genitalia nazywał paskudztwem. Niezbyt to zachęcające dla potencjalnej partnerki.

– Przede wszystkim świadczy o braku akceptacji tej części swojego ciała. Z takimi odczuciami trudno jest cieszyć się życiem seksualnym. Jeżeli chodzi o poszukiwanie pomocy, to wiele zależy od motywacji, ponieważ jeżeli osoba widzi, że może stracić to, co jest dla niej najważniejsze, czyli bliską relację emocjonalną właśnie z powodu problemów seksualnych, często czuje się na tyle przyparta do muru, że postanawia się przemóc i ostatecznie puka do gabinetu seksuologa.

Na tym etapie dochodzi kolejna trudność, mianowicie ustalenie, gdzie można otrzymać kompetentną pomoc.

– To prawda. Należycie poinformowany pacjent wie przynajmniej, jakiego specjalisty szukać. Pojawia się jednak kwestia dostępności. Wielu zainteresowanych dla dyskrecji pojedzie do seksuologa nawet daleko od miejsca zamieszkania. Sprawę mogą ułatwić wizyty online, chociaż uważam, że nawet

FOT. KRZYSZTOF KUCZYK/FORUM

eprasa.pl 0c31442585

przy obecnym rozwoju technologii nie zastępują jeszcze osobistego kontaktu w gabinecie. Ponadto procedury seksuologiczne w ramach NFZ są słabo wycenione i niewiele placówek świadczy takie usługi. Na rynku prywatnym jest więcej specjalistów, ale to wciąż nie zaspokaja potrzeb, chociaż sytuacja i tak nie wygląda źle w porównaniu z wieloma innymi krajami, które nie mają tak długiej tradycji specjalistycznych szkoleń w seksuologii. (…)

Coraz bardziej liczy się testosteron. Kto to wypisuje?

– Testosteron ma ogromne znaczenie dla zdrowia seksualnego i fizjologii reakcji seksualnych. Wyrównywanie niedoboru hormonu, najlepiej pod kontrolą endokrynologa lub androloga, może mieć duże znaczenie w leczeniu problemów seksualnych, a jego skuteczność w takich przypadkach została potwierdzona wieloma badaniami. Jednocześnie testosteron jest jednym z wielu zawodników w drużynie o nazwie „seksualność". Z niepokojem obserwuję też mężczyzn suplementujących testosteron jak witaminy, choć wcale nie mieli deficytu tego hormonu. Zwiększenie poziomu testosteronu traktują jako panaceum na wszystkie problemy w sferze seksualnej czy sposób na zwiększenie poczucia męskości. Niektórzy otrzymują recepty od lekarza, ale wielu pozyskuje preparaty androgenowe z czarnego rynku farmaceutycznego.

Zjawisko znane od lat w środowisku kulturystów obecnie upowszechniło się także wśród panów zarówno w młodym, jak i w średnim wieku, chcących poprawić wyniki na siłowni albo dodać sobie „męskości" lub „sprawności seksualnej". Konsekwencje nieuzasadnionych terapii mogą obejmować powikłania kardiologiczne, zakrzepowe, metaboliczne, psychiatryczne, zaburzenia równowagi hormonalnej i płodności. (…)

Wiadomo również, że istnieją leki skuteczne w leczeniu różnych zaburzeń psychicznych, które jednocześnie mogą obniżać libido. Co można zrobić w takiej sytuacji?

– Porusza pani bardzo ważny problem. Jeżeli pojawiają się zaburzenia lękowe, depresja lub np. zespół stresu pourazowego, często stosujemy odpowiednie leki, ale skutkiem ubocznym może być spadek popędu seksualnego. Niektóre z tych leków w silny sposób wpływają na funkcjonowanie w sferze seksualnej i nieraz całkowicie zabierają doświadczenie pożądania, zakłócają reakcje podniecenia i odczuwanie przyjemności związanej z seksem oraz orgazmem. Tworzy się błędne koło – leczy się zaburzenia psychiczne, które same w sobie zakłócają funkcjonowanie seksualne, ale ich efektem ubocznym jest dalsze nasilenie problemów seksualnych.

Procedury seksuologiczne w ramach NFZ są słabo wycenione i niewiele placówek świadczy takie usługi.

Taki efekt uboczny potrafi zrujnować sferę życia, którą trudno uznać za mniej istotną.

– Tak, i trzeba na to uważać, bo o skuteczności leczenia decyduje nie tylko ustępowanie objawów choroby, ale także jego tolerancja w rozumieniu braku objawów niepożądanych rujnujących satysfakcję z życia. Jednak żeby trochę odczarować ten czarny scenariusz, należy powiedzieć, że istnieje wiele leków psychotropowych, które nie są obarczone takim ryzykiem występowania dysfunkcji seksualnej. Proces doboru leku nie powinien być przypadkowy, lecz starannie przemyślany, co wymaga dokładniejszej analizy profilu objawów pacjenta, funkcjonowania w różnych obszarach, także w sferze seksualnej, oraz hierarchii potrzeb. Wymaga to nie tylko doświadczenia klinicznego, ale przede wszystkim rozmawiania z pacjentami o ich oczekiwaniach, uwzględniania seksualności jako ważnej sfery życia oraz edukowania. Pacjenci pytają np. o to, czy lek będzie przeszkadzał w różnych aspektach ich życia, czy będą mogli prowadzić samochód, napić się alkoholu ze znajomymi, czy poprawi się sen. Często krępują się jednak poruszyć kwestię jego wpływu na życie seksualne.

Pacjent będzie się raczej wstydził wysuwać zarzuty przeciwko seksuologowi. W sytuacji, w której mamy dość dziki rynek, otwiera to pole do nadużyć i poczucia bezkarności pseudospecjalistów, a może także specjalistów.

– Dlatego ważne, aby pacjent miał pewność, że korzysta z pomocy specjalisty. Pracą seksuologa rządzą konkretne i zdefiniowane zasady etyczne, a kodeks etyczny jest dostępny w specjalistycznych podręcznikach, jak również na stronie internetowej Polskiego Towarzystwa Seksuologicznego. Zbiór zasad ma wyznaczać standardy gwarantujące profesjonalizm świadczeń klinicznych i bezpieczeństwo pacjenta, ale także etyczne praktyki np. w badaniach naukowych poświęconych seksualności. Normy etyczne w pracy seksuologa dotyczą zatem wielu aspektów, a jednym z najważniejszych jest oczywiście ochrona prywatności pacjentów i zabezpieczenie przed nieuzasadnionym fizycznie kontaktem podczas wizyty.

A kiedy jest uzasadniony?

– Uzasadniony może być przede wszystkim podczas badania fizykalnego mogącego stanowić potrzebny element badania seksuologicznego wykonywanego przez lekarza. Nie odbywa się jednak w gabinecie psychologa ani psychoterapeuty. To powinno być jasne, podobnie jak zamiar i cel badania należy wyjaśnić przed badaniem osoby pacjenckiej. Z kolei udzielanie jakiejkolwiek pomocy seksuologicznej nie może się wiązać w żadnym wypadku ze stymulacją seksualną pacjenta w gabinecie terapeuty. Te granice są jasno określone. (…)



Fragmenty rozmowy z książki Anny Bimer *Kiedy terapia staje się antyterapią*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2026

eprasa.pl 0c31442585



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Tydzień w Szkocji. Docelowo Islay i The Oa, cypel na południu Królowej Hebrydów – naturalne miejsce ucieczki w dzicz od krainy alembików, do której mnie tu przywieźli miłośnicy whisky. Maszerują szlakiem destylarni, zaliczając kolejne degustacje – a szlak ten dla znawców wybrzmiewa nazwami świętymi: Laphroaig, Lagavulin, Ardbeg, Bowmore, Bruichladdich; senne wioski i miasteczka, ożywiane przez alkoturystów z całego świata. Na wyspie wszędzie torf, nawet wodospady spływające ku morzu kaskadami z trawiastych wzgórz ciągną rdzawo-brązową wodę, wygląda to, jakby tymi wodogrzmotami spływała czysta łycha. W Laphroaigu chwalą się, że nawet nie filtrują wody w procesie produkcji, być może dlatego ich trunki najbardziej radykalnie zalatują bandażami, jodyną i lizolem – dla fachowców rozcmokanych nad kieliszkiem to są tzw. nuty apteczne.

Owszem, dałem się namówić na jedną z tras turystycznych przez destylarnię, najbardziej przypadła mi do gustu degustacja ziaren jęczmienia, od najsłodszych po te mocno torfowe; potem już zaglądaniu do kadzi, podziwianiu alembików i przechadzce w labiryncie magazynowanych beczek towarzyszyły degustacyjne porcje trunków między 50% a 63% alkoholu, co skutecznie przytępiło mi zmysły. Czegóż to ludzie nie uczynią, aby swoją wątrobę maltretować bez wyrzutów sumienia…

W sklepie firmowym spoglądam na butelki po 30 tys. funtów i myślę o dawniejszych szaleństwach wolnego rynku, z XVII-wieczną tulpenmanie na czele. W Edynburgu zwiedzam Gladstone's Land, starą kamienicę kupiecką, w której zachowanych wnętrzach znajduję sejf na herbatę, przed wiekami będącą w Europie dobrem luksusowym, podobnie zresztą jak owoce tropikalne, których wystawienie na stół świadczyło o statusie majątkowym gospodarzy.

W destylarni kadzie otwarte, zacier w nich bulgocze, gawiedź się zachwyca, spod belek stropowych przyglądają się jej wróbelki destylarniane i wesoło podsrywają prosto do kadzi. Nikomu to nie przeszkadza, „to się przefiltruje", mówi mój kompan znawca, co mnie nie dziwi, wszak ziarna najdroższej kawy świata, kopi luwak, są wydobywane z odchodów łaskunów palmowych – po przejściu przez ich przewód pokarmowy nabierają niepowtarzalnego smaku i aromatu. Kilogram tej kawy kosztuje 400 dol.; kto bogatemu zabroni, w kapitalizmie nawet gówno można uczynić dobrem luksusowym, jeśli ma się sprawny dział marketingu.

Biorę rower, jadę na półwysep wichrowych wzgórz, by dotrzeć do klifów i rozpadlin, spośród których najbardziej malowniczą jest ta w pobliżu Soldier's Rock, niedostępnej maczugi skalnej wyrastającej z oceanu na kilkadziesiąt metrów. Niewinna rzeczułka wijąca się przez trawiasty płaskowyż nagle opada z łoskotem w czeluść, chłostaną w dole przez wściekłą oceaniczną kipiel – gdyby kto miewał samobójcze myśli wiodące go ku romantycznej śmierci poprzez skok z urwiska, niechże się tu wybierze, wnętrze przepaści jest tak złowrogie, że każdemu przywróci instynkt samozachowawczy.

Nad klifami The Oa pasie się najrozmaitsza rogacizna, przez co dotarcie do najbardziej spektakularnych fragmentów wybrzeża wymaga brnięcia przez sięgające kostek błoto wymieszane z łajnem na grząskich torfowiskach, nie są to warunki dla czyścioszków, ale cel jest wart utytłań. Skądinąd rasy hodowanych tu zwierząt są przedziwne, człek się czuje, jakby mijał zagrody doktora Moreau, gdy widzi np. texele, wyglądające jak krzyżówka owcy, krowy i amstaffa, ich wełna nadaje się tylko do produkcji pończoch, za to mięso ponoć jest znakomite. Sery zaś robi się tu z mleka kóz, żarłocznie wsuwających wodorosty na kamienistych plażach w okolicy Port Ellen. O wołowinie z tutejszych kudłatych krów powiada się, że jest najzdrowszym z czerwonych mięs, bo ma niską zawartość cholesterolu.

Przygoda w kratkę

Wracamy przez Edynburg, odwiedzam córkę, która czuje się w obowiązku oprowadzić mnie po swoim mieście wieczorem – po drodze mijamy kolejne pomniki, z których każdy jest przyozdobiony pachołkami drogowymi. Okazuje się, że to narodowy sport Szkotów – nocami wspinają się na monumenty i zakładają pomnikowym postaciom pachołkowe czapeczki. Policja je ściągała, ale następnej nocy wracały, na tym polegała zabawa. W końcu służby zajęły się poważniejszymi przestępstwami, zaniechały zdejmowania pachołków i teraz wszystkie pomniki w Szkocji tak wyglądają.

Zazdroszczę narodowi, który potrafi tak się bawić, ale muszę przestrzec szkockich przyjaciół przed wizytą w okolicach Placu Piłsudskiego – w najlepszym razie były minister obrony narodowej będzie do nich strzelał z pistoletu na farbę, w najgorszym pójdą siedzieć z art. 261 kk. ■

eprasa.pl 0c31442585



Ryś samotnik

Samce łączą się z samicami jedynie w czasie godów

Dorota Zawadzka

Ryś, w przeciwieństwie do silnie socjalnego wilka, jest samotnikiem. Zarówno w Puszczy Augustowskiej, jak i w całej Polsce rysie są znacznie mniej liczne od wilków i ich populacja nie wykazuje wyraźnego trendu wzrostowego. Przed 15 laty Joanna Harmuszkiewicz, leśnicza z Nadleśnictwa Augustów, oceniła liczebność rysi w puszczy na 19-20 osobników, w tym pięć dorosłych samców i cztery samice z młodymi.

Szybkie użytkowanie rębne starych drzewostanów puszczańskich nie sprzyja tym drapieżnikom, które wymagają zróżnicowanej struktury środowiska leśnego. Dlatego nie ma podstaw, by domniemywać, że ich liczebność wzrosła od czasu zakończenia badań. Prawdopodobniejszy jest niewielki spadek.

Rysie potrzebują rozległych powierzchni leśnych o bogatej mozaice siedlisk, ze zróżnicowaną strukturą i składem gatunkowym drzewostanu, z licznymi kępami podszytu i podrostu oraz leżącymi martwymi kłodami. W poszukiwaniu pożywienia rzadko wychodzą poza granice lasu i w przeciwieństwie do wilków nie polują na zwierzęta gospodarskie. Zasadniczo nie wchodzą więc w konflikty z ludźmi.

Rysie zajmują bardzo duże terytoria, na których polują.

Niekorzystne zmiany środowiska rysi nie zachodzą w Wigierskim Parku Narodowym i właśnie stamtąd według Macieja Romańskiego z Pracowni Naukowo-Edukacyjnej parku pochodzi coraz więcej obserwacji tych pięknych dzikich kotów. Od 2021 r. rysie rozmnażają się na terenie parku, wcześniej samice z młodymi nie były tam obserwowane. Cętki na futrze każdego osobnika mają inny układ, więc nagrane na fotopułapkach zwierzęta można identyfikować, a dzięki temu ocenić ich rzeczywistą liczebność.

Ze względu na samotny tryb życia rysie zajmują bardzo duże terytoria, na których polują, przemieszczając się rotacyjnie, co jest związane z płochliwością ich ofiar. Wielkość terytoriów zmienia się w cyklu rocznym. Naukowcy z Zakładu Biologii Ssaków PAN w Białowieży udokumentowali, że samce spędzają cały rok samotnie, łącząc się z samicami jedynie w czasie godów, czyli w marcu. Poza tym okresem rysie unikają bezpośrednich kontaktów z osobnikami własnego gatunku.

Wychowaniem potomstwa zajmuje się wyłącznie samica. Musi ona znaleźć odpowiednią kryjówkę, w której urodzi kocięta i w której będą one bezpieczne, kiedy ona wybierze się na polowanie. Samice rodzą młode w maju i opiekują się nimi do marca następnego roku. Bezpośrednie obserwacje i nagrania z fotopułapek wskazują, że kotki w Puszczy Augustowskiej prowadzą jedno lub dwa młode.

Z badań Joanny Harmuszkiewicz oraz z przypadkowych spotkań z tymi dzikimi kotami wynika, że

eprasa.pl 0c31442585

puszczańskie rysie wyprowadzają jedno lub dwa młode, średnio na kotkę przypada 1,2 młodego. Prawdopodobnie kotki rodzą dwa albo trzy młode, ale do końca pierwszego roku dożywa tylko część z nich.

Samice rysi są nieco mniejsze od samców, ich tropy różnią się więc wielkością. Na podstawie zimowych tropień na śniegu Joanna ustaliła, że terytorium rysia zimą zajmowało powierzchnię wynoszącą średnio 52 km kw. w wypadku samców i 31 km kw. w wypadku samic. Terytoria samic nakładały się w ok. 30% z terytoriami samców. Przestrzeń użytkowana zimą przez augustowskie rysie była mniejsza niż w puszczach Knyszyńskiej i Białowieskiej.

Wielkość zajmowanych przez dzikie koty terytoriów osobniczych zmienia się w cyklu rocznym: najmniejsze są one wiosną i latem (szczególnie u samic z młodymi, które w pierwszym okresie życia kociąt poruszają się po niewielkim terenie), a największe – w okresie zimowym.

Chociaż rysie żyją na całej powierzchni Puszczy Augustowskiej, to spotkanie dzikiego kota jest kwestią przypadku lub – jak kto woli – szczęścia. Częstotliwość moich spotkań z rysiami to mniej więcej jedna obserwacja rocznie. Dla porównania wilki widuję po kilka razy w każdym roku, a ich wycie słyszę kilkanaście razy. Pierwszego rysia spotkałam na mojej łące w Okółku w środku słonecznego dnia pod koniec sierpnia 2006 r. Kot powoli i z gracją szedł przez gęste trawy i niespiesznie skrył się w lesie.

Widziany z bliska ryś ma zaskakująco długie nogi w stosunku do reszty ciała i bardzo sprężyste ruchy. Waldek Sudnik z Nadleśnictwa Szczebra sugestywnie opowiadał o swojej obserwacji rysia podczas wieczornej zasiadki na ambonie. Kocur przechodził przez łąkę i doszedł do szerokiego kanału, którego nie mógł przeskoczyć. Usiadł na brzegu i powoli włożył do wody jedną łapę, następnie wyjął ją i otrzepał. Po chwili ten sam manewr wykonał drugą łapą, po czym dopiero po pewnym „namyśle" pokonał przeszkodę wpław. Na drugim brzegu otrząsnął się z wody i ruszył przed siebie.

Pewnego kwietniowego wieczoru w 2020 r., wracając samochodem z tokowiska, zobaczyliśmy rysia siedzącego na szerokiej żwirowej drodze na skraju Okółka, koło dębu – pomnika przyrody. Nieporuszony kot przyglądał nam się przez kilka minut, po czym bezszelestnie zniknął w lesie. Ryś poluje, a potem konsumuje zdobytą ofiarę w samotności. Przeciętnie dziki kot przez trzy dni poszukuje odpowiedniej ofiary, a po udanym polowaniu przez kolejne trzy dni zjada swoją zdobycz. Strategia łowiecka tego drapieżnika polega na podkradaniu się jak najbliżej ofiary i błyskawicznym ataku na krótkim dystansie (do 50 m). Jeżeli potencjalnej ofierze uda się uciec, drapieżnik jej nie ściga, jedynie przenosi się na inną część swojego terytorium łowieckiego w poszukiwaniu następnej.

Krzysiek Fiedorowicz z Nadleśnictwa Pomorze znalazł ukryte na drzewie szczątki bociana białego oraz przysypanego ściółką zagryzionego głuszca (jednego z wsiedlonych, z nadajnikiem). Leśniczy z Nadleśnictwa Augustów opowiadał mi o znalezionej na ambonie zakrwawionej głowie kozła sarny. Odczytał to jako makabryczny żart – tymczasem była to po prostu oryginalna kryjówka, w której ryś schował niezjedzoną część ofiary.

Przez wiele lat ryś był w Polsce gatunkiem łownym, ale ze względu na niską liczebność i ograniczony zasięg odstrzał (czyli liczba zabijanych osobników) pozostawał relatywnie mały. Zdobycie trofeum, czyli skóry i czaszki rysia, było marzeniem wielu myśliwych. Po II wojnie światowej w Puszczy Augustowskiej zastrzelono co najmniej kilkanaście dzikich kotów. Gatunek objęto ochroną ścisłą dopiero w 1995 r., od razu wprowadzając także ochronę strefową w promieniu 500 m od miejsca rozrodu.

Przeciętnie dziki kot przez trzy dni poszukuje ofiary, a po udanym polowaniu przez kolejne trzy dni zjada zdobycz.

Podkradając się do ofiary, rysie wykorzystują wszelkiego rodzaju osłony terenowe: gęsty podszyt, leżące pnie i gałęzie czy nierówności terenu. Potrafią też wspinać się na drzewa i poruszać po grubych konarach. Nie zebrano szczegółowych informacji na temat składu pokarmu rysi żyjących na terenie Puszczy Augustowskiej. Z badań białowieskich wynika, że najczęstszymi ofiarami rysi są sarny, a na kolejnych miejscach plasują się zające i cielęta jeleni. Większe ofiary (dziki, dorosłe jelenie) są z jednej strony zbyt trudne do zdobycia dla samotnego łowcy, z drugiej zaś – do upilnowania.

Rysie najczęściej nie są w stanie zjeść całej ofiary po udanym polowaniu, ukrywają ją więc przed padlinożercami. Do amatorów ofiar rysi należą dziki, wilki, lisy, jenoty, borsuki, a także ptaki drapieżne i kruki. To spora konkurencja. Z tego względu rysie przykrywają pozostałości upolowanych zwierząt liśćmi i trawami lub darnią i śniegiem, a mniejsze ofiary wciągają na drzewo.

Z badań Bogumiły i Włodzimierza Jędrzejewskich z Instytutu Biologii Ssaków PAN w Białowieży wynika, że w Puszczy Białowieskiej główną przyczyną śmierci rysi jest kłusownictwo – drapieżniki giną we wnykach zakładanych na sarny i inne kopytne. Niestety, nie mamy danych na ten temat z Puszczy Augustowskiej, ale wiele wskazuje na to, że rysie giną tam przede wszystkim w wyniku kolizji z pojazdami. Młodego samca rysia zabitego przez samochód w 2009 r. odwoziliśmy do Instytutu Biologii Ssaków PAN w Białowieży. Kierowca zgłosił do Nadleśnictwa Szczebra, że potrącił sarnę, która wbiegła na szosę…



Fragmenty książki Doroty Zawadzkiej *Puszcza Augustowska. Opowieść o wyjątkowej przyrodzie na polskim biegunie zimna…*, Paśny Buriat, Suwałki 2026

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 0c31442585

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery W ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- zespół nadpobudliwości z deficytem uwagi
- dowód, że podejrzany był gdzie indziej
- strzelali z jego wysokości rewolwerowcy
- z miseczkami A, B, C itd.
- wąż dusiciel
- śmieszka, ale nie mewa
- kibol – …stadionowy
- dybanie, czajenie się na kogoś
- jałowcówka lub duch z lampy
- kaprysy, dąsy, fochy
- zamęt i bałagan
- znana z piramid
- jeździectwo
- wyłapuje bezpańskie psy
- figura bóstwa będąca przedmiotem kultu
- prowadzi wspólne modły w meczecie
- zespół z wokalistą Arturem Gadowskim
- jest nim Friedrich Merz
- …naturalne – ekstremalne zjawiska przyrodnicze
- ciało niebieskie z warkoczem
- przybysze z latającego spodka
- poniesiony na coś wydatek
- rodu, towarzyska lub policyjna
- po zranieniu albo wewnętrzne po urazie
- nocna lub koniaku
- nienaganne dżentelmena, światowca
- król Krety, mąż Pazyfae
- pomost wychodzący w morze
- księga dla księdza
- król lew, ojciec Simby
- splot włókien przewodzących bodźce
- deficyt, niedostatek czegoś
- do zdobywania wiedzy go nie zagonisz
- ochroniarze, goryle, eskorta
- kojarzą się z nim ciężkie, deszczowe chmury
- upowszechnianie wiedzy, proces kształcenia
- handlową jest Allegro lub Amazon
- zna się na łamaniu w kościach
- „w koszyczku jabłuszko, w jabłuszku…”
- impet, dynamika i śmiałość
- witka do chłosty
- radziecki telewizor jak kamień szlachetny
- zajęcze nogi
- malec, szkrab
- piętrowy garnek do przetwarzania owoców na parze
- nie doszła do Białej na pierogi
- na pończochach lub spawalniczy
- ogrodowe szkodniki pomrowiki i śliniki
- pudełeczko z tytoniem
- typ roweru albo współpracująca dwójka
- pierwsze T w KTT
- „…z Belleville”, francuski film animowany
- Cygan z „Chaty za wsią”
- miejsce, gdzie skały po stoku zjechały
- Wiesław, autor „Słońca Arizony”
- lejce
- …człowieka – o schorowanym, wyczerpanym
- wewnętrzny głos, impuls do działania

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1295”. Do rozlosowania książki „Listy rozgrymaszone” ufundowane przez Prószyński Media. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 18 października 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1292” z nr. 39: *Szczery wzroku nie ukrywa.*

Nagrody otrzymują: Wojciech Kłosowski z Warszawy, Grzegorz Nowak z Bełchatowa, Zdzisław Pietruk z Międzyrzeca Podlaskiego.

eprasa.pl 0c31442585

Konsul wszystkiego nie załatwi

To może parę słów o mitach, które funkcjonują w polskim życiu publicznym, a które są weryfikowane przez rzeczywistość. Takim mitem, szczególnie na polskiej prawicy, jest przekonanie, że Polska powinna zatrzymać imigrację, a w zamian rozpocząć wielki program repatriacji Polaków – przede wszystkim z Kazachstanu i z Syberii.

W opowieściach często słyszymy, że na powrót do ojczyzny czekają dziesiątki tysięcy potomków zesłańców, ale za sprawą biurokracji, MSZ i niechętnych Polakom konsulów wszystko się ślimaczy. Prawda jest trochę inna.

Po pierwsze, liczba chętnych. W tej chwili w kolejce do repatriacji czeka ok. 7 tys. osób, większość to obywatele Kazachstanu. Tłumów więc nie ma. Zresztą coraz częściej nasze służby spotykają się z sytuacją, że ci, których kolejka przychodzi i są zapraszani do Polski, rezygnują z wyjazdu. Polonia w Kazachstanie jest po prostu różna, niektórzy są bardzo zasobni, dobrze zarabiają, prowadzą własne przedsięwzięcia – dla nich przeprowadzka do Polski, do czegoś niepewnego i nieznanego, to żaden interes.

Możemy mówić, że Polonia w Kazachstanie liczy ok. 30 tys. ludzi, ale większość, jak widać, nie planuje przenieść się na stałe do Polski.

Po drugie, tęsknota za Polską. Może i jest. Ale pamiętajmy, mamy tu do czynienia z potomkami zesłańców, którzy z reguły nie mówią już po polsku. Dla nich repatriacja to nie powrót do ojczyzny, tylko nowe życie w nowym kraju.

Po trzecie, konsulowie. W polskim prawie konsul nie podejmuje decyzji o przyznaniu wizy repatriacyjnej. Konsul te wnioski przyjmuje, z załączonymi dokumentami, a potem kieruje do Polski i tam są one analizowane w MSWiA (mamy plagę sfałszowanych dokumentów potwierdzających polskość), gdzie zapada decyzja. Stosownie do zasobów i możliwości państwa polskiego.

Rocznie repatriowanych jest ok. 700 osób. W 2025 r. przesiedliło się 627 repatriantów i członków ich rodzin. Większość, 327 osób, to obywatele Kazachstanu. 217 osób – obywatele Rosji. Łącznie od roku 2000 powróciło do Polski ok. 12 tys. osób. Z różnych stron świata. Repatrianci, droga prawico, Polski nie uratują.

Owszem, można by przyśpieszyć kolejkę, żeby na repatriację nie trzeba było czekać latami. Ale tu na przeszkodzie stoją pieniądze. Bo jakie są koszty tej operacji? Rocznie jakieś 55-70 mln zł. To są pieniądze na utrzymanie ośrodków dla repatriantów w Pułtusku i w Środzie Wielkopolskiej, no i na najprostsze zagospodarowanie dla tych, którzy przyjechali. Kiedyś w pomoc repatriantom zaangażowane były samorządy, teraz ten entuzjazm zmalał.

Jaka w tym wszystkim jest rola konsulów? Cóż, w wyniku wojny na wschodzie ich możliwości działania na Syberii, w Rosji są praktycznie zerowe. Do tego stopnia, że aby złożyć wnioski repatriacyjne, obywatele Rosji zaczęli przyjeżdżać do Kazachstanu.

Poza tym konsulowie wprawdzie nie decydują o repatriacji, ale przyznają Karty Polaka, budują środowiska Polonii i szkół polskich. Zajęć mają bardzo dużo. Jeden konsulat w Kazachstanie to ok. 10 tys. czynności konsularnych rocznie. Doceńmy tę pracę. I nie wymagajmy rzeczy niemożliwych.

Attaché

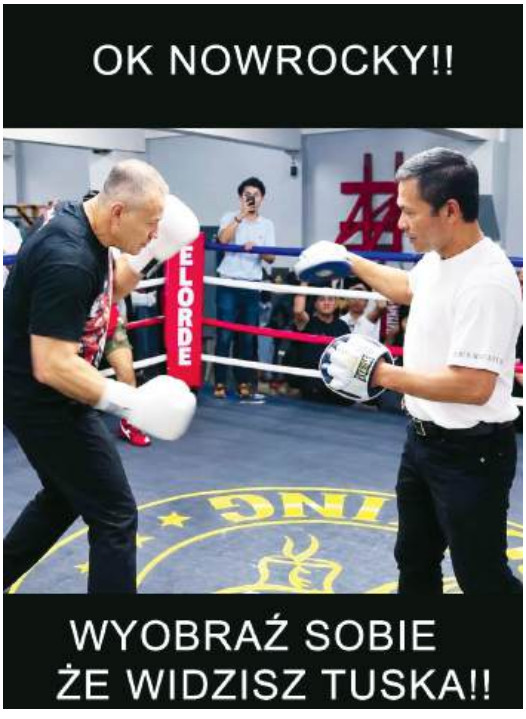


Szczęki i szczątki. Plażowa suszarnia solonego mięsa rekinów. Mogadiszu, 5 października 2026 r.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 0c31442585







TYGODNIK ANGORA PRZEGLĄD PRASY KRAJOWEJ I ŚWIATOWEJ

PROF. MICHAŁ RUSINEK,
LITERATUROZNAWCA

Przez 25 lat prowadziłem na polonistyce UJ zajęcia z teorii literatury. Ich odbiorcami byli czytelnicy, bo polonista to ktoś, kto ma być profesjonalnym czytelnikiem. W pewnym momencie postanowiłem coś zmienić i zaproponowano mi zajęcia na nowym kierunku – creative writing. Tamtejsi studenci nie tyle chcą się nauczyć czytać, ile pisać. Postanowiłem więc zmienić perspektywę: wydobyć z metodologii badań literackich to, co może się przydać, kiedy jesteśmy pisarzami, a nie czytelnikami. Ale myślę też o ludziach, którzy nie piszą literatury, tylko posty czy tzw. content – choć nie lubię tego słowa – i chcą, by przyciągały uwagę. Literackość to oczywisty sposób na jej przyciągnięcie. A uwaga to podobno najbardziej pożądany na świecie materiał czy też zasób cenniejszy niż złoto.

RZECZPOSPOLITA

MONIKA PIĄTKOWSKA,
AUTORKA BIOGRAFII „PRUS. ŚLEDZTWO BIOGRAFICZNE"

Gdy idzie o postać Wokulskiego, to już współcześni mu słusznie dostrzegali, że to nikt inny jak wyidealizowana wersja Bolesława Prusa – rodzaj fantazji o samym sobie, którą nosił w sercu i która czasem się objawiała światu awanturami i nieprzejednaną postawą. Warto jednak zauważyć, że Ignacy Rzecki, dopełnienie kupca, to także autobiograficzna kreacja autora. I także fantazja, choć osadzona na realnych wydarzeniach, które stały się udziałem autora i które utworzyły biografię Rzeckiego. Prus pisał w notatkach, że właśnie takim człowiekiem chciałby się stać: pogodzonym z losem, solidnym, spokojnym i szukającym szczęścia w małych rzeczach. Nigdy mu się to jednak nie udało.

zwierciadło

MAREK KONDRAT,
AKTOR

Całe życie podlega człowiek presji. Uwolnić się od niej jest sztuką wielką, a tu życie przynosi prezent w dojrzałym wieku w postaci córki. Helenka ma osiem lat. Wychowanie dziewczynki jest kompletnie inne niż synów. Teraz mam czas na towarzyszenie jej, na obserwacje. Jak się jest młodym, to tego czasu nie ma, bo trzeba pracować i po drodze zaniedbuje się rodzinę. Starość nie miałaby w ogóle sensu, gdyby nie smak przeżywania, na który ma się wreszcie czas. Teraz jestem pozbawiony presji, już na dobrą sprawę nic nie muszę. (…) Suma doświadczeń daje spokój, jeśli nie satysfakcję. Mogłem to zdobyć dopiero wtedy, gdy porzuciłem aktorstwo. Tam jest nieustanna walka z przeważającymi siłami wroga, ciągła gotowość, a to męka. I dla aktora, i dla rodziny.

press

PIOTR ZIELIŃSKI,
REPORTER

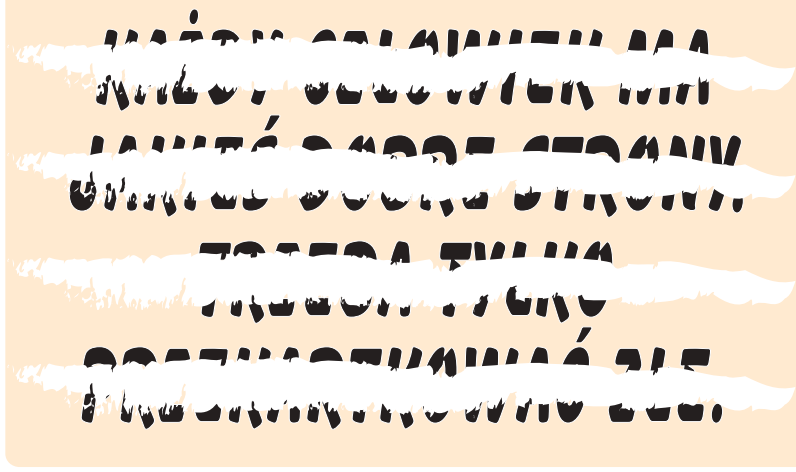
Gregg Sulzberger na Światowym Kongresie Mediów Informacyjnych: „Grzech pierworodny modeli AI to kradzież na bezprecedensową skalę". Sztuczna inteligencja rozwija się w oszałamiającym tempie, jednak jej sukces opiera się na bezprawnym przywłaszczaniu własności intelektualnej. Giganci technologiczni bez zgody i rekompensaty finansowej masowo przeszukują strony informacyjne, pakują skradzione treści jako własne produkty i odbierają wydawcom odbiorców oraz przychody.

FOT. AMEM (2), SEKCJA GIMNASTYCZNA

eprasa.pl 0c31442585

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – myśl, której autorem jest Ernst Jünger.



KAŻDY CZŁOWIEK MA JAKIEŚ DOBRE STRONY. TRZEBA TYLKO PRZEKARTKOWAĆ ZŁE.



Aby język giętki…

OLGA TOKARCZUK O SWOICH OPOWIEŚCIACH

Nie ma w nich stwierdzeń, są tylko przypuszczenia, ulotne idee, pokrętne pytania i zwariowana metafizyka.

SŁAWOMIR DUDEK O OPOZYCJI

Jeśli sprzeciwia się podnoszeniu podatków, to niech wskaże konkretnie, które wydatki chce uciąć.

KS. PROF. MICHAŁ HELLER O POZIOMIE AI

Używam jej w pracach matematycznych i w tej dziedzinie ma ona już poziom wiedzy doktora habilitowanego.

MARCIN MATCZAK O KAROLU NAWROCKIM

Umie grać w emocje prymitywne: takie jak agresja, wrogość czy strach.

MARIA DĘBSKA O WSTYDZIE

W jakimś sensie zostałam aktorką właśnie dlatego, że się wstydzę. Tego wstydu jest mniej, kiedy jestem kimś innym.

ROBERT GÓRSKI O POCZUCIU HUMORU

Wszędzie szukam czegoś, co może być zabawne. I sam już nie wiem, czy ja jeszcze nad tym panuję.

EWA WINNICKA O ŻYCIU

Zmarnowałam mnóstwo czasu na nielubienie siebie – jedynej osoby, z którą spędzam całe życie.

MICHALINA ŁABACZ O ŻYCIU Z AKTOREM

To trzy razy więcej zrozumienia i cztery razy więcej wsparcia.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Dział promocji:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 0c31442585



Pamiętnik Gracji

Projekt Małgorzaty Rusieckiej narodził się w 2024 r., gdy na świat przyszedł jej syn. Zmiana w codziennych obowiązkach stała się impulsem do stworzenia nowej formy pracy. Przez 366 dni Rusiecka prowadziła wizualny pamiętnik, zapisując doświadczenia, emocje, rozmowy, sny, obserwacje i wydarzenia. Każda karta powstała według tego samego schematu – na konturze głowy Gracji, motywie obecnym w twórczości artystki od lat. Początkowo projekt miał służyć podtrzymaniu kreatywności i doskonaleniu warsztatu, z czasem stał się formą autoterapii i narzędziem samopoznania. 366 kart pokazuje, jak codzienność, powtarzalność i uważny zapis mogą odsłaniać rytmy emocji oraz wpływ wydarzeń na nasze życie wewnętrzne.

B383 Art Space
Warszawa, ul. Barska 38
do 25 października

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 0c31442585

DZIECIŃSTWO BEZ PRZEMOCY

dziecinstwobezprzemocy.pl

WSPIERAJ DZIECIŃSTWO MOCY BEZ PRZEMOCY



ORGANIZACJA:

FUNDACJA DAJEMY DZIECIOM SIŁĘ

WSPÓŁORGANIZACJA:

Krajowa Koalicja na Rzecz Ochrony Dzieci

PARTNER GŁÓWNY:

Rzecznik Praw Dziecka

PARTNERZY FINANSOWI:

Fundusz Sprawiedliwości

Ministerstwo Sprawiedliwości

LIDL

Sfinansowano ze środków Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości

Kampania objęta została patronatami honorowymi: Marszałka Sejmu RP Włodzimierza Czarzastego, Marszałkini Senatu RP Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, Ministry Edukacji Narodowej Barbary Nowackiej, Ministra Spraw Zagranicznych Radosława Sikorskiego, Sekretarz Stanu w KPRM Katarzyny Kotuli

eprasa.pl 0c31442585

MEDECINS SANS FRONTIERES
LEKARZE BEZ GRANIC

NIEDOŻYWIENIE DA SIĘ WYLECZYĆ.



Zdjęcie: Mohamed Abdirahman/MSF

Halima ze swoim synkiem na szpitalnym oddziale leczenia niedożywienia Szpitala Regionalnego Mudug w Somalii, który wspierają Lekarze bez Granic. Chłopiec otrzymał leczenie. – Kiedy go tu przywiozłam, nie sądziłam, że przeżyje. Teraz jest zdrowy i pełen energii – mówi Halima. Somalia, wrzesień 2026

Globalnie niemal 50% zgonów dzieci do 5. roku życia jest związanych z niedożywieniem. Lekarze bez Granic leczą niedożywienie w miejscach dotkniętych kryzysem humanitarnym, takich jak Somalia, Sudan czy Afganistan.

180 zł to całkowity koszt leczenia dziecka z ciężkim ostrym niedożywieniem. Kuracja trwa 56 dni.

POMÓŻ. WPŁAĆ DAROWIZNĘ.

lekarze-bez-granic.pl

eprasa.pl 0c31442585